



TOMASZ BIAŁKOWSKI

KŁAMCA

lesiojot

TOMASZ BIAŁKOWSKI

KŁAMCA

SZARA GODZINA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Wydawnictwa Szara Godzina s.c.

Projekt okładki i stron tytułowych
Anna Damasiewicz

Redakcja
Elżbieta Spadzińska-Żak

Zdjęcia na okładce
© *Andrejs Pidjass* | *Depositphotos.com*
© *Vladimir Voronin* | *Depositphotos.com*

Redakcja techniczna, skład i łamanie
Grzegorz Bociek

Korekta
Zespół

Niniejsza powieść to fikcja literacka. Jakikolwiek podobieństwo do wydarzeń lub postaci autentycznych jest zupełnie przypadkowe.

Wydanie I, Katowice 2012

Wydawnictwo Szara Godzina s.c.
biuro@szaragodzina.pl
www.szaragodzina.pl

Dystrybucja: DICTUM Sp. z o.o.
ul. Kabaretowa 21, 01-942 Warszawa
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12
dystrybucja@dictum.pl
www.dictum.pl

Tekst © by Tomasz Białkowski
© Szara Godzina s.c., 2012

ISBN 978-83-935772-3-1

Prolog

2 czerwca 1945, sobota

Deszcz padał nieprzerwanie całą noc i rano, przez co na podjeździe potężnego barokowego pałacu stały wielkie kałuże brudnej wody. Pałac Joachimstein zbudowany był w miejscu dawnego zamku warownego. Kształtem przypominał literę C. Wejścia na teren wspaniałej posiadłości strzegły dwa greckie sfinksy dostojnie leżące przed bramą wjazdową. Mokre, kamienne twarze kobiet-lwów zwrócone były w stronę alei drzew stanowiącej zielony tunel, którym od wieków wędrowali przybysze. Przeszkodę dużo trudniejszą niż bogato zdobiona brama stanowiła głęboka na kilka metrów fosa otaczająca posiadłość. Od północy przerzucono nad nią kamienny most z trzema łukami. Trzystuletni monumentalny pałac został bowiem zbudowany na niewielkiej wyspie.

Trzech młodych mężczyzn szybkim krokiem pokonało odległość dzielącą bramę wjazdową od

okazałego portalu stanowiącego główne wejście do pałacu. Najwyższy z nich, ubrany w żołnierski, połowy mundur nerwowo zerkał na boki, jakby wypatrywał zagrożenia czającego się w wysokich, starannie przyciętych ścianach żywopłotu. Mimo że był pochylony, górował wzrostem nad idącymi krok za nim mężczyznami. Twarz miał pociągłą, usta wąskie, orli nos. Jego rozbiegane, szare oczy zdradzały strach. Gdyby przyjrzeć mu się dokładniej, to okazałoby się, że jest młodzieńcem, by nie powiedzieć dzieckiem, które przez sześć lat wojny przeszło przyspieszony kurs dorastania. W istocie chłopak miał szesnaście lat. Był ledwo o rok młodszymi od swoich kompanów. W dłoniach ścisnął błyszczący karabin. Co jakiś czas odrywał dłoń od drewnianej kolby i poprawiał daszek wojskowej czapki, która zsuwała mu się na oczy. Towarzysze wysokiego chudzielca nie mieli czapek. Chronili się przed ulewą pod brezentowymi, wodoodpornymi, błyszczącymi pałatkami, przez co ich twarze były niewidoczne. Przy samym wejściu do pałacu młodzieńcy odbili w prawo i skierowali się do ogromnej oficyny, jednej z dwu zbudowanych obok pałacowych skrzydeł. Zatrzymali się przed masywnymi, metalowymi drzwiami, nad którymi znajdował się niewielki daszek. Tutaj deszcz nie docierał. Mimo to nie zdjęli swych okryć. Zbili się w okrąg, chwilę nad czymś debatowali. Potem ci, którzy byli zakapturnieni, zniknęli za drzwiami, a dryblas w mundu-

rze stanął na straży. Rozstawił szeroko nogi obute w czarne, skórzane oficerki, sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął pomietą, przemoczoną paczkę papierosów. Z innej kieszeni wydobyl zapalki i po wielu próbach wreszcie podpalil sterczacego w kąciku ust papierosa. Po chwili cisnal go pod nogi i zaklal cicho. Siegnal po kolejnego. Tym razem natrafil na nieco bardziej suchy tyton. Zadowolony, przewiesil karabin przez pierś i zachlannie wciagal w pluca gorzki dym. A jednak nie poczul sie lepiej. Byl bardzo zdenerwowany. Zdradzialy to roztrzesione dlonie, ktore co jakis czas gladzily kolbe karabinu mosin ze zlozonym po prawej stronie loza blyszczacym bagnetem.

Kiedy zolnierz gasil obcasem szostego z kolei papierosa, z korytarza wyszli jego towarzysze. Zywio gestykuujac i ciskajac przekleństwami, ruszyli do oficyny lezacej po przeciwleglej stronie palacu. Byla identyczna jak ta, ktora przed chwila opuścili. Gdy znikneli we wnętrze budowli, zolnierz siegnal po kolejnego papierosa. Tym razem nie dane mu jednak bylo go wypalic, bo nagle uslyszal glósne nawolywania. Chudy wojak odruchowo zacisnal palce na karabinie i z niedopałkiem w ustach pobiegl w kierunku, z ktorego dobiegal wołanie. Pokonal zacieniony korytarz i wpadl do zalanej sztucznym swiatlem sali. Jego wzrok powoli przyzwyczajal sie do blasku lamp zawieszonych pod sufitem. Zolnierz znalazl sie w ogromnym po-

mieszczeniu wypełnionym tysiącami tekturowych teczek. Porozrzucane papiery wypełniały wnętrze. Teczki leżały na metalowych regałach, walały się po podłodze, szczelnie ją okrywając. Chłopak stał po kostki w gęsto zapisanych arkuszach. Wyteżał wzrok. Wreszcie dostrzegł swoich kompanów brnących niemal po kolana w tysiącach listów, protokołów, arkuszy, zdjęć, notatek, zeszytów i książek. Mężczyźni przemieszczali się w najdalszy kąt sali. Ich ruchy były niezdarne i niepewne. Jakby papier oblepiający nogi ciągnął w dół, na dno papierowego grzędawiska. Żołnierz patrzył na pochylonych kolegów z rozbawioną miną i pobłażaniem. Tyle zachodu o głupi papier, pomyślał i zaczął szukać po kieszeniach zapalniczki, by przypalić papierosa ciągle trzymanego w kąciku ust. Ale w następnej chwili aż otworzył usta, zaskoczony. Papieros spadł na pokrytą tabelami kartę. Żołnierz zrozumiał, że to nie niezdarność, a czujność była powodem przycajonego kroku jego towarzyszy. W kącie sali dostrzegł kontur postaci. Skierował w jej kierunku broń. Ślizgając się na papierze, chwiejąc na boki, rzucił się w kierunku przeciwnika. Już chciał oddać strzał, kiedy usłyszał dziecięcy płacz. Zawałał się. Wyteżył wzrok. Po chwili wyraźnie widział postać w zacienionym kącie. Obok potężnego regału, wciśnięte w szparę powstała z dosuniętych do niego drewnianych skrzyń, siedziało kilkuletnie dziecko. Był to chłopczyk. Miał brudną twarz

i ręce. Tłuste, czarne włosy opadały na czoło. Jego ubraniem była o kilka numerów za duża żołnierska bluza, przez co wydawał się jeszcze mniejszy niż był w istocie. Maluch miał krótkie spodenki, które odsłaniały poranione kolana. Dziurawe skarpety okrywały podniszczone sandały. Chłopiec siedział na skórzanej, brązowej walizce. I stała się rzecz niezwykła, bo widząc olbrzyma z bronią, zamiast krzyć głośniej, zamilkł. Malutkimi dłońmi otarł łzy z twarzy, przez co rozmazał brud jeszcze bardziej, i prócz wielkich oczu nie można było nic więcej dostrzec. Te zapłakane oczy spotkały się wkrótce ze zdumionymi oczyma dryblasza. Patrzyli tak na siebie dłuższą chwilę, aż wreszcie żołnierz przeniósł wzrok na trzymany w pogotowiu karabin. Sprawiał wrażenie zawstydzonego. Celował śmiercionośną bronią w niewinne dziecko. Zabezpieczył zatem broń, oparł ją o drewnianą skrzynię i sięgnął po ostatniego papierosa, jakiego jeszcze miał. Kiedy się głęboko zaciągnął, skierował wzrok na towarzyszy. Ci patrzyli z uwagą na nietypowe znalezisko. Zwykle małomówny wielkolud i tym razem odezwał się krótko.

– I co z nim zrobimy? – zapytał, patrząc na pu-
ste pudełko po marnych papierosach.

20 maja 2006, sobota

Emerytowany pracownik Biura Pełnomocnika Prezydenta Miasta do spraw Ochrony Informacji Niejawnych Edward Dziamski od kilku minut próbował dostać się na teren posesji przy ulicy Fałata 23 K. Z uporem naciskał dzwonek umieszczony przy metalowej bramce. Bezskutecznie. Ale Edward Dziamski był człowiekiem cierpliwym, a przy tym upartym. Taka opinia o nim przez wiele lat krążyła po korytarzach olsztyńskiego ratusza. On sam wołał, by ludzie cenili go za dyskrecję. Nie bez powodu został przecież szefem tajnej kancelarii. Przez ostatnie dwadzieścia lat, nim przeszedł na emeryturę, sprawował nad nią nadzór. Zważywszy na liczbę prezydentów, jaka w tym czasie przewinęła się przez ratusz, był to wynik imponujący. Jego szefowie, bez względu na reprezentowaną orientację polityczną, cenili zarówno kompetencje, jak i przyzwoitość niepozornego urzędnika.

Dziamski przyjechał na ulicę Fałata po tym, jak dzień wcześniej pod swoimi drzwiami znalazł szarą kopertę, której nadawcą był człowiek o nazwisku Werens. To, co w niej znalazł, sprawiło, że nie mógł zasnąć przez większą część nocy i wczesnym raniem pojechał swoim wysłużonym fordem na przedmieścia. Z zazdrością patrzył na piękne, przedwojenne wille zatopione w bujnej zieleni. To tutaj przed wojną pobudował się miejski patrycjat: wyżsi oficerowie policji i wojska, urzędnicy, fabrykanci, bogaci rzemieślnicy i kupcy. Sam mieszkał w centrum, w sypiącej się kamienicy, którą upodobały sobie koty i okoliczny element. Jedni i drudzy uczynili z klatki schodowej swoją toaletę. Nie przyszło mu jednak do głowy, by skarżyć się na cuchnący problem. Był przecież emerytowanym urzędnikiem od informacji tajnych i z wiekiem zawodowa dyskrecja i skrytość zamieniła się w chorobę. Dziamski był samotnikiem.

Jeszcze raz nacisnął dzwonek. Nic. Żadnej reakcji, najmniejszego ruchu firanki w oknie.

Koperta pojawiła się pod jego drzwiami w jakiś tajemniczy sposób. Nie było na niej pieczęci urzędu pocztowego, znaczka. Jedynie jego nazwisko zapisane pochyłymi literami. Najwyraźniej ktoś ją podrzucił, nie korzystając z usług poczty. Dziamski nie pokazał zawartości koperty nikomu. Chciał wpiery sprawdzić osobiście wiarygodność zawartej tam informacji, która, gdyby okazała się praw-

dą, oznaczałaby niewyobrażalną katastrofę. Równie dobrze mógł też to być, oczywiście, stek bzdur. Ale coś mówiło byłemu szefowi kancelarii tajnej, że należy potraktować całą sprawę niezwykle poważnie.

Nacisnął dzwonek po raz dziesiąty. Cisza. Wtedy przysłała mu do głowy pewna myśl. Skierował kroki do sąsiedniej willi. W przeciwieństwie do większości mieszkańców miasta dobrze wiedział, co znajduje się za wysokim płotem, nad którym dyskretnie zamocowano kamery. Piękna willa z roku 1939 należała obecnie do wojska. Wcześniej urzędowały tu niemieckie, a potem polskie służby specjalne. Kiedy sobie to uświadomił, groźba zawarta w liście Mariusza Werensa wydała mu się bardziej wiarygodna, a co za tym idzie – przerażająca. Dziamski obejrzał uważniej budynek przypominający górski zameczek. Wiedział o wielu tajemnicach tego domu. A był to dom niezwykle. Willa od samego początku miała niezależne od instalacji miejskiej urządzenia elektryczne, gazowe, kanalizacyjne, wentylacyjne i grzewcze. Na strychu zainstalowano potężny, bo mieszczący dziesięć tysięcy litrów wody zbiornik. Pod budynkiem były piwnice i tunele prowadzące do lasu. Edwarda Dziamskiego to nie dziwiło. Widział dokumenty, z których wynikało, że w czasie wojny mieszkańcem samowystarczalnej twierdzy był nadprezydent Prus Wschodnich Erich Koch. Kiedy ta informacja dotarła do mediów,

szybko ją zdementowano. Były szef tajnej kancelarii wiedział jednak swoje. Stał przed furtką prowadzącą na wojskową posesję i czekał. Po chwili z budynku wyszedł żołnierz w randze kapitana i zbliżył się do Dziamskiego. Ten poprosił o krótką rozmowę. Kapitan Namiel, bo tak przedstawił się żołnierz, uważnie obejrzał starca, po czym niechętnie zaprosił do budynku. Dziamski wyszedł po kwadransie wyraźnie niezadowolony. Nie uzyskał pomocy, na jaką liczył. Sam był sobie winien. Wiedział o tym doskonale. Nie chciał wyjawic celu wizyty, za to naciskał, aby żołnierze zbadali sąsiedni budynek. Powiedzieli mu, że to byłoby zwyczajne włamanie, wtargnięcie na teren prywatny. Weren-sa i jego żonę widzieli jeszcze wczoraj. Mili, starsi ludzie. Być może śpią. Niech zatem dalej dzwoni. Niech wezwie pogotowie, jeżeli już musi, albo policję. W każdym razie nie ich. Prawie go wypchnęli za drzwi. Dziamski postął jeszcze chwilę pod furtką, bez specjalnej wiary nacisnął kilka razy przycisk dzwonka. Potem ruszył w stronę samochodu.

Ostatni raz spojrzął na willę, a właściwie na drzewa rosnące za domem, z których kilka wyra-
stało ponad dach. Wtedy dostrzegł coś, co zmrozi-
ło mu krew w żyłach. W następnej chwili opętań-
czy krzyk urzędnika wstrząsnął nieco sennym bu-
dynkiem zajmowanym przez wojsko.

Były szef tajnej kancelarii Edward Dziamski i kapitan Grzegorz Namiel, nie bacząc na zadbane

kwietnik, dobiegli do opartej o bok budynku drewnianej drabiny. Nie było to jednak typowe narzędzie gospodarskie służące chociażby do zbierania owoców z drzew. Ktoś u jej szczytu przywiązał w poprzek sznurem do białej deski. Błdy urzędnik i kapitan z przerażeniem patrzyli na niezwykłą konstrukcję, która tworzyła drewniany krzyż. Do krzyża był przytwierdzony człowiek! Głowa zwisała mu na prawe ramię. Niczym Chrystusa przybito go do poprzecznej deski potężnymi gwoźdźkami. Twarz mężczyzny była całkowicie zalana zastygłą krwią, tak że trudno było go rozpoznać. Tym bardziej że zakrywała ją gęsta broda pełna brunatnych skrępow. Zabity miał na sobie długą suknię. Na okaleczonych, bosych nogach tkwiły luźno nasunięte trzewiki, a właściwie jeden. Kapitan Namiel jedną ręką pochwycił mdlejącego urzędnika, drugą zaś wyjął z kieszeni telefon komórkowy, potem wystukał kolejno numer policji i pogotowia. W prosty sposób próbował opisać to, co widzi. Kiedy to robił, dostrzegł coś, co poruszyło go do głębi. Uważnie wpatrując się w twarz ofiary zauważył, że przy prawym uchu broda zaczyna odklejać się od twarzy. Kapitan przerwał połączenie. Posadził na trawie bladego urzędnika i podszedł do upiornego krzyża. Wbrew przepisom, które nakazują, by nie zacierać śladów, wspiął się na kilka stopni i delikatnie dotknął bujnej brody. Ta odkleiła się od policzków i została w jego roztrzęsionej dłoni. Kapi-

tan Namiel ze zdumieniem odkrył, że zabitą osobą jest starsza kobieta. Znał tę twarz doskonale. Często rozmawiał z nią o uprawie ogrodu. To była żona Mariusza Werensa – Eliza.

Kapitan Grzegorz Namiel po chwilowym wstrząsie odzyskał zdolność racjonalnego myślenia. Dołączył rozmowę telefoniczną, w której podał miejsce znalezienia ofiary, adres domu z upiornym ogrodem. Sprawdził puls omdlałego urzędnika. Powinien wkrótce dojść do siebie, uznał. Kapitan wiedział, że należy szukać teraz głównego lokatora willi przy ulicy Fałata 23 K. Być może ten sam oprawca, który zamordował kobietę, teraz pastwi się nad jej starym mężem. Przez znajdujący się z tyłu domu balkon wszedł do salonu. Był pusty. Postanowił przeszukać pomieszczenia po kolei. Odruchowo skierował się do piwnicy. Odnalazł kontakt. Ponurą piwnicę wypełniło ostre światło. Żołnierz przeszukał dokładnie teren. Nie znalazł nikogo. Cały czas trzymał w pogotowiu odbezpieczony pistolet. Był przygotowany na najgorsze. Na spotkanie z oprawcą. A jeżeli mordercą jest Werens? Bzdura! Błyskawicznie wyparł z mózgu tę niedorzeczną myśl. Ruszył z powrotem na parter. Przechodził z pokoju do pokoju. Zajrzał do kuchni, sypialni. Wszystkie pomieszczenia były w nienagannym porządku. Lśniły czystością. To tylko potęgowało niepokój. Kapitana mroziła ta sterylność. Dużo lepiej by się czuł, gdyby natrafił na ślady walki, bałagan. Tak przynajmniej

mu się wydawało. W istocie nigdy nie uczestniczył w bojach. Owszem, jeździł na poligony, gdzie warunki były często spartańskie. Ale trup?! Nigdy nie widział zabitego człowieka. Był sztabowcem, siedział za biurkiem. A tu morderstwo dokonane w taki bestialski sposób! Ten porządek uznał za ważną wskazówkę. Gdyby w willi doszło do zabójstwa na tle rabunkowym, nikt nie zadałby sobie tyle trudu, aby krzyżować domowników. Byłyby ślady włamania. Może szamotaniny, walki. Jakieś przewrócone krzesło. Krótko mówiąc, wyglądałoby to inaczej. Więc co? Myśl o Werensie – mordercy znowu powróciła. Czyżby stary człowiek oszalał? Zabił żonę, z którą wieczorami siadywał w ogrodzie i jadał kolacje? Nie, to nie miało sensu. Kapitan wszedł na piętro. Sprawdzał pokój za pokojem. Przesuwając się wzdłuż ścian, parł nieuchronnie na strych. Czuł, że tam ukrył się zabójca. Tylko kto nim będzie? Myśl o szalonym mężu powróciła niczym mantra. A jeżeli to prawda? Jeżeli szalowiec jest uzbrojony? Czy kapitan będzie potrafił skierować w jego stronę broń, oddać strzał? Po drewnianych schodach wszedł na poddasze. Dzielne światło słabym strumieniem docierało przez brudne okna. Na sznurach wisiały jakieś dawno nie noszone części garderoby, teraz przypominające szmaty. Odsuwał jedną za drugą, parł do jasnej plamy na podłodze, którą utworzyły promienie słońca w kącie, przedzierając się przez dachowy właz. Kapitan Namiel delikatnie odsunął

kolejną szmatę. Po raz drugi tego dnia poczuł mdłości, zakręciło mu się w głowie. Do otworu w stromym dachu dosunięta była drabina. Na trzecim od góry stopniu siedział stary Werens. Więc to jednak on, pomyślał Namiel. Zabił ją, a potem wszedł na strych, żeby ze sobą skończyć. Kapitan chciał wydać komendę do poddania się, ale głos uwiązł mu w gardle. W świetle zmieszonym z kłębam wirujących jasnych drobin kurzu dostrzegł niewielką smużkę bezbarwnej cieczy wypływającą z ucha mężczyzny. Teraz uważniej mu się przyjrzał. Rzekomy morderca w nienaturalny sposób przechylał się do przodu. Kapitan podszedł do niego powoli. Zajrzał w martwe oczy starca. Ten miał dłonie skrupowane linką, którą ktoś przywiązał od tyłu do szczebla drabiny. Gdyby nawet bardzo się starał, sam siebie tak by nie przywiązał, pomyślał kapitan i wyczerpany przysiadł przy zabitym. Ciężko dyszał, był roztrzęsiony. Sięgnął do kieszeni na piersi po papierosy. Nie bez trudu wygrzebał jednego. W następnej chwili go złamał. Cisnął paczką o ścianę. Kręcił głową z niedowierzaniem.

– To nie może być prawda! To nie może być prawda! – powtarzał cicho. Usiłował za wszelką cenę zebrać myśli. Więc to kolejne zabójstwo. Co tu się, do cholery, stało? Po chwili wstał i okrążył drabinę. Zastygł w bezruchu. Na białej koszuli mężczyzny znajdował się wypisany jakimś czarnym mazidłem napis.

Kapitan wolno sylabizował:

– SZA... DRA.

Litery były zapisane nierówno, ostatnia zniknęła pod pachą. Przechylił głowę, w skupieniu wpatrywał się w napis. Wreszcie rozpoznał ostatnią z liter. Powtórzył ponownie, teraz już całkiem płynnie:

– SZADRAK.

* * *

Paweł Werens zamówił kolejny kieliszek wódki.

Od kilku godzin siedział samotnie w restauracji hotelu „Królewski”. Piękny, monumentalny budynek znajdował się na wyspie o nazwie Ołowianka, między rzeką Motławą a kanałem Na Stępcie. Zbudowano go w najstarszej, bo tysiącletniej części Gdańska. Werens – nowa gwiazda dziennikarstwa – został zaproszony na spotkanie organizowane przez miejscowy uniwersytet. Ścisłej rzeczujmując, zaprosił go dyrektor Instytutu Dziennikarstwa na spotkanie ze studentami poświęcone metodom pracy dziennikarza śledczego. Było to jedno z wielu podobnych do siebie spotkań, na którym opowiadał o historii napisania książki poświęconej członkom tajemniczej sekty działającej w latach siedemdziesiątych na północy kraju. Zbeletryzowana opowieść o tajemniczym tytule *Sanguis martyrum – semen christianorum* okazała się

wielkim sukcesem rynkowym. Werens zaczerpnął tytuł z łacińskiego cytatu świętego Anzelma, który w tłumaczeniu znaczył tyle co: „Krew męczenników jest posiewem chrześcijan”. Tytuł był wielce przewrotny. Owymi męczennikami bowiem okazali się członkowie aparatu represji – tajemniczy sekciarze, którzy ponieśli śmierć z rąk działającego w ich szeregach zabójcy. Popularność książki miała swe źródło w serii brutalnych morderstw. Zabójca, jako wizytówkę, zostawiał w ustach ofiar włoskiego motyla. Po wyjściu z więzienia, gdzie odsiadywał długoletni wyrok, szukał zemsty na dotychczasowych współpracownikach. Szaleniec zabijał, odtwarzając męczeńską śmierć pierwszych chrześcijan. Jak się okazało, był on nieślubnym synem przywódcy sekty – niejakiego generała Szuberta, znanego też jako Montalto. Ów generał odsiadywał obecnie w jednym z więzień kilkuletni wyrok. W dużej mierze zawdzięczał odsiadkę dziennikarzowi. Werens ustalił, że członków sekty było dwunastu. Pięciu z nich już nie żyło. Ludzi paraliżowała myśl, że gdzieś wśród nich żyje pozostałych siedmiu. Ten strach nakazywał im pędzić do księgarni. Na trzystu gęsto zapisanych stronach szukali odpowiedzi na pytanie: Gdzie ukryli się pozostali szaleńcy? Czy znowu uderzą? Czy ludzie mogą się jakoś przed nimi uchronić? Strach i ciekawość okazały się najlepszym mechanizmem reklamy. Książka stała się bestsellerem. Pisano o niej wszędzie. Na-

gle z niezbyt znanego dziennikarza jednej z warszawskich gazet Werens stał się człowiekiem sławnym. Pokazywał się w telewizji, udzielał wywiadów do radia i gazet. Zarobił przy tym całkiem niezłą sumkę. Zapraszano go na różnego rodzaju spotkania, w tym również takie jak to dzisiejsze. Zwykle nie odmawiał. Lubił ruch, wyjazdy.

Werens poprosił o następną kieliszek wódki.

Sława przyszła ze wszystkimi jej konsekwencjami. Najpierw stracił ojca. Staruszek, z którym ledwo zdążył odbudować dobre relacje po latach milczenia, zaczął zachowywać się coraz dziwniej. Jego pamięć z każdym dniem kurczyła się coraz bardziej. Werens odkrył, że to początek jakiejś straszliwej choroby. Nie było wiadomo, co jest tego przyczyną. Po miesiącach walki, niezliczonych badań, wizyt u kolejnych lekarzy stało się jasne, że traci go na zawsze. Ojciec Pawła zachorował na MCI, czyli otępienie poznawcze. Werens świadomie używał tego medycznego zwrotu, by uciekać przed straszliwą diagnozą lekarzy. Jego ojciec chorował na alzheimera. Syn podjął wówczas jedyną, jak mu się wydawało, sensowną decyzję. Załatwił ojcu miejsce w ośrodku terapii zaburzeń pamięci. Początkowo odwiedzał go co tydzień. To wiązało się również z możliwością spotkań z Hanną Glesk – piękną panią weterynarz. Poznał ją dwa lata temu, właśnie podczas prowadzenia śledztwa. Jej lekko postrzelony dziadek pomógł mu w ustaleniu gatunku owada,

którego znajdowano w ustach ofiar. To okazało się ważnym śladem... Było też dziecko Hanny. Dziewczynka miała na imię Agatka. Była teraz pięcioletnią, śliczną blondyneczką z długimi warkoczycami. Chyba go lubiła. Ale wszystko szło nie tak. Zaczął pisać tę cholerną książkę, która wciągała go coraz bardziej. Z Hanną spotykał się co weekend, potem co drugi, raz w miesiącu... Aż któregoś dnia drzwi do jej domu na przedmieściu zastał zamknięte. Właściwie to drzwi były otwarte, tyle że zamiast Hanny stanął w nich jej były mąż – Andrzej. Werens zrozumiał, że Hanna pozwoliła mu wrócić. Nawet go to ucieszyło. Kiedy to pojął, znienawidził siebie. Uświadomił sobie, że jest małym, marnym egoistą, który dba wyłącznie o swoje interesy. A kiedy ojciec dostał wylewu, droga do rodzinnego miasta została zamknięta. Czasem dzwonił do stryja – byłego księdza mieszkającego pod lasem w pięknej willi, która kiedyś miała stać się jego własnością. Wiedział, że w niej nigdy nie zamieszka. Natychmiast ją sprzeda. Zresztą stryj miał Elizę – miłą starszą panią zakochaną w nim po uszy. Nie był im do niczego potrzebny. Nie był potrzebny nikomu. Zrozumiał, że po śmierci ojca, która mogła nastąpić w każdej chwili, jego kontakt z przeszłością zostanie całkiem zerwany. O matce i bracie starał się nie myśleć. Ich tragiczna śmierć przed wielu laty to był wypadek. Równie dobrze mógł zginąć on. Ale przecież żył. Tylko po co?

Werens uniósł nad głowę rozchwianą rękę, poprosił kelnera o kolejny kieliszek zimnej finlandii.

Jego jedynym przyjacielem stał się pies. Ten sam, którego kiedyś potrafił, wjeżdżając do miasta. To od tego wszystko się zaczęło. To wtedy poznał Hannę... Znowu ta kobieta. Znowu żal, wyrzuty sumienia. I po co mu to wszystko? Niepotrzebny balast, obowiązki, to nudne poczucie przyzwoitości. W tej chwili nawet rozumiał sekciarzy ze swojej książki. Kainici. Szaleńcy z początku drugiego wieku naszej ery. Głosili pogląd, że ci, którzy mienią się dobrymi, w istocie są sługami zła. Odwrócenie pojęć. To kainici stworzyli Ewangelię Judasza, dopiero od niedawna znaną światu. Dobro i zło. Jahwe, zły Saklas, albo inaczej mówiąc Szatan, który oszukał ludzkość. I jego przeciwieństwo: potępiony w Starym Testamencie Kain. W istocie jedyny, który oparł się złemu Saklasowi. Kto tu jest dobry, a kto zły? Może właśnie dlatego, że odtrąciłem wszystkich bliskich, postąpiłem dobrze, pomyślał?

Dosyć! Dosyć na dzisiaj tych dylematów! Chcę pić! Pić i się bawić! Werens opróżnił kieliszek do dna, zostawił na stole sumę znacznie przekraczającą cenę wypitego alkoholu i ruszył do wyjścia.

Chłodny wiatr od rzeki nieco go otrzeźwił. Szedł wzdłuż Motławy, na południe. Z Ołowianki trafił na Szafarnię, po lewej miał Długie Ogrody, po prawej było Główne Miasto. Wybrał Miasto. Werens przeszedł zatem mostek na Motławie, gdzie obściski-

wała się jakaś parka. Wszedł na Stągiewną. Szedł prosto, zostawił za sobą kolejny most, Zielony. Czuł, że lekko się zatacza. Ale chciał pić dalej. Najlepiej w jakimś miłym towarzystwie. Wyszedł na Długą. Minał Dwór Artusa, posąg Neptuna, po lewej miał słynny rokokowo-klasycystyczny Dom Uphagena. Przed Złotą Bramą skręcił w prawo. W Traczkę. Minał gmach Akademii Sztuk Pięknych. Ulice były zupełnie puste. Ten fakt niemile go zaskoczył. Nie było przecież jeszcze północy. Zaczynał się sezon turystyczny. Doszedł do ulicy Świętego Ducha. Tam ruszył w kierunku głośniejszej muzyki dobiegającej z jednej z kamienic. Odczytał napis widniejący na drzwiach: „Parlament”. Brzmi ciekawie, pomyślał i mijając niewielką grupkę młodych ludzi, wszedł do wnętrza. Od progu jego uszy zaatakowała ostra, głośniejsza muzyka. Gęsty, spocony tłum podrygiwał na parkiecie. Trwał jakiś koncert. Werens odnotował, że klub ma trzy kondygnacje. Nie chciało mu się wędrować po schodach, ruszył więc do najbliższego z barów. Tu spotkała go niemiła niespodzianka. Młody barman odsunął banknot stu złotych, jakim Werens zamierzał zapłacić za wódkę. Poleciał mu udać się do kasy przy wejściu. Tam mógł zaopatrzyć się w kartę pre-paid, która stanowiła jedyny sposób płatności na terenie klubu. Pokręcił głową ze zdumieniem i wyjął z portfela sto euro. Nie miał zamiaru znowu stać w kolejce do kasy. Bardzo chciało mu się pić.

Werens wypił drinka w towarzystwie dwu ślicznych dziewczyn w skórzanych kurtkach i krótkich spódniczkach.

Ścisłej rzecz ujmując, to dwie piękności podešły do jego stolika. Starsza, a przynajmniej na taką wyglądająca, blondynka poprosiła go o niewielką przysługę. Chodziło o to, aby kupić im po drinku. Oczywiście, płacić miały one. Rzecz w tym, że jedna z nich, ta druga, wyglądała na nieletnią. Taką też była w istocie. Barmani są uczuleni na takie sytuacje. Nie podadzą alkoholu. Na uwagę Werensa, że przecież może to zrobić sama, szybko wyjaśniła, że wszyscy ją tu znają. Jej towarzyszka to tak naprawdę jej czternastoletnia siostra, która chciała koniecznie obejrzeć wieczorny koncert. Zatem taki numer nie przejdzie. Przez chwilę się wahał. Rozwahał konsekwencje. To nielegalne. Miał trzydzieści dwa lata, gdyby wcześniej zaczął życie seksualne, to młodsza z dziewczyn mogłaby być jego córką. Nie chciałby, żeby jakiś napalony trzydziestolatek kupował jego dziecku alkohol. Obiłby takiemu gnojowi mordę. Z drugiej jednak strony, właściwie, co mu szkodzi? Nie kupi on, to kupi któryś z tych wymuskanym chłopaczków śliniących się na widok zgrabnych talii dziewczyn. Pijanemu dziennikarzowi to nawet schlebiało. Te ślicznotki mogły podejść do jednego z setki facetów krążących po sali. Wybrały jednak jego. Po chwili namysłu ruszył do baru, skąd wrócił z trzema pękatymi

szklankami pełnymi wódki i soku, w których lśniły apetycznie kawałki lodu. Oczywiście, nie było mowy o tym, aby płaciły dziewczyny. Nie protestowały. Jest różnica między piciem wódki z młodymi kobietami a flirtowaniem, uznał. On tę różnicę dostrzega. Uśmiechnął się szeroko i sympatycznie. Co miało znaczyć: Wszystko jest w porządku, są granice dobrej zabawy, trzymajmy się ich. Blondynka odwzajemniła uśmiech. Jej młodsza siostra ruszyła na parkiet. Zostali sami. Siedzieli na wygodnej, skórzanej kanapie. Hałas był tak wielki, że właściwie siebie nie słyszeli. On opowiadał jakieś obiegowe opinie na temat Warszawy, z której przyjechał. Ona o studiach, rozpoczętych rok wcześniej na uniwersytecie. Studiowała germanistykę. To go nawet ucieszyło. Trochę znał niemiecki i teraz, bełkocząc i kalecząc język Goethego i Manna, próbował klecić jakieś zdania, których dziewczyna zupełnie nie rozumiała. Po kwadransie dał za wygraną, wrócił do polskiego. Ale wcześniej ruszył do baru po kolejne drinki. Siostra blondynki, która miała na imię Liza, zniknęła w tłumie pod sceną. Płynęły kolejne kwadranse. Został z Ewą, do której przysunął się na odległość gorzkiego oddechu. Niby niechący potarł dłonią o jej nagie, ciepłe przedramię. Uśmiechnął się przepaszająco. Dziewczyna odwzajemniła uśmiech. Ostra, gitarowa muzyka wwierała się w uszy, przyprawiała o żywsze bicie serca i tak już rozpalonego alkoholem mężczyznę. Po kolejnej wi-

zycie w barze zapomniał o danej wcześniej obietnicy i bez zbędnych wstępów zaproponował kontynuowanie zabawy we dwoje u siebie w hotelu przy Motławie. Blondynka na chwilę zniknęła w tłumie tańczących, po czym wróciła do Werensa i biorąc do ręki skórzaną kurtkę, dała znak do wyjścia. Zamówił taksówkę i kazał zawieźć siebie i nowo poznaną przyjaciółkę do hotelu...

21 maja 2006, niedziela

Zastępca Naczelnika Wydziału do Walki z Przestępczością przeciwko Życiu i Zdrowiu w Komendzie Miejskiej Policji Miasta Olsztyna, podkomisarz Adam Dera, był bardzo niewyspany. Całą sobotę spędził w willi przy ulicy Fałata 23 K, gdzie zabezpieczał ślady po podwójnym morderstwie dokonanym na małżeństwie Werensów. Czegoś równie paskudnego jeszcze nie widział, chociaż pracował w policji bardzo długo. Po pierwsze, nie zdarzyło mu się widzieć zamordowanego mężczyzny, który okazał się kobietą. Po drugie, nigdy w swej pracy nie widział ludzkiego ciała na krzyżu, który składał się z ogrodowej drabiny i calowej grubości deski z wiaty. A po trzecie, na strychu natrafił na człowieka w szarej komży, przywiązanego do kolejnej drabiny. Z jego uszu wypływała wodnista wydzielina, którą lekarz fachowo określił jako płyn mózgowo-rdzeniowy. Mogła pochodzić z guza, za-

palenia opon mózgowych, krwiaka. Ale tu przyczyna była inna. Lekarz stwierdził złamanie w obrębie dołu środkowego czaszki. Inaczej mówiąc, ktoś uderzył tego człowieka w głowę tak mocno, że go zabił. Potem przywiązał do drabiny. Po jaką cholere? A do tego ten napis: Szadrak. Co to może znaczyć? Te i wiele innych pytań zadawał sobie zastępca naczelnika i nic sensownego nie potrafił wymyślić. Rozmowy z ludźmi, którzy znaleźli zwłoki, też niewiele dały. Kapitan z placówki wojska znajdującej się za płotem powiedział to samo, co zauważył zastępca naczelnika. Na teren posesji sąsiadów wezwał go starszy mężczyzna o nazwisku Dziamski. Sprawdzili tego Dziamskiego. Facet przez całe życie pracował w ratuszu, był niepozornym urzędnikiem średniego szczebla. Już dawno był na emeryturze. Ciekawiej zaczęło się robić, kiedy zapytał go o cel wizyty. Mężczyzna zaczął coś kręcić. Nie znał zabitych osób, nigdy tu nie był. Dlaczego więc pojawił się wczesnym rankiem? Mieszkał przecież w zupełnie innej części miasta. Nie wyglądał na kogoś, kto uprawia poranny jogging. Zastępca naczelnika postanowił dokładnie przesłuchać owego Dziamskiego następnego dnia. Ale następny dzień przypadał w niedzielę. Co robić? Zastępca naczelnika nie był idiotą. Szybko skojarzył nazwisko zabitego Werensa ze sprawą sprzed dwóch lat. Przypomniał sobie nawet książkę autorstwa pewnego młodego dziennikarza, który co prawda starał się

nie łączyć serii zabójstw z osobą Mariusza Werensa, ale... podkomisarz był osobą bardzo drobiazgową, miał też znakomitą pamięć. Dobrze zapamiętał krótki ustęp o dzieciństwie spędzonym na Fałata. Cóż z tego, że autor nie wspomniał, pod jakim numerem mieszkał? Werensów w mieście więcej nie było. To musieli być krewni tego dziennikarza. Zastępca naczelnika nie wierzył również w przypadki. Cała ta historia śmierdzi na kilometr. A ona na smrodzie zna się jak mało kto. Dlatego jutro przycisnie tego przygarbionego człowieczka, który kiedyś musiał być całkiem wysokim mężczyzną. Starość nie radość, mnie też to czeka, pomyślał. Zdrowie już nie takie, jak dziesięć lat temu. Dwa lata wcześniej lekarz wykrył u niego problemy z sercem, wysłał Derę do sanatorium. Tak, to właśnie wtedy, latem, doszło do serii morderstw, które opisał młody dziennikarz. Policjant nie mógł wówczas poprowadzić śledztwa, w wyniku którego ujrzały światło dzienne te ponure sprawy. Także dotyczące jego kolegów. Jakie to żałosne. Zdrajcy w mundurach... A miało być tak pięknie. Weryfikacja służb po roku osiemdziesiątym dziewiątym. Nowi, oddani sprawie ludzie. Niepowiązani z przeszłością. I co się okazało? Jakie wnioski? Czy tylko tyle, że nikomu już nie można ufać, a on, Dera, jest ostatnim sprawiedliwym?

Podkomisarz pojechał do domu. Jego nastoletnia córka i żona siedziały przed telewizorem z te-

lefonami komórkowymi w dłoniach i dość głośno komentowały oglądany program. Na pytanie o powód ekscytacji rzuciły krótko, że oglądają konkurs Eurowizji. Kolację miał odgrzać sobie sam. Zmęczony policjant zjadł posiłek i chcąc się przypodobać żonie i córce zasiadł na kanapie między nimi. Od jakiegoś czasu miał poczucie winy. Zaniedbywał rodzinę. Praca pochłaniała całe dnie, czasami i noc. Siedział zatem w kapciach ze szklanką piwa w dłoni między kochanymi istotami i od czasu do czasu zadawał pytania o konkurs, zasady głosowania oraz faworytów rodziny. W pewnej chwili zobaczył na ekranie jakiegoś monstra przebrane za demony. Pomyślał, że ktoś taki mógł być sprawcą porannej rzezi. Diabły nazywały się Lordi i pochodziły z Finlandii. Żona z córką były zachwycone, kiedy jeden przez drugiego nawoływali do niszczenia i palenia. Demony zaczęły szarpać struny, hałas był potworny. Dera wstał niepostrzeżenie. Ruszył do łazienki. Wziął prysznic i poszedł spać. W środku nocy obudziły go krzyki z salonu. Nie bardzo rozumiał, co się dzieje, ale po chwili do sypialni wpadły z krzykiem żona z córką. Wygrał ich faworyt! Na grzecznościowe pytanie, kto nim był, usłyszał pełne zachwyty piskliwe:

– Lordi!

– Kto? – zapytał, bo prawdę mówiąc, niewiele mu to mówiło.

– Jak to kto?! Demony!

Zastępca naczelnika pomyślał, że oto nadchodzi nieuchronnie schyłek cywilizacji. Skrył się pod kołdrą, usiłując zasnąć. Sen miał płytki, urywany.

Dlatego, kiedy rano stanął w komisariacie przy ulicy Partyzantów 23, był zły i rozdrażniony. Przekrwionymi, niewyspanymi oczyma wypatrywał emerytowanego urzędnika z ratusza. Chciał go wdeptać w parkiet. Wcześniej jednak wyciągnąć wszystko, co tamten wiedział. Godzinę wcześniej z referatu techniki kryminalistycznej otrzymał informację, która upewniła go w tym, że Dziamski coś ukrywa. Teraz należało to tylko z niego wyciągnąć. Dera miał na to sposoby. Włączył dyktafon, zanotował datę z godziną i minutą. Przedstawił swojego rozmówcę. Były szef tajnej kancelarii Edward Dziamski miał bladą twarz i mokre dłonie, które skrył pod stołem. Siedział naprzeciwko postawnego oficera policji kryminalnej, który patrzył na niego złowrogo. Dera położył dyktafon na środku lakierowanego blatu stołu i rzucił ostro:

– Proszę mi powiedzieć, co to jest? – Z szuflady wyciągnął zawiniętą w folię kopertę.

– To?

– A czy widzi pan na tym stole coś innego?

– To jest koperta, którą przedwczoraj dostałem od nieżyjącego Werensa. Wczoraj przekazałem ją panu.

– Zgadza się. Proszę teraz opisać zawartość tej koperty.

– W kopercie jest fotografia.
– Co ona przedstawia?
– Zdjęcie obrazu.
– Czy pan wie, co to za obraz?
– Nie mam pojęcia.
– Czy aby na pewno?
– Powtarzam – nie wiem, co to za obraz.
– A może wie pan coś więcej o rewersie tego zdjęcia?

– Czyli o czym?
– O napisie, jaki tam się znajduje.
– Nie pamiętam, co tam jest napisane.
– Nie pamięta pan? Dobrze. To ja panu przypomnę. Otóż napis jest następujący: „Zostało siedem dni”. Czy może mi pan powiedzieć, co to znaczy?

– Nie mam pojęcia – powtórzył niczym mantrę błądy urzędnik.

– I z niczym się panu nie kojarzą te słowa?

– Z niczym.

– Dobrze. Spróbujemy zatem inaczej. Panie Działowski, czy ma pan jakąś bliższą bądź dalszą rodzinę?

Zaskoczony urzędnik wyjął usta i zmarszczył czoło. Milczał.

– Ma pan czy nie?

– Nie. Jestem samotny. Rodzice umarli. Rodzeństwa nie mam. Żony też. Jestem kawalerem – wreszcie wypowiedział dłuższą kwestię.

– Dobrze – policjant powoli przechodził do właściwej części przesłuchania, którą obmyślił już czę-

ściowo podczas prawie bezsennej nocy. – Niech mi pan zatem powie, ile pan dostaje emerytury?

– Co? – pytanie zaskoczyło całkowicie Dziamskiego. Wytarł rękawem starej marynarki zroszone potem czoło.

– Ile pan miesięcznie dostaje pieniędzy od państwa?

– Dwa dwieście. Czy to coś złego?

– Nie, broń boże! Jak dla jednego samotnego mężczyzny w sam raz. Chociaż zawsze można by więcej, prawda?

Dziamski milczał. Wyczuwał podstęp.

– Panie Edwardzie, proszę mi zatem wyjaśnić, skąd pan bierze pieniądze na swoje drogie hobby?

– Jakie hobby?! – Urzędnik poderwał się z krzesła.

Oficer ruchem ręki nakazał mu, aby usiadł ponownie. Dziamski wykonał polecenie natychmiast.

– Kolekcjonowanie dzieł sztuki. Całkiem drogiej sztuki. Jest pan znanym w mieście zbieraczem. Potwierdzili to wszyscy ważniejsi handlarze sztuki. Pana stałym zajęciem jest penetrowanie galerii. Edward Dziamski to osoba dobrze im znana.

– Czy to grzech? Sam pan ustalił, że nie mam rodziny. Żyję skromnie, czasem kupię coś ładnego, po przystępnej cenie.

– Zatem potwierdza pan, że ma jednak hobby. I to bardzo elitarne.

Oficer wstał z krzesła i przysunął twarz do bladej twarzy urzędnika, który prawie zniknął pod stołem. Dera zrezygnował z uprzejmości i wykrzyknął:

– Człowieku, niewiele mnie obchodzi, skąd bierzesz na to pieniądze. Widocznie dobrze kombinujesz jako były pracownik tajnej kancelarii. Od takich spraw są moi koledzy. Pytam ostatni raz, potem poproszę ich tutaj i dokładnie przetrzepią panu kieszenie. Jak to zatem jest, zajmuje się pan dziełami sztuki i nie wie, co to za obraz jest na zdjęciu? Albo odpowiesz natychmiast, albo załatwię cię chłopaki z przestępczości gospodarczej. Co wybierasz? – świadomie przeszedł z przesłuchiwanym urzędnikiem na „ty”.

Pomimo tych ostrych słów Dziamski milczał.

– Dobrze, więc ja ci powiem, co to za obraz. Zawsze jestem przygotowany do przesłuchania. Ta informacja będzie cię kosztowała co najmniej kilka lat odsiadki. Jeżeli skończy się na korupcji. Ale ja myślę, że odpowiesz za podwójne morderstwo albo współudział. Zależy, jakiego weźmiesz adwokata. A ponieważ wszystko z domu zabiorą chłopaki od przestępczości gospodarczej, zostanie ci tylko taki za dwa dwieście. Zaręczam, że to nie będzie orzeł w swoim fachu. Nie wybroni cię przed zabójstwem. Czeka cię dożywocie, Dziamski. Jak już ustaliliśmy, nie masz rodziny, która przyjdzie ci z pomocą.

– To obraz Rafaela – cicho powiedział urzędnik.

– No, brawo. Mów. Może sprawa zakończy się na kilku latach za łapownictwo.

– Ja nie zabiłem!

– Co to za obraz?! Do tego, czy zabiłeś, jeszcze dojdziemy.

– *Portret młodzieńca.*

– Co o nim wiesz?

– Ten obraz... On... on nie istnieje!

– Jak to nie istnieje?

– Zaginął po wojnie. Ktoś go zniszczył. Wcześniej wisiał w Muzeum Czartoryskich w Krakowie. Potem zniknął. Tak przynajmniej twierdzi wielu ekspertów. Są też tacy, którzy mówią, że jest gdzieś przechowywany.

– Co jeszcze wiesz?

– Był to najcenniejszy obraz w polskich muzeach, wisiał obok *Damy z łasiczką* Da Vinci. Teraz w tym miejscu wisi rama ze zdjęciem obrazu.

– A ty jak myślisz, co się stało z tym obrazem? Faktycznie został zniszczony?

– Uważam, że nie. Był zbyt cenny. Ktoś go ukradł. Być może ciągle jest w Polsce. Kiedy dostałem tę kartkę, nie mogłem się uspokoić, postanowiłem pójść do tego Werensa, żeby mi powiedział, o co tu chodzi? Obrazy to moja obsesja! Wszyscy to wiedzą.

– O, a pięć minut temu nie potrafiłeś odróżnić Picassa od Van Gogha.

– Tak? Ja to powiedziałem?

Oficer Dera pomachał mu przed nosem dyktafonem. Dziamski uśmiechnął się przeprasząco.

– Ten napis mnie przeraził. „Zostało siedem dni”. Co to ma znaczyć? Że obraz istnieje, a potem ktoś go zniszczy? Ale po co? Tyle jest przecież wart! Miliony! Grube miliony! Kiedy tam trafiłem, nikt nie odpowiadał, a przecież na odwrocie oprócz napisu był podany adres i nazwisko. Mariusz Werens, Fałata 23 K. Wtedy zobaczyłem tego trupa na krzyżu, przeraziłem się, zacząłem krzyczeć. Przybiegł ten żołnierz...

– Tak, wszystko ładnie. Tyle że, Dziamski, ta historia nie trzyma się kupy.

– Jak to, przecież ja wszystko powiedziałem! Jak na spowiedzi!

– Może tak, może nie. To jeszcze ustalimy. Problem w tym, Dziamski, że zarówno charakter pisma, jak i odciski palców na zdjęciu nie należą do zabitego Mariusza Werensa ani jego żony.

– To kto mi przysłał ten list? Czyje to odciski?

– Też bym chciał to wiedzieć.

* * *

Pięćdziesięcioletni warszawski adwokat Robert Hempel wyszedł ze swojej luksusowej łazienki. Salon natychmiast wypełnił zapach wody boucheron, ściślej – była to linia jaipur homme. Hempel lubił

dobrze ubrania i markowe wody. Wiedział, że lubią to też kobiety.

Hempel był wielkim miłośnikiem płci pięknej. Kobiety stanowiły sens jego egzystencji. Dwukrotnie żonaty, nie wytrzymał w stałym związku długo. Za każdym razem powodem rozwodu był skok w bok, a raczej dziesiątki skoków we wszystkie możliwe strony. Był nałogowym kobieciarzem. Uwielbiał seks, który z każdym rokiem coraz bardziej wypełniał jego życie. Hempel nie przepuścił żadnej kobiecie. Sekretarki w jego biurze zawsze kończyły w ten sam sposób. Trafiały do łóżka szefa, a chwilę potem na bruk. Bez problemu znajdował nowe. Był erotomanem. Godzinami przeglądał strony z twarzą pornografią, wchodził na czaty. Przynajmniej raz w tygodniu odwiedzał pobliski burdel. Adwokat nie należał do mężczyzn urodziwych. Niski, otyły, z rzadkimi, rudymi włosami zaczesanymi na czoło. Wiek również nie był jego atutem. Niedostatki natury nadrabiał wypchanym portfelem. Zawsze znalazła się chętna, by zainkasować kilkaset złotych.

Hempel włożył ciemnogrnatową koszulę z cienutkim białym prążkiem firmy Otto Hauptmann. Była to koszula w modnym kroju slim fit, a zatem mocno dopasowana. Adwokat ze swoim brzuchem wyglądał w niej okropnie, ale zbytnio się tym nie przejmował. Prawdę mówiąc, miał o sobie jak najlepsze zdanie. Stał przed wielkim lustrem, w którym widział człowieka sukcesu. Bogatego, wpły-

wowego i zadowolonego. Zerknął na lewy nadgarstek, który otaczała srebrna bransoleta z zegarkiem marki Omega. Był dumny z tego cacka. Nie znał nikogo, kto nosiłby limitowaną Omegę Speedmaster, którą wyprodukowano na pamiątkę czterdziestej rocznicy lądowania człowieka na Księżycu. Moonwatch Apollo 11 nosiło na całym świecie tylko 7969 ludzi. Takich jak on. Przebojowych, którzy radzili sobie w każdej sytuacji. Ten zegarek dostał jako prezent od pewnego starego wojskowego, emerytowanego generała. Hempel nie wnikał, skąd tamten facet miał forszę. Warto dodać, że dużo forsy. Adwokat właśnie wyciągnął go z więzienia, gdzie odsiadywał długoletni wyrok. Hempel nie interesował się powodami, dla których starzec trafił za kraty. Owszem, wiedział, że wysoki oficer był zamieszany w serię morderstw sprzed dwóch lat. Ale niczego mu nie udowodniono. Siedział za zlecenie zabójstwa syna. Była też sprawa wywozu z kraju bezcennych dzieł sztuki, ale ta ciągnęła się miesiącami i nie wiadomo było, czy w ogóle się zakończy. Ciągłe wychodziły na jaw jakieś nowe informacje. Wtedy to generał zwrócił się o pomoc do adwokata za pośrednictwem człowieka, który siedział z nim w jednej celi, a jakiś czas temu opuścił więzienie. Propozycja była kusząca. Sto tysięcy za wyciągnięcie z pudła. Hempel zgodził się bez namysłu. Miał doświadczenie w tego typu sprawach. To dlatego generał zwrócił się do niego o pomoc.

Adwokat sprawdził świeżość swojego oddechu. Niezadowolony poszedł do łazienki, wrócił z odświeżaczem. Chciał dobrze wypaść podczas spotkania ze zleceniodawcą. Poniedziałek miał być dniem rozliczeń. Adwokat nie chciał żadnych przelewów, suma była zbyt duża i ktoś mógłby na nią zwrócić uwagę. Hempel zażądał gotówki. Umówili się na piątą, była dopiero pierwsza. Ale stary świntuch zaplanował na ten dzień więcej atrakcji. Za kwadrans miały przyjść do niego dwie młode prostytutki, które poznał w piątek na korytarzu sądowym. Miały składać zeznania w sprawie alfonsa, którego zaskarżyła inna z jego znajomych. Hempel chwilę porozmawiał z nimi pod drzwiami, spodobała mu się ich wulgarność i młody wiek. Wziął numer telefonu, rankiem zadzwonił. Były wolne od pierwszej. Zaplanował zabawę na trzy godziny. Potem będzie wielka wypłata...

Adwokat Hempel czekał na swoje honorarium. Postanowił, że będzie wyjątkowo hojny dla młodych prostytutek. No, chyba że nie spiszą się zbyt dobrze... Ale nie wyglądały na amatorki. Znał się na tym jak mało kto. Dobrą dziwkę rozpoznawał na kilometr. Zresztą uważał, że wszystkie kobiety to dziwki. Każda się puści, to tylko kwestia odpowiednich argumentów, czyli pieniędzy. Na myśl o orgii uśmiechnął się lubieżnie do swojego odbicia w lustrze. W następnej chwili usłyszał dzwonek domofonu. To one. Były punktualne, cenił to. Zatarł ręce i ruszył do drzwi.

Nie patrząc w wizjer, zwolnił blokadę i szeroko rozwarł ciężkie dębowe drzwi. W tej samej chwili poczuł pieczenie oczu. Zasłonił je natychmiast, podobnie jak i usta. Gaz, zdążył pomyśleć. To był podstęp, ktoś zaatakował go gazem. Rzucił się do ucieczki. Wbiegł do salonu, przewracając krzesła, skoczył w kierunku sypialni. Mieszkał na pierwszym piętrze, a w sypialni były drzwi balkonowe. To jedyna szansa. Może ucieknie. Jednak nie zdążył. Poczucił silne uderzenie w kark. W następnej chwili osunął się na kolana, przy tym uderzył czołem we framugę. Z oczu płynęły mu łzy zmieszane z krwią z rozciętej głowy. Gaz piekł potwornie, jakby ktoś rozpałił mu pod powiekami ogień. Hempel pocierał puchnące źrenice, co jeszcze bardziej potęgowało ból. Ten, który zaatakował, za kołnierz pięknej koszuli ciągnął go teraz do salonu. Hempel oślepl. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał przed śmiercią, był chrzęst srebrnej bransolety wspaniałej Omegi, którą morderca ściągał mu z nadgarstka. Cios zadany nogą dębowego krzesła zmiażdżył mu czaszkę. Kolejne uderzenia nie były potrzebne.

Z ciałem adwokata morderca obszedł się w osobliwy sposób. Na zdeformowaną czaszkę nasunął przyniesiony ze sobą wieniec z białych chryzantem, a wokół luźno zwisającej ręki owinął tasiemkę, na końcu której znajdowała się jarmarczna, plastikowa trąbka. Chwilę patrzył na tę niezwykłą kompozycję, z niesmakiem wydał usta. Gdyby to od niego

zależało, nie zdobyłby głowy tego łajdaka kwiatami, prędzej by ją ukrecił. Ale to nie on podejmował decyzje.

* * *

Dyżurny kompanii ochrony sztabu jednostki wojskowej 1609 kapral Piotrowski był przerażony. Sam nie wiedział, z jakiego tak naprawdę powodu. Po pierwsze śniło mu się, że ciemnym korytarzem goni go jakaś zakapturzona postać z długim nożem. Po drugie, co było dużo gorsze, kiedy się obudził, za szybą dyżurki, w której pełnił służbę, dostrzegł postawnego kapitana z ciemnym wąsem, który patrzył na niego złowrogo. Teraz oficer zaczął się wydzierać i tłuc pięścią w szybę. Kapral Piotrowski wiedział, że czekają go duże kłopoty. Zasnął na służbie! Z głową ułożoną na blacie biurka przespał dobrych kilka godzin. Kątem oka zerknął na zegarek. Dochodziła druga po północy. Kapral zwykle potrafił w porę usłyszeć kroki wchodzącego na pierwsze piętro oficera dyżurnego. Poprawiał mundur, wciskał na głowę czapkę i na widok przełożonego zrywał się z krzesła, by zdać mu meldunek. Ale nie tej nocy! Raz, że poprzedniego dnia miał przepustkę, którą wykorzystał na upojne chwile z narzeczoną. Nie spał ani minuty! Dwa, przemyślił do stróżówki niewielkie radio. Przy dźwiękach piosenek mijały mu kolejne godziny służby.

Dlatego nie usłyszał kroków na schodach. Jak nic czekał go kilkudniowy areszt, który oznaczał machanie łopata od rana do nocy przy sztabowej kuchtowni. Trudno, pomyślał kapral Piotrowski, jak pech to pech. Może zapomnieć w najbliższym czasie o nocy z ukochaną.

Otworzył drzwi dyżurki i zsalutował kapitanowi, którego czasem widywał w sztabie. Dokładnie nie wiedział, z której tamten jest kompanii. Jakie to zresztą ma teraz znaczenie? Paka i tak go nie ominie. Z drugiej strony, co właściwie ten oficer robi o drugiej w nocy w sztabie? Będzie musiał odnotować tę wizytę w dzienniku. Takie są przepisy. Nawet teraz na terenie sztabu przebywało kilka osób, chociaż był środek niedzielnej nocy. Widocznie mieli jakieś pilne zadania, z którymi nie poradzili sobie w ciągu tygodnia. Nie jego sprawa. Kapral zamierzał poprosić tamtego o dokument uprawniający do wejścia na teren jednostki, kiedy kapitan wyciągnął ze skórzanej teczki czarny notes i tonem nieznoszącym sprzeciwu zażądał od kaprała podania swojego nazwiska i nazwiska bezpośredniego przełożonego. Piotrowski ponownie poczuł strach. Jego czoło zrosił zimny pot. Jąkając się, wymienił funkcję i przydział. Kapitan szybko zanotował informacje i złowrogo spojrzął na dyżurnego. Nie uszło jego uwadze również niewielkie radyjko, z którego wciąż brzęczała muzyka. Teraz, jakby dla podkreślenia dramatyzmu położenia kapra-

la, z głośnika płynęły smutne dźwięki. Młody żołnierz nie miał wątpliwości – śpiewał Sting. Tylko co mu po tej wiedzy? Kapitan w następnej chwili jakby nieco złagodniał, bo nakazał Piotrowskiemu schować radio i skupić się na pełnionej służbie. Potem chwycił za klamkę drzwi prowadzących do sztabowych gabinetów. Ruszył ciemnym korytarzem w prawo. Kapral słyszał jego kroki, które odbijały się echem od trzeszczącego parkietu. Młody żołnierz był teraz zupełnie rozbity. Raz, że nie miał odwagi zażądać dokumentów uprawniających kapitana do nocnych wizyt. Dwa, kapitan kazał mu schować radio. Czyżby była jednak jakaś nadzieja? Nie doniesie na niego? Kapral nie wiedział, czy ma teraz zadzwonić do dyżurnego oficera i zdać mu relację z wizyty kapitana. Jeżeli to zrobi, będzie musiał powiedzieć o okolicznościach, w jakich pojawił się nocny gość. A tego za żadne skarby świata nie chciał uczynić. Przewornie zatem skrył się w swojej dyżurce i bezmyślnie zaczął przeglądać dziennik odwiedzin. Im dłużej to robił, tym bardziej był przeświadczony o tym, że nie napisze ani słowa o nocnej wizycie. Bo i czyjej? Nazwisko kapitana pozostawało nieznane.

Kapitan Kordan zatrzymał się przed drzwiami gabinetu oznaczonego cyfrą 145, który należał do zastępcy dowódcy brygady. Zdjął czapkę i delikatnie zapukał do drzwi. Po chwili ponowił pukanie. Nikt nie odpowiadał. Wreszcie ktoś za drzwiami

ruszył w jego kierunku. Korytarz rozjaśniło światło wypływające z wnętrza gabinetu. Kapitan szybko zniknął w pomieszczeniu.

Za dużym, dębowym biurkiem siedział pięćdziesięcioletni mężczyzna w połowym mundurze. Pa-lił fajkę, której trudny do wytrzymania, cuchnący zapach wypełniał całe pomieszczenie. Mężczyzna dłonią, w której trzymał cybuch, wskazał krzesło przybyłemu, sam nie podnosząc się z wygodnego fotela. Kiedy kapitan zajął wskazane miejsce, oficer w stopniu pułkownika przyglądał mu się w milczeniu dłuższą chwilę, napięcie z każdą sekundą stawało się coraz bardziej nieznośne. Dym nieprzyjemnie drażnił oczy kapitana. Cóż to za zapach? Pytanie o markę tytoniu coraz natarczywiej zajmowało myśli żołnierza. Na stole dostrzegł puszkę ozdobioną dwupłatowym samolotem z czasów pierwszej wojny. Nad nim dostrzegł napis: „Squadron Leader Tobacco”. A zatem to tytoń angielski.

Oficer, który go wpuścił do pokoju, był majorem. Rudym czterdziestolatkiem o wąskiej twarzy i szarych, rozbieganych oczach. Zajął miejsce na krześle pod oknem. Z uwagą wpatrywał się w kapitana, sam był prawie niewidoczny. Wreszcie siedzący za biurkiem pułkownik powiedział:

– Kapitanie Kordan, zdaje pan sobie sprawę, w jakim celu wezwałem pana do siebie w środku nocy?

Przybyły skinął głową.

– To, co pan za chwilę usłyszysz, jest adresowane jedynie do pańskich uszu. Ani ja, ani obecny tu major Ruciak po pańskim wyjściu nie będziemy pamiętać o tej rozmowie.

– Rozumiem.

– Proszę mi nie przerywać!

Kordan zmieszał się i z pokorą ponownie skinął głową. Równocześnie mocno zacisnął dłonie na daszku trzymanej na kolanach czapki. Smród wypełniający pokój coraz bardziej go drażnił. Chciał w tej chwili zasłonić nozdrza palcami, lecz powstrzymał się.

– Tej rozmowy nigdy nie było, panie kapitanie.
– Pułkownik przesunął w kierunku przybyłego czarną tekturową teczkę.

Kordan uniósł skrzydło okładki. Chwilę czytał zawartość umieszczonych tam kartek i wpatrywał się w kolorowe zdjęcie. W następnej chwili spojrzał na przełożonego, który nie przestawał palić.

– Poblądł pan, kapitanie. Czy coś nie tak? Wody?

– Przepraszam, pułkowniku – wydusił Kordan i wolno wstał z krzesła. Chciał schować teczkę do skórzanej torby, lecz pułkownik pokręcił z dezaprobatą głową. – Ten zapach...

– Mocny, prawda? To aromat syryjskiej lataki. Dla niewtajemniczonych ten tytoń śmierdzi przepoconymi trzewikami. Złośliwi mówią nawet, że Beduini dosuszają go dymem powstałym z palo-

nego wielbłądziego łajna. Bzdura! Dopiero znawcy są w stanie docenić ten aromat... Wracając do rzeczy. Tej teczki już nie ma. Rozumie pan? Zaraz zniknie na zawsze.

– Oczywiście.

– Wie pan, co robić. 26 maja. Piątek. Miejsce i cel pan właśnie poznał. Czasu jest mało. Proszę zacząć działać, kapitanie. Za pięć dni świat będzie wyglądał inaczej. I to pan przyczyni się do owej zmiany!

Kordan odłożył na blat biurka teczkę, sztywno się uklonił i wydusił przez ściśnięte gardło:

– Zrozumiałem. Przystępuję do wykonania rozkazu. Czy mogę prosić o zgodę na opuszczenie pokoju?

Pułkownik skinął głową, co oznaczało, że Kordan może wyjść. W następnej chwili wstał, obszedł biurko i podał mu dłoń. Popatrzyli sobie krótko w oczy a na twarzy pułkownika Kordan dostrzegł coś na kształt podziwu. Milczący dotychczas major chwycił kapitana pod ramię i odprowadził go do drzwi. Kiedy je otwierał, szepnął mu do ucha:

– Bardzo na pana liczymy, kapitanie. Proszę nas nie zawieść.

Kordan wyszedł na korytarz. Zdawało mu się, że kolana uginają się pod nim, a on nie jest w stanie opanować drżenia ciała. Potarł spoconymi dłońmi twarz, skóra przeszła śmierzdzącym dymem latakii. Kręciło mu się w głowie. Sam nie wiedział, czy bar-

dziej od smrodu pustynnego tytoniu, czy od myśli o zadaniu, jakie przed nim postawiono? Wreszcie krew wolno wracała. Kapitan ruszył w kierunku wyjścia. Pchnął drzwi na klatkę schodową. Po lewej minął młodego dyżurnego, który nie wiedzieć czemu również był błady. Czyżby nas podsłuchiwał?, pomyślał. Lecz w następnej chwili uświadomił sobie niedorzeczność tej myśli. Kiedy znalazł się przed budynkiem, poczuł przyjemny chłód nocy. Spojrzał na rozgwieżdżone niebo i pomyślał, że być może jest to ostatnia niedzielna noc w jego życiu.

* * *

Werensa obudził hałas dobiegający z ulicy. Otworzył opuchnięte oczy i zaraz je zamknął. Za oknem był dzień, świeciło ostre słońce. Woda w Motławie płynęła leniwie, na drugim brzegu zwanym Rybackim spacerowali już pierwsi ludzie. Od świtu ulicami Głównego Miasta snuły się tłumy kolorowych turystów, którzy rzucali się na wszelkiego rodzaju pamiątki. Potem napełniali żołądki w setkach restauracji, barów, knajp i sezonowych bud. On dzisiaj na pewno śniadania nie tknie! Dlaczego wieczorem nie zasunął rolet? Jasne, uśmiechnął się krzywo, akurat w nocy myślał o roletach! Miał co innego na głowie. Teraz uświadomił sobie, że trzeba było wziąć pokój od strony wschodniej. Tam pewno panowała cisza. Ale kto to mógł przewidzieć?

Zapewne obsługa, ale na tych nigdy nie można liczyć. Jakaś delikatna, kobieca dłoń obejmowała go w nagiej talii. Werens przypomniał sobie miniony wieczór, a właściwie jego początek. Bawił się z jakimiś młodymi kobietami, a właściwie z jedną. Jak jej było na imię? Ewa? Chyba tak. To jej rękę czuł teraz na sobie. Noc była jedną wielką czarną dziurą. Chyba było miło? Teraz trzeba będzie odbębnić cały ten cyrk z miłym pożegnaniem. Kac nie pozwalał zebrać myśli. Werens miał mdłości, bardzo chciało mu się pić. Głowa zaczynała pęcznieć, jakby miała za chwilę eksplodować. Obok leżało kuszące, ciepłe ciało, ale on nie miał ochoty na poranny seks. Postanowił, że po wyjściu dziewczyny weźmie prysznic, spakuje torbę i pojedzie na lotnisko. Samolot do Krakowa ma o dwunastej. W poniedziałek czeka go kolejne spotkanie z czytelnikami. Tym razem w jakimś dworku za miastem. Hałas od strony rzeki był nieznośny, jakby ktoś uparł się i celowo dudnił pod jego oknami. Owinął biodra koszulą, którą znalazł na dywanie i ruszył do okna. No tak, nie było zamknięte. Pchnął je, nie będąc ciekawym, co się dzieje na dole. Ruszył w drogę powrotną do łóżka. Nagle poczuł, jak błyskawicznie trzeźwieje. – O co chodzi? Co to ma znaczyć! Kim jesteś? – rzucał jedno krótkie zdanie za drugim. Prawie krzyczał. Odruchowo sięgnął po kołdrę, spod której zwisały na dywan rude włosy. Nie bacząc na to, że dziewczyna jest zupełnie

naga, zdarł z niej okrycie. W tej samej chwili skamieniał. Czuł, że brakuje mu powietrza, a z twarzy odchodzi krew.

W łóżku leżała naga, sprawiająca wrażenie bardzo zaspanej, piękna dziewczyna. Niestety, nie miała na imię Ewa.

– Liza? Na boga, dzieciaku! Co ty tutaj robisz?!
Gdzie jest Ewa?!

Ślicznotka patrzyła na niego z obojętnością, która po chwili zamieniła się w nienawistny uśmiešek.

22 maja 2006, poniedziałek

W sali zwanej Magnasca, znajdującej się na drugim piętrze Muzeum Czartoryskich w Krakowie, było dwóch mężczyzn. Stali pod obrazem o nazwie *Anachoreci* Alessandro Magnasco. Nie byli jednak zainteresowani obrazem wybitnego genuńczyka przedstawiającym mnichów samotników, ani też innymi wytworami malarstwa zachodnioeuropejskiego, które zebrano na drugim piętrze pałacu przy ulicy Świętego Jana. Wcześniej szybko minęli sale: Włoską, Narożną, Leonarda, Portretową, Rembrandta i Korytarzyk holenderski oznaczone kolejno rzymskimi liczbami od IX do XIV. Skryli się w sali XV, znanej również jako Ciemna. Wysoki, szczupły mężczyzna nosił strój strażnika muzealnego, zaś towarzyszący mu starzec był emerytowanym kustoszem tegoż muzeum. Stary sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego. W południe przyszedł do muzeum, aby pozbierać myśli. Po bezsennej nocy

spędzonej w dużym mieszkaniu z cienkimi ścianami, za którymi odbywało się taneczne party, potrzebował spokoju. Na piętrze wpadł na strażnika, który tonem nieznoszącym sprzeciwu nakazał mu udać się do oddalonej sali. Przeraził się. Nie znał tego człowieka, chociaż bywał w tym budynku często. Ale nie miał wyjścia, posłuchał. Ruszyli przez sale. Zaciemiony pokój numer XV dziesiętnastowiecznego pałacu był pusty. Nie licząc oczywiście starego kustosza Henryka Badera i wysokiego mężczyzny, który teraz wydobył z kieszeni spodni składany nóż.

Bader doznał olśnienia. Nadeszło to, co nieuchronne. Ilekroć myślał o śmierci, wyobrażał ją sobie inaczej. Miała postać białego całunu, który zakryje jego ciało. Czy tak będzie w istocie? Łysy kustosz padł na kolana, zrezygnowany pochylił głowę. Czekał na pchnięcie zimną stalą. Wiedział, kto kieruje tą zbrodniczą ręką. Fałszywy strażnik był tylko bezdusznym wykonawcą rozkazu. Wiedział też, że opór nie ma większego sensu. Znaleźli go. Może przez cały ten czas, przez te wszystkie lata, obserwowali go? Dzień wcześniej otrzymał niezwykle list. Ktoś, teraz już wiedział, kto, wsunął ten list pod drzwi jego mieszkania. Trudno nazwać tę osobliwą przesyłkę listem, właściwie było to zdjęcie. Przedstawiało fotografię obrazu Rafaela, a właściwie tego, co nim było kiedyś. Na zdjęciu był dopisek. W nocy kustosz po raz setny sięgnął po zdję-

cie. Potem wyciągnął z kieszeni sztruksowej marynarki szkło powiększające, jakby chciał wyczytać więcej z czarno-białej kartki. Ale prócz słowa „Szadrak” nie znalazł nic. No, może jeszcze jakieś nieznane mu nazwisko: Werens. Paweł Werens. Ale to nie miało już znaczenia. Nóż wszedł wolno w serce starego kustosza. Całun, tyle że czarny, zakrył mu powieki.

* * *

Podkomisarz Adam Dera siedział na niewygodnym krześle, które polecił mu przynieść z korytarza jego szef. Na wygodnych fotelach w gabinecie naczelnika siedziało już dwóch cywilów. Dla zasłużonego policjanta siedzenia zabrakło. Upokorzenie, jakiego doświadczał Dera było niczym w porównaniu z tym co miało go za chwilę spotkać.

– Jak panowie widzą – rozpoczął rozmowę naczelnik Wydziału do Walki z Przystępczością, nadkomisarz Jakub Kubis – działamy w skromnych warunkach. Co wcale nie znaczy, że przez to jesteśmy mniej skuteczni. Chociaż... Jakieś środki by się przydały.... – uśmiechnął się do cywilów. – Ale nie stan naszego posiadania jest tematem tej rozmowy. Wszyscy wiemy, co wydarzyło się w sobotę w pewnej willi na przedmieściach. Pamiętamy też wydarzenia sprzed dwóch lat. Nie chcemy podobnej hysterii, wścibskich mediów i całego tego za-

mieszania, które może pociągnąć nas na dno. Jak panowie widzą, wyrażam się w sposób jasny, bez niepotrzebnych wstępów. Możemy na tej sprawie wiele zyskać, ale możemy też już nigdy więcej nie spotkać się w tym gronie. I żeby nie było wątpliwości – to was tutaj nie będzie. Ja zamierzam do- trwać na tym stanowisku do emerytury.

Podkomisarz Dera uważnie przyjrzał się mężczyznom wygodnie siedzącym w miękkich fotelach. Nie trzeba było być wielkim znawcą tematu, by wiedzieć, że są to ludzie z branży. Zastanawiał się, kogo reprezentują. Nie musiał długo czekać na odpowiedź, bo w następnej chwili nadkomisarz Kubis dokonał prezentacji.

– Panowie są z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrz- nego. Przybyli natychmiast po otrzymaniu informacji o tym, co się wydarzyło. Podkomisarz Dera zajmuje się tą sprawą. Kolego, proszę o raport.

Stary policjant dłuższą chwilę milczał. Patrzył niechętnie na waźniaków z Warszawy. Ci wyglądali prawie identycznie. Łysawi, w ciemnych okularach zakrywających oczy i znaczną część twarzy. Mogli- by być braćmi. Chciał dać im do zrozumienia, że on też wie, jak prowadzić śledztwo. Właśnie, czy to jeszcze jego sprawa, czy może już ją stracił? Posta- nowił być czujny. Jeżeli chodzi o to, aby wyciągnę- li z niego wszystko, co już ustalił, a potem usunął się na bok, to niewiele im powie. Niech babrzą się

w tym bagnie sami. Ale jeśli mają razem ciągnąć tę paskudną sprawę, musi grać fair. Tyle że podkomisarz tego nie wiedział. Zaczął zatem ostrożnie:

– Jak panowie zapewne wiecie, w sobotę rano odkryto zwłoki Elizy i Mariusza Werensów. Mężczyzna przez wiele lat był miejscowym proboszczem. Kilka lat temu odszedł z Kościoła i związał się z byłą gosposią. – Z teczki trzymanej na kolanach wyjął zdjęcia wykonane przez techników i podał je mężczyznom. Ci oglądali je z uwagą. – Co ważne, z domu nie zginęło nic cennego. Tak przynajmniej można sądzić. Nie wiemy przecież, czy były ksiądz nie miał gdzieś ukrytych pieniędzy, kosztowności i tak dalej... Wszystko wskazuje na to, że nie było to zabójstwo na tle rabunkowym. – Tu uśmiechnął się do ponuraków. – Gdyby tak było, nie gościlibyśmy u nas tak ważnych funkcjonariuszy. – Nie odwzajemnili uśmiechu. – Zwłoki odkryli Edward Działowski, były urzędnik z ratusza i Grzegorz Namiel, kapitan wojska. Ten pierwszy otrzymał dzień wcześniej list, a raczej zdjęcie z krótkim dopiskiem na rewersie. Tekst brzmiał następująco: „Zostało siedem dni”. Samo zdjęcie przedstawiało obraz Rafaela *Portret młodzieńca*, który ostatni raz widziano na Wawelu w rezydencji Hansa Franka – generalnego gubernatora ziem polskich. Frank został stracony w Norymberdze w 1946 roku. Obraz przepadł. Uważa się, że był on jednym z najcenniejszych dzieł sztuki zrabowanym w czasie II wojny

światowej. Są tacy, którzy twierdzą, że obraz został zniszczony. Ale inni, na przykład wspomniany emeryt, twierdzą, że dzieło jest nadal na terenie Polski. Ten urzędnik to płotka. Myślę, że ktoś posłużył się nim, aby znaleźć się w określonym czasie w określonym miejscu. Zarówno charakter pisma, jak i linie papilarne nie należą do Werensa. Znaczy to tyle, że ktoś napisał list w imieniu księdza, podał jego adres. Znał pasję starego urzędnika, wiedział, że ulegnie pokusie. Moim zdaniem autor listu to morderca księdza i jego gosposi. – Podkomisarz ugryzł się w język, bo powiedział więcej niż zamierzał. Ale mówił dalej. – Ten Dziamski nie potrafi powiedzieć, jak wszedł w posiadanie zdjęcia. Twierdzi, że nie zna Werensa, nigdy nie był u niego w domu. Kupuje dzieła sztuki, chociaż żyje z emerytury. Ale to już ustaliliśmy. Ten Dziamski to pionek. Nic więcej. Wypuściłem go do domu. Nie ma powodu, aby go przetrzymywać.

Zapadła pełna wyczekiwania cisza. Słowa podkomisarza nie zrobiły większego wrażenia na przybyłych. Ale tego Dera się spodziewał. Mówił zatem dalej:

– Równie nieciekawie wygląda sprawa byłego księdza o nazwisku Werens. Całe dorosłe życie sprawował posługę kapłańską. Kilka razy zmieniał parafie, by osiąść na emeryturze w rodzinnym domu. Otrzymał go w spadku po ojcu. Śmierć zadano mu tępym narzędziem. Pęknięcie podstawy

czaszki. Napis, który znaleźliśmy na jego plecach, wykonano kawałkiem węgla, najpewniej z piwnicy. Sprawdziliśmy, co znaczy. Otóż Szadrak to bohater biblijnej opowieści o królu Babilonu Nabuchodonozorze. To Żyd wybrany jako jeden z trzech do służby u króla. Ludzie ci odmówili złożenia pokłonu przed złotym cielcem, za co zostali wrzuceni do ognia. Ale stał się cud. Ogień nie zrobił im krzywdy. Wiara uratowała im życie. Król docenił ich pobożność, uszanował boga, któremu pozostali wierni. To wszystko. Ani tu pieca, ani króla. Beznadziejna sprawa. Innych Szadraków nie znaleźliśmy.

Podkomisarz patrzył z ciekawością na ludzi zebranych w gabinecie szefa. Czekał na jakieś sugestie, wnioski, wreszcie rozkazy. Ale tamci milczeli. W ich zachowaniu zmieniło się tylko to, że teraz nie patrzyli już na zdjęcia, lecz na nadkomisarza Kubisa. Jeden z nich, ten bliżej biurka, delikatnie skinął głową w kierunku naczelnika. Wtedy tamten spojrzał na podkomisarza Derę wzrokiem zimnym jak lód i wypowiedział słowa, których policjant w pierwszej chwili nie zrozumiał:

– Pierwszego maja zaczął się sezon na szczupaka. Tak twierdzi mój sąsiad, który czasem przynosi mojej żonie te ryby.

Podkomisarz Dera czuł, że dzieje się coś niedobrego. Słuchał dalej w wielkim skupieniu.

– Panie podkomisarzu, od jutra może pan zająć się tym sympatycznym hobby. A jeżeli nie lubi pan

ryb, to niech pan coś wymyśli. Jest pan całkiem dobry w wymyślaniu historii. Szkoda tylko, że nieco gorzej jest ze stąpaniem po ziemi.

– Wypraszam sobie! – podkomisarz Dera zerwał się z niewygodnego krzesła. – Co to ma znaczyć?!

– Znaczy to tyle, że jest pan zawieszony na czas nieokreślony.

– Niby za co?

– Ten pański mało ważny świadek, ten Dziamski, zniknął. Jego telefon milczy. Sąsiedzi nie widzieli go od wczoraj. W mieszkaniu go nie ma. Facet zapadł się pod ziemię.

Dera zbladł. Czuł, że za chwilę eksploduje. Zaciśnął w dłoni daszek czapki. Zerwał się z siedzenia. Krzesło za nim upadło z hukiem na parkiet. Nie myślał, żeby je podnosić. Ukłonił się nieznacznie i bez słowa, na sztywnych nogach, wyszedł z gabinetu szefa. Dopiero za drzwiami odzyskał częściowo spokój. Szedł korytarzem, mijał funkcjonariuszy, którzy patrzyli na niego z niepokojem. Dotarł do schodów prowadzących na zewnątrz budynku. Trzymając się poręczy, zszedł na parter. Pchnął drzwi. Powietrze z ulicy, hałas, pęd samochodów, wszystko to sprawiło, że poczuł się dużo lepiej. Pomyślał, że ta godzina spędzona w gabinecie szefa w towarzystwie pary milczących palantów była gorsza niż niedzielne popołudnie w prosektorium. Tak właśnie spędził wczorajsze popołudnie. Pró-

bował dowiedzieć się czegoś więcej o zamordowanych kobiecie i mężczyźnie. Ale to już nie miało znaczenia. Od tej chwili jest wolny. Może faktycznie pojedzie na te ryby? Nigdy tego nie robił. To chyba nie jest takie trudne? Kupi wędkę, robaki, czego jeszcze potrzebuje taki wędkarz? Dowie się w sklepie. Teraz siedział na murku okalającym schody wejściowe do komendy. Naprawdę czuł się dużo lepiej. Zmrużył oczy. Wtem jakiś cień zasłonił mu ciepłe promienie słońca. Niechętnie je otworzył. Po chwili rozpoznał koleżankę z pracy, całkiem ładną dziewczynę o nazwisku Krupa. Aspirant Anna Krupa z Referatu Techniki Kryminalistycznej. Lubili się. Często ze sobą współpracowali. Teraz pani aspirant z uwagą wpatrywała się w ponurą twarz kolegi.

– Słyszałam, co ci zrobili. Nie przejmuj się tymi bucami. Skąd mogłeś wiedzieć, że ten stary tak skończy. Gdybyś go zatrzymał, byłyby krzyki, że nadużywasz władzy. Adam, naprawdę to nie twoja wina. To robota tych cwaniaków z agencji. Z drugiej strony, przecież to nie twój zakres działań.

– Jak to nie mój zakres? – Dera był zaskoczony tym, co usłyszał.

– Terror to nie twoja działka.

– Jaki terror? O czym ty, do cholery, mówisz?!

– Nie powiedzieli ci? Przecież ci faceci w gabinecie Kubisa są z Departamentu Przeciwdziałania Terroryzmowi...

Podkomisarz Dera znowu zrobił się blady, delikatnie odepchnął dziewczynę i biorąc po trzy stopnie, popędził do gabinetu naczelnika.

* * *

Paweł Werens nie poleciał do Krakowa. Odnalazł numer telefonu do organizatorów spotkania z czytelnikami i odwołał je. Był chory. Jego choroba brała się z dwóch powodów. Po pierwsze, poranny kac nie ustępował i Werens postanowił leczyć się tym, czym się zatruł. Do południa wypił dwa duże drinki, które poprawiły jego stan fizyczny, ale zupełnie rozkleiły go emocjonalnie. Cały czas myślał o tym, co stało się w nocy z soboty na niedzielę. Jak to możliwe, że przy jego boku leżała nieletnia dziewczyna? Przecież szedł do łóżka z inną. Tamta z pewnością była dorosła. Co nieco z tego pamiętał. Było całkiem przyjemnie. Ale skąd ta druga? Kiedy się pojawiła? A może była z nimi od początku? Czy to możliwe? Czy był tak pijany, że tego nie zauważył? Wreszcie, czy do czegoś między nimi doszło? Dobrze wiedział, czym to grozi. Przerażony sięgnął po kolejnego drinka. Ta główniara w tej chwili stawała się jego największym problemem. Dla niej to chyba nic nie znaczyło. Ubrała się szybko, wypła szklankę soku i bez słowa wyjaśnienia wybiegła z pokoju. Nie zdążył jej nawet zapytać o tę drugą, jak jej było na imię? Ewa? Tak,

właśnie takie miała imię. Chociaż teraz już niczego nie był pewien. A może wszystko było nie tak? Rozmawiał, owszem, z Ewą, ale do hotelu trafił z Lizą? Jeżeli to się wyda, jest skończony. Szlag by to! W tej samej chwili zadzwonił telefon komórkowy. To był drugi powód jego choroby. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko szefa redakcji „Więści”. Niechętnie odebrał.

– Paweł? Co się dzieje? Dlaczego nie przysłałeś materiału do numeru? Nie skończyłeś? Trzeba było powiedzieć, poszedłby temat linczu.

– Ale ja skończyłem! – wydukał kompletnie rozkojarzony. – Internet nie działał. Wysłałem na płycie, kurierem.

– Ale nie ma, rozumiesz? Nie ma. I co teraz?

– Musi być, zapytaj tego... No, jak mu tam? Stażystę. Siedzi przy moim biurku, pozwoliłem mu.

– Wyobraź sobie, że pytałem. Nic nie widział. A siedział od rana.

– No to nie ma.

– Wyślij zaraz mejlem, rozumiesz?

– Dobra. Wysłałem.

– Ale na pewno!

– Wysłałem, czy nie wyrażam się jasno?

Werens rozłączył się. Co za dupek, pomyślał o szefie. Właściwie, co to za szef? Rafał Durski. Rafałek. Byli rówieśnikami. Czasem razem gdzieś wyskoczyli. Podrywał gamoniowi panienki. Mierzył go. Bydlak miał żonę i dwójkę dzieci, których

zdjęcie trzymał na biurku. Kiedy szedł z Werensem na dziwki do klubu, ściągał w kiblu obrączkę. Wielki moralista, który co poniedziałek wypisywał we wstępniaku brednie o miłości bliźniego. Od kiedy Werens rozstał się z Hanną, te wypadki zdarzały mu się coraz częściej. No i się doigrał. Gdyby do jego szefa dotarło, co tu się stało, tylko zatarłby rączki i pozbył się go natychmiast. Werens dobrze wiedział, że trzymają go tylko dlatego, że został gwiazdą mediów. Obowiązki zawodowe, które kiedyś tak go pochłaniały, teraz stanowiły ledwo częśćkę jego zajęć. Ot, czasem, tak jak teraz, napisał jakiś reportaż. Czuł się wypalony, nie miał nic do powiedzenia. Miał coraz więcej pieniędzy i coraz mniej pasji. Nie tak to sobie wyobrażał. Zawsze chciał być dobrym dziennikarzem. Takim psem tropiącym afery, spiski, złodziejstwo i układy. Materiał, który miał dostarczyć do redakcji, traktował o Konwencji Polskich Winiarzy. Werens opisywał grupę zapaleńców, którzy w niesprzyjającym środkowoeuropejskim klimacie postanowili uprawiać winorośl i produkować wino. To był punkt wyjścia do opowieści o polskiej transformacji, powstawaniu klasy średniej, walce z bezduszną machiną urzędniczą. Istotnie – dostał zaproszenie na zjazd winiarzy w jakimś zadupiu. Od rana do nocy upijał się, nazywając to dla niepoznaki degustacją. Wrócił upodlony i struty. Ale tekst uczciwie napisał. Wyśłał do redakcji. Chyba niczego nie poplątał? Coraz

częściej mu się to zdarzało. Zaniki pamięci, stany zawieszenia, w których nie robił nic. Siedział w salonie i bezmyślnie patrzył w ścianę.

Werens sięgnął po laptop. Odnalazł właściwy folder. W hotelu był bezprzewodowy internet. Otworzył Outlook, załączył dokument i wysłał wiadomość do redakcji.

– Teraz się odczepcie, burknął pod nosem. Sięgnął po butelkę, brązową szyjkę wcisnął w spękane usta. Nie chciało mu się robić drinków. Kiedy odstawił butelkę, sięgnął po stojący na nocnej szafce telefon. Chwilkę czekał na połączenie, niezdarnie szukając po kieszeniach papierosów.

– Recepcja? – powiedział ochryplym, nienaturalnym głosem. – Bardzo się cieszę, że to recepcja... Ja... ja... przedłużam pobyt o kolejną dobę. To chciałem właśnie powiedzieć. Dobranoc.

Odłożył słuchawkę i zamotawszy stopy w leżącym na dywanie ręczniku, padł na łóżko. Po chwili zasnął.

* * *

Podkomisarz Adam Dera stał przed ladą sklepu wędkarskiego. Po drugiej stronie uwijał się młody sprzedawca. Wyobrażenie Dery o wędkowaniu ograniczało się do stereotypowej wędki, żyłki i haczyka z robakiem. To, co zobaczył i usłyszał, poruszyło go do głębi. Pierwszy szok przeżył, dowie-

dziawszy się o rodzajach wędkowania. Okazało się, że to całkiem spora gałąź wiedzy, a przy tym niezłe źródło dochodu. No bo jeżeli można łowić ryby spławikowo, gruntowo, spinningowo, castingowo, trollingowo, muchowo, przestaje to być niewinnym moczeniem kija, a staje się skomplikowaną sztuką, w której wielką rolę odgrywa grubość portfela. Podkomisarz poprosił nieśmiało o jakąś wędkę. W odpowiedzi usłyszał pytanie o gatunek ryby, którą chce złowić. Dera naiwnie myślał, że to wszystko jedno. Okazało się, że inna wędka jest potrzebna na sumę, zupełnie inna na karpia, a jeszcze inna na ryby morskie. Zbaraniał. Był święcie przekonany, że to, jaką rybę złowi, jest wyłącznie kwestią przypadku i zwykłego szczęścia. Sprzedawca wygłosił krótką pogadankę na ten temat, co utwierdziło podkomisarza w przekonaniu, że minie sporo czasu, zanim posiędzie tajemną wiedzę wędkarską. Ale przecież czasu miał dużo.

Po tym, jak dowiedział się, że jego szef – Kulis – zataił przed nim informację o celu przybycia ludzi z ABW, wpadł we wściekłość. Niestety, zdarzało mu się to często. Koledzy z komendy zdążyli już do tej jego impulsywności przyzwyczać. Ale miało to też nieprzyjemne strony. Adam Dera, pomimo zbliżającej się pięćdziesiątki, wielkiego doświadczenia i sukcesów zawodowych, ciągle był podkomisarzem. Niewyparzony język przekreślał jego szanse na awans. Już dawno powinien być

nadkomisarzem, a może i inspektorem. Za krytykowanie przełożonych, zwykle słuszne, był pomijany przy awansach. Z drugiej jednak strony był na tyle dobrym policjantem, że nikomu nie przyszło do głowy, aby przesunąć go do pracy biurowej. Dera umiał jak mało kto prowadzić śledztwo. Dlatego teraz miał wielki żal do Kulisa. To tak, jakby mu nie ufali. Podkomisarz wbiegł na piętro i bez pukania wpadł do gabinetu szefa. W kilku prostych zdaniach wykrzyczał, co myśli o takim traktowaniu, i nie czekając na odpowiedź, trzasnął drzwiami i poszedł do swojego pokoju. Wzburzony usiadł za biurkiem. Uruchomił komputer i wszedł na stronę lokalnej „Gazety”. Odnalazł numer reportera dyżurnego i w następnej chwili zadzwonił do niego z telefonu stacjonarnego.

– Nazywam się Adam Dera, podkomisarz Dera z komendy miejskiej. W sobotę na ulicy Fałata odnaleziono ciała mężczyzny i kobiety. Oficjalny komunikat mówi o zatruciu gazem. Zapraszam pana do prosektorium na Żołnierskiej. Ciekawe rzeczy dzieją się przy kontakcie ludzi z gazem. Na przykład można zawisnąć na drabinie i mieć przekłute dłonie albo pękniętą czaszkę. Zapraszam. Widok jest niezwykły. Po ewentualne pytania proszę się zwrócić do nadkomisarza Jakuba Kulisa i jego kolegów z ABW. Swoją drogą, to ciekawe. Dlaczego ludzie z ABW przyjeżdżają ze stolicy, by zająć się nieszczelną instalacją gazową. Ja, niestety, nie

mogę udzielić więcej informacji. Prawdopodobnie od jutra będę bezrobotny – odłożył słuchawkę.

Był wściekły. Strącił ze stołu jakieś dokumenty. Nie tak wyobrażał sobie swoje odejście ze służby. Nie potrafił jednak się powstrzymać i zrobić to co zrobił. Może wytoczą mu proces? Nie dbał o to. Od dawna chciał utrzyć nosa Kulisowi, który zawdzięczał stanowisko koligacjom rodzinno-towarzyskim. Był zwykłym karierowiczem. Okazał się też nielojalny wobec kolegi. Tego się nie wybaczają. Dera miał również porachunki z ABW. To była sprawa sprzed roku. Tropił gang handlarzy narkotyków. Kosztowało go to dużo czasu i wysiłku, odbiło na życiu rodzinnym. I kiedy wszystko zbliżało się do końca, pojawili się tacy cwaniacy, jak ci w biurze Kulisa. Adam Dera wiedział, że wśród nich znajdują się wtyczki na usługach tej grupy przestępczej. I handlarze rozplłynęli się w powietrzu. Złapano jakieś płatki wystające pod szkołami. Ciekaw był, jak sobie teraz poradzą, kiedy sprawa podwójnego mordu pojawi się w mediach. Jak będą działać naciskani przez opinię publiczną? Życzył im wszystkiego najgorszego. Z drugiej strony, należało schwytać morderców byłego księdza i jego żony. Dera uznał, że presja społeczeństwa tylko w tym pomoże. Nie udało się zamieść sprawy pod dywan. Szkoda tylko, że nie będzie go przy tym. Mógłby się przydać...

Adam Dera zdecydował się na uprawianie wędkarstwa spławikowego. Kupił wędkę Apollo, koło-

wrotek Corboss, komplet haczyków z przyponami, rozkładane krzeselko, wiaderko, podbierak, pudełko z przynętą, nóż, termos, latarkę. Pomyślał też o długich, gumowych butach i nieprzemakalnej bluzie. Czapki nie potrzebował, miał policyjną, z której odpruje dystynkcje. Do tego wszystkiego dołożył książkę *Sztuka łowienia na sztuczną muchę*. Zapłacił za te niezwykle przedmioty równowartość miesięcznej pensji. Obładowany wyszedł ze sklepu. Rozpoczął nowy etap życia.

* * *

Żona Artura Kordana – Dorota – była bardzo wzburzona. Na wtorek zaplanowała kolację, na którą zaprosiła już sąsiadów z posiadłości naprzeciwko ich domu. Umówiła się z matką, że tamta zajmie się dwójką ich dzieci. Załatwiła sobie nawet wolną środę w firmie farmaceutycznej, w której pracowała od pół roku. Całe popołudnie biegała po sklepach z żywnością, do nocy stała nad kuchnią zastawioną garnkami. Potem z trudem usypiała rozbawione dzieci. To nie było łatwe. I teraz, kiedy wszystko było dopięte na ostatni guzik, jej mąż oznajmił, że rano wyjeżdża na tydzień w podróż służbową. Owszem, była do tego przyzwyczajona. Z racji tego, że Artur był zawodowym żołnierzem, nieraz musiała najmować firmę przewozową, która organizowała ich kolejne przeprowadzki. Biorąc ślub z tym męż-

czyzną, miała świadomość, na co się decyduje. Ale taki stan rzeczy coraz mniej jej odpowiadał. Coraz częściej dochodziło między nimi do kłótni, a nawet głośnych awantur. Dorota wiedziała, że nic nie może w tej sytuacji zrobić. Miała do wyboru odwołanie kolacji lub spotkanie w okrojonym gronie. Patrzyła na lodówkę wypełnioną potrawami. Chciała jej się płakać. W jednym z pojemników tkwiła butelka wódki. Dorota po chwili namysłu sięgnęła po nią. Z szafki wyjęła kieliszek. Nalała do pełna zimnego alkoholu. Uniosła go do ust. W smaku był nieprzyjemny i ostry, ale po chwili zaczął krążyć w jej żyłach. Poczowała lekki szmer w głowie i ciepło w żołądku. Zrobiło jej się lepiej. Artur w sąsiednim pokoju pakował torbę. Pomyślała, że to trochę podejrzane. Mąż zwykle wiedział o wyjazdach z kilkudniowym wyprzedzeniem. Dlaczego ten nastąpił tak nagle? I do tego na tydzień. Dokąd on właściwie jedzie? Coś jej odburknął, nie zapamiętała nazwy miejscowości. Nalała sobie kolejną porcję, wypła. A jeżeli to nie jest wyjazd służbowy? Od jakiegoś czasu podejrzewała męża o romans. Był jakiś skryty, nerwowy. Odbierał tajemnicze telefony. Kiedy żądała wyjaśnień, niezmiennie twierdził, że to tylko interesy. Kiedyś znalazła w jego spodniach, które wrzucił do bieliźniarki, pomiętą kartkę z numerem telefonu. Długo się wahała, nim zadzwoniła pod ten numer. Usłyszała głos męczyzny, chyba młodego, który po chwili się rozłączył. Ponowiła

próbę. A wówczas usłyszała głos z automatycznej sekretarki, który poinformował ją, że telefon należy do jakiegoś ajenta stacji benzynowej. To ją uspokoiło na jakiś czas. Ale wątpliwości pojawiły się znowu kilka dni później, kiedy nieznany mężczyzna zadzwonił do ich domu i poprosił o rozmowę z kapitanem. Przedstawił się jako kolega z pracy. Rzecz w tym, że telefon, z którego dzwonił, należał do rzekomego ajenta stacji paliw. Dorota poprosiła męża o wyjaśnienia. W pierwszej chwili nie wiedział, co powiedzieć, a następnie wyparł się kartki, którą znalazła w kieszeni spodni. Kiedy mu ją pokazała, bardzo się zdenerwował, wyrwał jej papier i podarł na kawałki. Potem chwycił płaszcz i wybiegł z domu. Wrócił późno w nocy. Kiedy zażądała, by się wytłumaczył, uderzył ją w twarz. Nie pierwszy raz zresztą. Robił to coraz częściej. A ona coraz częściej piła w samotności. W swoich podejrzeniach co do fałszywego ajenta upewniła się któregoś dnia, kiedy przejrzała katalog firm. Żadna stacja paliw nie miała takiego numeru. Kiedy znów nań zadzwoniła usłyszała informację, że taki numer nie istnieje. Lecz najgorsza w tym wszystkim była myśl, że mąż może prowadzić podwójne życie z mężczyzną. Coraz więcej takich historii pojawiało się w gazetach. Ojcowie rodzin nagle zdradzali swoje prawdziwe preferencje seksualne. Lata kłamstw i zdrad stawały się ciężarem nie do udźwignięcia dla wielu kobiet. Oczywiście, Dorota nie miała pewności.

Żywiła nadzieję, że to wszystko się w jakiś, oby dobry, sposób wyjaśni. Znowu będą świetną i dobraną parą, którą przecież przez lata stanowili. Z dwójką dzieci, pięknym domkiem z ogrodem na przedmieściu. Czekala na lepsze czasy, opróżniając butelkę za butelką. Coraz mniej wiedziała o człowieku, z którym się związała.

Artur Kordan wyszedł z pokoju. Zatrzymał wzrok na stole, przy którym siedziała jego pijana żona. Bez słowa minął ją i ruszył w kierunku drzwi prowadzących do piwnicy. Dorota powiodła za nim błyszczącymi od alkoholu i łez oczyma. Wrócił po kwadransie. W prawej dłoni ścisnął pękaty, zielonkawy plecak. W lewej Dorota widziała jak przez mgłę płócienny futerał. Zanim głowa opadła jej na blat stołu, pomyślała, że w tym futerale pewno są wędki.

– Miałam rację – rzuciła bełkotliwie – masz kogoś. Wolisz ryby z kochankiem niż własną rodzinę. Chcę rozwodu, ty świnió!

Kapitan Kordan nawet na nią nie spojrział. Przełożył futerał do ręki z plecakiem. Zdjął z wieszaka kurtkę i przewiesił ją przez ramię, bez słowa wyszedł z domu. Ruszył w kierunku garażu. Zaparkował do bagażnika przedmioty i wyjechał na ulicę granatową hondą civic. Skierował auto na południe.

Mrok ustępował miejsca świtowi.

23 maja 2006, wtorek

Werensa obudził telefon komórkowy. Na wyświetlaczu znów pojawiło się nazwisko szefa redakcji – Durskiego. A ten czego znowu chce? – pomyślał. Czyżby zapomniał mu wysłać ten cholerny tekst? Jeżeli tak, to czeka go nieprzyjemna rozmowa. Werens nie mylił się o tyle, że rozmowa rzeczywiście była nieprzyjemna, ale nie dotyczyła spraw zawodowych.

– Paweł, szczerze współczuję. Zarówno ja, jak i pozostali członkowie redakcji – ton Durskiego był oficjalny, co nie uszło uwadze Werensa.

Czyżby zdarzenie z nastolatką w łóżku dotarło już do Warszawy i rozpoczął się pełen ironii i złośliwości proces wykluczania? Swoją drogą, skąd tak szybko by się dowiedzieli? Kto im doniósł? Ktoś z recepcji? To możliwe. Werens był osobą znaną. Kiedy meldował się w hotelu dwa dni wcześniej, obsługa doskonale wiedziała, kto będzie ich gościem. Tak, to możliwe. A więc zaczyna się, pomy-

ślał i czekał na dalsze złości ze strony tego cynicznego, małego człowieka, który wykończył już niejednego dziennikarza.

– Twój stryj... To okropne... Właśnie dostaliśmy informację z regionalnego oddziału.

Werens błyskawicznie odzyskał zdolność racjonalnego myślenia. Jeszcze przed chwilą był zaszpany i na kacu. Zarówno sen, jak i resztki alkoholu w jednej sekundzie wyparowały z jego organizmu. Fala gorąca ogarnęła twarz, piersi i żołądek, powędrowała do nóg, które natychmiast zdrętwiały.

– Co ze stryjem? – jego głos zdawał się dobiegać z wnętrza jakiejś metalowej rury.

W tej chwili żałował, że to nie sprawa zakazanego związku jest tematem tej rozmowy. Jeszcze przed chwilą bał się następstw sobotniej nocy, teraz mógłby wysłuchiwać najgorszych słów pod swoim adresem. Byle tylko jego stryjowi nic się nie stało. Ale wiedział, że musiało się wydarzyć coś strasznego skoro dzwoni do niego szef i zaczyna rozmowę od wyrazów współczucia. To nie wszystko. Musiało się wydarzyć coś spektakularnego, nie dzwoni się z byle powodu, nawet w sprawie niespodziewanego nieszczęścia kogoś, kto jest ledwo stryjem. Cóż się zatem stało? Werens domyślał się najgorszego, lecz podświadomie odsuwał od siebie tę myśl. Słowa Durskiego nie pozostawiały złudzeń.

– Paweł, to się stało w nocy z piątku na sobotę... Morderstwo... Twój stryj i jego żona...

– Skąd... skąd ta pewność?

– Myśleliśmy, że już wiesz...

Czucie w nogach wracało. Wstał z rozgrzebanego łóżka, wolno ruszył do okna, szarpnął za zasłony. Dienne światło na sekundę odebrało mu wzrok. Cały czas słuchał tego, co miał do przekazania Durski. A ten nie przestawał mówić:

– Policja próbowała ukryć to przed mediami. Kręcili coś o nieszczelności instalacji gazowej, zatruciu. Sprawę nagłośnił policjant. Nazywa się Dera. Zaraz po tym odsunęli go od śledztwa. Został zawieszony. Ja wiem, że ten policjant nie jest dla ciebie teraz najważniejszy, ale to też powinieś wiedzieć.

– Jak to się stało? – głos Werensa był nad wyraz spokojny i rzeczowy.

Nie uszło to uwadze Durskiego, który w tej chwili podziwiał profesjonalizm swojego pracownika. Pomyślał nawet, że teraz rozumie, dlaczego Werens odnosił sukcesy. Nawet w takiej chwili był opanowany.

– Twój stryj otrzymał cios w głowę twardym narzędziem. Pęknięcie podstawy czaszki. Śmierć nastąpiła szybko. Co do jego żony...

– Co zrobili Elizie?

– Hmm...

– Chcę to wiedzieć!

– To jest tak niewiarygodne, że nie wiem, jak to powiedzieć.

- Powiedz zatem najprościej, jak to możliwe.
- Ona... ona została ukrzyżowana!
- Rozumiem – powiedział Werens.
- Jak to – rozumiem? Nie dziwi cię to?! W środku Europy, w dwudziestym pierwszym wieku kobieta zostaje ukrzyżowana, a ciebie to nie dziwi?!
 - Czy jest coś jeszcze?
 - Co? A czy to mało!
 - Czy mordercy nie zostawili jeszcze czegoś? Jakiejś wskazówki, znaku?
 - Czy ty zwariowałeś?! Zabito twojego bliskiego krewnego, a ty ze spokojem pytasz o jakieś znaki, ślady! Gdybym ciebie nie znał, pomyślałbym, że jesteś nienormalny! Ale dobrze, odpowiem na to pytanie. Tak, jest jeszcze coś. Na plecach twojego stryja był napis.
 - A jednak. Wiedziałem. Co to za napis?
 - Szadrak. Tak brzmi napis.
 - Kainici.
 - Co? Nie kainici, tylko Szadrak! Powtarzam, napis brzmi: Szadrak!
 - Kainici. To zrobili kainici. Zatem powrócili.
- Werens przerwał połączenie.

Po chwili zadzwonił na informację kolejową. Pociąg miał za dwie godziny. Potem podszedł do stołu. Znalazł na nim niedopitą butelkę z wódką. Wziął ją i ruszył do łazienki, patrzył na szkło dłuższą chwilę, po czym wylał zawartość do muszli, spuścił wodę. Wziął prysznic, ogolił się. W czystej

koszuli szedł do recepcji. Oddał klucz ładnej recepcjonistce, która z ciekawością patrzyła na całym przystojnego faceta z najsmutniejszą twarzą, jaką w życiu widziała. Sława to nic przyjemnego, pomyślała. Zamówiła mu taksówkę, która powiozła go na dworzec. Kiedy mijali kolejne kamienice, sklepy i urzędy pokryte kolorowymi reklamami, Werens zamiast nich widział ciągle to samo słowo – Szadrak. Wiedział, że jest ono adresowane do niego. Wiedział też, że za pół godziny wsiądzie do pociągu, który zawiezie go do stacji o nazwie „KŁOPOTY”.

* * *

Camargue był bardzo zmęczony. Głowa opadała mu na szeroką pierś. Od kilku dni prawie nie spał, był w drodze. Wiedział, że za chwilę zmorzy go sen.

Zadanie, jakie wykonywał, wielu uznałoby za niemożliwe. Ale on, Camargue, nie lękał się trudności. Był synem Kaina, miał pochodzenie wyższe i doskonalsze od innych ludzi. Ezaw i Korah dawali mu siłę i moc. Miał też Mistrza, który wspierał jego działania. To zrządzenie losu, że dane mu było poznać tego niezwykłego człowieka. Camargue był wtedy jeszcze tylko zagubionym i nieświadomym swej mocy więźniem odsiadującym wyrok wieloletniego więzienia. To w więzieniu trafił do

wspólnej celi z charyzmatycznym generałem. Poniżany, bity i gwałcony, bardzo wcześnie, bo już w wieku dwudziestu lat, osiwiiał. Dziwnie wyglądał z grzywą srebrnych włosów i dziecięcą twarzą. Ale to było blisko ćwierć wieku temu... Camargue jako nastolatek zabił rodzonego brata. To była niewinna sprzeczka, która nagle przerodziła się w śmiertelną walkę. Nienawidził brata za to, że był ulubieńcem ojca. To tamtego zawsze faworyzowano. On nie był nikomu potrzebny. Jeżeli się nad tym zastanowić, to nie lubił ludzi. Wolał konie. Pamiętał je z dzieciństwa spędzonego na wsi. Stada wolnych, pędzących w porannej rosie pięknych zwierząt. Tamtego dnia, gdy zabił, Camargue, jeszcze wtedy osiemnastoletni Jan, pchnął swego młodszego brata kuchennym nożem, potem drugi raz, dziesiąty... Sąd nie znalazł okoliczności łagodzących. Potraktował go jak świadomego tego, co robi, zabójcę. Wolność miał odzyskać dopiero w roku 2006. Tak też się stało. Ale wcześniej w jego życiu pojawił się Mistrz. Zaopiekował się zagubionym, teraz czterdziestotrzyletnim samotnikiem. Tylko on chciał słuchać jego opowieści o pędzących koniach. Nie śmiał się z niego. Mistrz Montalto wprowadził go w świat kainitów. Jan słuchał historii o Kainie i innych sodomitach, którzy pochodzili od mocniejszej siły i wyższej władzy, w przeciwieństwie do Abla. Jan doświadczał zbawienia przez swe czyny. A skoro nikt nie może dostąpić zbawienia, jeśli nie

przejdzie wszystkiego, zatem on, Jan, będzie zabił. Zabójstwo jest wszak kolejną próbą na drodze do doskonałego poznania. Te i wiele innych rzeczy wyjawiał mu Mistrz, który wziął go na swojego ucznia. Nazwał go Camargue, co oznaczało wspa-
niałego, dzikiego, siwego konia, który przez wieki żył w izolacji w delcie Rodanu. Camargue był wytrzymany, potrafił przetrwać w niełatwym klimacie. Tak jak Jan w ciężkim więzieniu. Ileż doznał bólu i wylał łez przez te wszystkie lata! Ale tak musiało być. Teraz to wszystko wytłumaczył mu Mistrz i wprowadził go w swój Wielki Plan. Camargue poczuł się wyróżniony. Przysiągł służyć swemu panu aż do śmierci. Wpierw miał ją zadać innym.

Zaczął od byłego księdza i jego żony. Klechę znalazł w łóżku, śpiącego. Mógł go od razu zadźgać sztyletem, ale Mistrz wydał konkretny rozkaz! Stary miał zginąć na strychu. Dlatego wyciągnął go z pościeli i popędził po schodach, w górę. Tamten, o dziwo, nie protestował. Niczym baran szedł na rzeź. Tylko coś mruczał pod nosem. Najpewniej modlił się do tego śmiesznego tworu – Histery, który zwą Bogiem. Na strychu pociągnął go w kierunku drabiny. Tak mu nakazał Mistrz. Uderzył starucha tylko raz. A kiedy to robił, pomyślał o tych wszystkich oprawcach z więzienia. O, jak bardzo pragnął ich zniszczyć. Ale wtedy Mistrz surowo mu tego zabronił. Gdyby Camargue wdał się w jakąś rzeź w więzieniu, plan by się nie powiódł. Dlate-

go oszczędził tych łotrów, którzy gwałcili go po nocach, wysługiwali się nim, okradali i poniżali. Postanowił, że dokona zemsty po wykonaniu zadania. Nie powiedział o tym nawet Mistrzowi. To była jego wielka tajemnica. Ilekroć myślał o zemście, w bezzębnych ustach zbierała mu się ślina. Te zęby wybili mu tamci, by nie zrobił im krzywdy w chwili, kiedy dawał im rozkosz. Starego księdza, zgodnie z rozkazem, posadził na trzecim stopniu drabiny i przywiązał do niej. Na plecach wypisał haniebne słowo. Teraz ruszył na dół, po kobietę... Znalazł ją w innym pokoju. Spała z zatyczkami w uszach. Tu polecenie było inne. Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiał jego sens, ale zdał się na mądrość Mistrza. Udusił ją zatem we śnie i przrzuciwszy przez ramię, zataszczył do ogrodu. Tam rzucił na trawę i zaczął szukać czegoś, co nadawałoby się na krzyż. Świtało. To pomogło mu rozeznaczyć się w terenie. Pod wiatą znalazł deski. Już chciał je złączyć na krzyż, ale wtedy zobaczył opartą o ścianę drabinę. Pomysł, by ukrzyżować kobietę na drabinie, był wyłącznie jego... Gwoździe i młotek przyniósł ze sobą. Planował, że tego ostatniego użyje, gdyby mężczyzna próbował się bronić. Tak się jednak nie stało. Kiedy przybił dłonie staruszki do deski, sięgnął do kieszeni po sztuczną brodę, jakiej używają aktorzy. Dolepił ją nie bez trudności, bo drut, którym wcześniej owinął czoło kobiety, wbił się głęboko w czaszkę... Już odchodził, kiedy przypo-

mniał sobie o butach. Przyniósł je z domu, ubawiło go to nawet, bo były to buty księdza i zwyczajnie zsuwały się z niewielkich stóp staruszki. Właściwie to zsuwał się tylko jeden. Drugi miał leżeć w trawie. Takie bowiem miał zadanie – umieścić na nodze jeden but. Tak też zrobił. Drugi but cisnął hen, do góry, przed siebie. Potem wrócił do domu, kroki skierował do salonu. Z torby, którą miał ze sobą, wyciągnął ciężką, czerwoną cegłę i niewielką monetę, na której były napisy: *For Sverige. Itiden*. A pod nimi: *En Krona*. Chwilę rozglądał się po gustownie urządzonej pokoju...

Po chwili Camargue ruszył do sypialni księdza. Zwinął leżący na błyszczącym parkiecie ciężki dywan. Położył go w kącie na miejscu stojącego tam drewnianego zegara Adlera. Blisko trzydziestokilogramowy piękny zegar w kolorze orzecha przestawił teraz na drugą, dotychczas pustą ścianę. Było to ostatnie z zadań, jakie miał do wykonania w tym domu. Jedno bardziej bezsensowne od drugiego, pomyślał.

Camargue zapadał w sen. Oparł czoło o firankę luźno zwisającą przy oknie.

Tego samego dnia wyruszył do Warszawy. Do stolicy pojechał prywatną linią autobusową. Droga zajęła mu trzy godziny. W stolicy był w południe. Adwokat Hempel mieszkał nad Jeziorem Wilanowskim, przy ulicy Vogla. Obserwował jego dom uważnie. Hempel był w środku. Spotkanie

z Mistrzem miał umówione na godzinę szesnastą. Camargue wiedział, że musi zaatakować wcześniej, kiedy adwokat się tego nie spodziewa. Poza tym Mistrz nie zamierzał spotykać się z tym człowiekiem. Wyznał to otwarcie podczas ustalania szczegółowego planu. To był tylko wybieg, osłabienie czujności małego, chytrego człowieczka, który czekał na pieniądze. Camargue nie liczył na to, że adwokat, widząc go przy furtce, wpuści go do domu. Dlatego kiedy pod drzwiami pojawiły się dwie prostytutki, postanowił wykorzystać okazję. Błyskawicznie pokonał odległość dzielącą go od furtki, wepchnął dziwki na teren posesji i przystawiając sztylet do szyi jednej z nich, nakazał, aby druga nacisnęła dzwonek do drzwi. Gdyby zrobiła jeden fałszywy ruch, zadźgałby jej koleżankę, a zaraz potem ją również. Kobiety były tak zaskoczone i przerażone, że bez słowa wykonały polecenie. W chwili, kiedy adwokat otwierał drzwi, Camargue wyciągnął z kieszeni gaz łzawiący i prysnął nim prosto w jego twarz, potem wbiegł do domu. Dziwki puścił wolno. Wiedział, że nie pisną słowa. Tak też się stało, przerażone wybiegły na ulicę, wsiadły do niebieskiego fiata i błyskawicznie odjechały. Camargue pobiegł za wystraszoną adwokatem do salonu... To nie był koniec jego morderczej trasy.

Godzinę później ruszył na południe, do Krakowa. Noc spędził na dworcu, w towarzystwie pary kloszardów. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Rano

poszedł na ulicę Świętego Jana, by odnaleźć człowieka o nazwisku Bader. Z informacji Mistrza wynikało, że znajdzie go w Muzeum Czartoryskich. Tam bowiem przez wiele lat Bader pracował jako kustosz. A teraz, już na emeryturze, spędzał tam każdego dnia kilka godzin. Zakochany w obrazach starych mistrzów, sycił słabnący wzrok ich geniuszem. W poniedziałki muzeum było zamknięte dla zwiedzających. Camargue w przebraniu strażnika bez problemu wszedł do budynku i sprawdzał salę za salą. Przemierzał korytarze ze zdjęciem kustosza w ręku. Miał szczęście, dopadł go na schodach prowadzących na drugie piętro. Tamten jakby się go spodziewał. Jego twarz była przerażona. Nic w tym dziwnego, wysoki Camargue z grzywą długich, siwych włosów i nożem w dłoni wyglądał jak anioł śmierci. Zaprowadził ofiarę do odległej sali. Jak barana na ofiarną rzeź. Gdy już tam dotarli, uczeń Mistrza Montalto bez słowa wbił nóż w serce kustosza. Patrzył, jak tamten osuwa się na podłogę i umiera w kałuży ciemnej krwi. Morderca nie zapomniał przy tym o zdjęciu. Jak przypuszczał, Bader miał je przy sobie. Gdyby jednak go nie miał, Camargue na wszelki wypadek nosił w kieszeni identyczne. Zatrzymał je zatem dla siebie. Wyszedł z muzeum przez nikogo nie niepokojony, w przebraniu strażnika, które potem zwinął, obciążył kamieniem i wrzucił do Wisły. Ruszył na dworzec, by odbyć kolejną, wielogodzinną podróż

nad morze. Ten, którego szukał, cały dzień przebywał w hotelowym pokoju. Wiedział to z krótkiej wiadomości, jaką odczytał na wyświetlaczu telefonu. Mentor miał swoich ludzi wszędzie. Śledzenie ofiary nie nastroczało zatem trudności. Zatrzymał się na noc pod adresem, który wskazał mu Mistrz. Nikt go o nic nie pytał. Kilka godzin przeleżał na pryczy, myśląc o zadaniu. Był bardzo podniecony. Uczeń Montalto zasnął. Jego głowa kołysała się w rytm stukotu kół pociągu, który właśnie opuszczał portowe miasto Gdańsk. Camargue miał przed sobą trzy godziny snu. Za ścianą, w przedziale pierwszej klasy, siedział Paweł Werens. Pętla na szyi młodego dziennikarza zaciskała się coraz bardziej.

* * *

Werens nie wiedział, gdzie się podziąć. Znowu był w rodzinnym mieście. Dom stryja był zabezpieczony przez policję, a mieszkanie po ojcu wynajął studentom.

Zaraz po przyjeździe ruszył do komendy policji, by dowiedzieć się czegoś więcej o zbrodni dokonanej na jego krewnym. Niestety, nikt nie chciał mu pomóc. Odsyłano go od jednego oficera do drugiego. Wszyscy zasłaniaли się tajemnicą śledztwa. Werensowi udało się jedynie potwierdzić słowa szefa, że podkomisarz, który zajmował się sprawą, niejaki Dera, został od niej odsunięty, a właściwie to sam

poprosił o bezterminowy urlop. Było to o tyle niezwykłe, że policjant cieszył się opinią znakomitego detektywa i nigdy nie rezygnował z powierzonej sprawy. Tak przynajmniej twierdził pewien sierżant, którego udało mu się namówić na krótką rozmowę, tylko dlatego, że tamten uczestniczył w zabezpieczeniu miejsca zbrodni. Wiedząc, jaki jest stopień pokrewieństwa między Werensem a zamordowanym, zwyczajnie, po ludzku, mu współczuł. On również był zły na całe to tajemnicze zamieszanie. Całą noc zabezpieczał dom, by rano, bez ceregieli, zostać odsuniętym na bok przez waźniaków z ABW. Opowiedział o tym Werensowi na parkingu komendy, poklepał go współczująco po ramieniu i odszedł do służbowego forda.

W prosektorium szpitala wojewódzkiego przy ulicy Żołnierskiej sprawa wyglądała podobnie. Pełniący dyżur młody lekarz okazał się nad wyraz gorliwy i zasadniczy. Stwierdził sucho, że bez zgody przełożonych nie pokaże ciał zamordowanych ludzi. Podobnie postąpił zresztą wobec dziesiątki innych dziennikarzy, którzy kręcili się od rana w pobliżu prosektorium. Na nic zdały się prośby Werensa, odwoływanie się do sumienia, pokrewieństwa ze zmarłym. Po godzinie nieudolnych pertraktacji i błagań odszedł z niczym. Nie miał siły na bardziej stanowcze prośby. Nie w głowie mu były pogrożki i złorzeczenia. Czuł tylko smutek i ból. Żał po stracie bliskiej osoby, której prawie nie znał. Dlaczego

nie poświęcał mu więcej czasu? Marnował życie na wyniszczaniu organizmu alkoholem, miękkimi narkotykami i nocami spędzonymi w zadymionych salach w zdemoralizowanym towarzystwie. Był nie szczęśliwy i samotny. A do tego bezdomny...

Stał na szpitalnych schodach, w dole biegła ulica rozświetlana długimi lampami. Mógł pójść w prawo, gdzie migał neon nocnego klubu o niezbyt pasującej do okoliczności nazwie „Feta”. Zmieszalby się z tłumem ciepłych ciał, parujących alkoholem, tytoniem, perfumami i potem. Dotrwałby tak do świtu. Może nawet znalazłby jakąś miłą dziewczynę, która zaprosiłaby go do swojej sypialni. Werens stał wciąż na szerokich schodach. Palił papierosa, którego dym ulatywał w rozgwieżdżone niebo. Kiedy go zgasił, ruszył w lewo. Po pięciu minutach odbierał klucz do przytulnego pokoju „Villa Pallas”. Był kompletnie wyczerpany. Wchodząc na piętro, zupełnie nie zwrócił uwagi na wspaniałe, rzeźbione, wieloczęściowe drzwi w holu. Opierając się o drewnianą poręcz, wspinał się po schodach. Nie w głowie mu było przyglądanie się ażurowej sztukaterii i pięknemu sufitowi imitującemu rybacką sieć. Wziął prysznic, położył się na wygodnym łóżku. Zasypiał, kiedy za oknem wstawał świt. Ostatnie, co zapamiętał, było nazwisko pewnego policjanta.

– Podkomisarz Dera, muszę go odnaleźć... – wybełkotał.

Camargue też był zmęczony. Po wędrówce ulicami miasta śladem Werensa zakończonej w „Villa Pallas”, mógł wreszcie chwilę odpocząć. Stał pod oknami pięknej, stylowej rezydencji z początków XX wieku. Kiedy w jednym z dotychczas ciemnych okien dostrzegł światło, uznał, że może iść spać. Wszedł do holu hotelu „Relaks”, który znajdował się po drugiej stronie ulicy Żołnierskiej. Zażądał pokoju, którego okna wychodziły wprost na willę. Kazał obudzić się o siódmej. Miał zatem trzy godziny snu...

* * *

Kordan gnał swoją hondą civic na południe. Był już szóstą godzinę w drodze. Jechał w zupełnej ciszy, cały czas rozmyślając nad zadaniem, które otrzymał niedzielnej nocy w gabinecie pułkownika. Nie było ono pierwszym w jego karierze. Chociaż słowo „kariera” niezbyt pasowało do misji, które wykonywał od kilku lat. Nikt nie wiedział o jego podwójnym życiu. Czasem miał ochotę zwierzyć się komuś. Ale nie mógł tego uczynić. Obowiązywała go przysięga złożona Bractwu. Największa z tajemnic. Kordan domyślał się, że pułkownik jest tylko pośrednikiem. W istocie zleceniodawcą był ktoś stokroć potężniejszy od niego. Ktoś, kogo nigdy nie poznał. Ale tym razem nagrodą będzie spotkanie z owym legendarnym, potęż-

nym człowiekiem, na którego bracia mówią Montalto. Jeżeli przeżyje. Bo zadanie było śmiertelnie niebezpieczne. Przerastało wszystkie, które do-tychczas wykonywał. Kordan analizował szczegó-łowo plan, starał się nie zapomnieć o najdrobniej-szych sprawach. W pewnej chwili poczuł głód. Do-strzegł przydrożny zajazd. Włączył kierunkowskaz i zjechał na zwirową drogę prowadzącą do motelu, którego czerwony dach rozświetlał wątpliwej uro-dy neon: „U Jacha”. Kordan zostawił samochód na parkingu i skierował kroki do wnętrza. W noz-drzach poczuł zapach grillowanego mięsa. Zamó-wił u znudzonego kelnera obiad. Czekał.

W kącie sali dostrzegł parę nastolatków, która najwyraźniej się ze sobą kłóciła. Blondynka o prze-ciętnej urodzie i gwałtownych ruchach wypomina-ła siedzącemu obok niej rudzielcowi jakieś pieniądze. Znudzony oczekiwaniem Kordan podsłuchiwał rozmowę. Po chwili wiedział, że chłopak o imieniu Krystian zabrał Alicję na przejażdżkę. Tyle tylko, że zapomniał zerknąć na poziom paliwa w baku. Te-raz siedzieli nad butelkami pepsi, bo na nią jedy-nie mogli sobie pozwolić. Zastanawiali się, czy za-dzwonić do ojca chłopaka. Tu pojawił się inny pro-blem. Krystian zabrał samochód bez wiedzy ojca. Kordan uśmiechnął się do siebie. Po chwili na jego stole pojawiła się baranina.

Zjadłszy posiłek Kordan wyszedł z motelowej restauracji. Odruchowo rozejrzał się wokół siebie,

lecz w taki sposób, że nikt postronny tego nie zauważył. Ot, kierowca mruży oczy przed zachodzącym słońcem, potem poprawia sznurowadło. Odryzuca kamyk, potem sprawdza coś pod maską. Obchodzi auto, jakby coś oglądając na jego masce. Wreszcie wsiadł do hondy. Upewnił się, że nikt nie zaglądał do jej wnętrza. Kiedy uruchomił silnik, w lusterku dostrzegł zmierzającą w jego kierunku dziewczynę.

– Zabierze mnie pan? – uśmiechała się przytomnie.

Kordan myślał chwilę nad konsekwencjami.

– Bardzo pana proszę!

– A twój chłopak? – zapytał, oglądając ją od talii w górę.

– To idiota. Boi się zadzwonić do ojca. Ukradł mu samochód, a nie ma na paliwo.

– Nie chcesz z nim poczekać?

– Za nic w świecie! Niech tu gnije. Ma nauczkę.

Kordan ostatni raz skierował wzrok w kierunku motelu. Nikt ich nie obserwował. Najwyraźniej chłopak w tej chwili błagał ojca o pomoc i o łagodny wymiar kary. Kapitan otworzył drzwi po swojej prawej stronie.

– Wsiadaj! – powiedział cicho. Pomyślał, że w tej chwili igra z ogniem. Ale przecież uwielbiał niebezpieczne zabawy.

24 maja 2006, środa

Podkomisarz Adam Dera nie poszedł na ryby. Zamiast tego udał się do mieszkania pewnej młodej pani doktor. Poznali się rok wcześniej podczas śledztwa w sprawie sprofanowania wnętrza jednego z kościołów. Przesiępca wdarł się do świątyni i tam jaskrawym sprayem pomazał piękne obrazy stacji drogi krzyżowej z kręgu osiemnastowiecznej szkoły magdeburskiej. Obrazy opisano jakimiś niezrozumiałymi sentencjami, które, jak się wkrótce okazało, pochodziły z języka hebrajskiego. Rozszyfrowała je świeżo upieczona pani doktor Lena Lipska. Absolwentka Instytutu Nauk Biblijnych, który ukończyła z wyróżnieniem. Wcześniej studiowała teologię i historię sztuki. Znała dobrze kilka egzotycznych języków, takich jak aramejski, koptyjski i hebrajski. Prawdę mówiąc, uwielbiała historię starożytną, w której się specjalizowała. Nie rozstawała się z napisaną po hebrajsku Biblią He-

braica Stuttgartensia. Studiowała ją z zapałem od rana do wieczora. W chwilach wolnych sięgała po opracowany przez Nestle'a i Alanda grecki Nowy Testament. Wszystko inne było nieważne, zbędne, nudne, stanowiło stratę czasu. Lena miała dwadzieścia osiem lat. Była śliczną smukłą brunetką o dużych zielonych oczach i badawczym spojrzeniu. Jej oczy jednak niewiele osób widziało, gdyż skrywała je za przyciemnianymi okularami. Mieszkała samotnie w niewielkim mieszkaniu dwupiętrowego domu nad malowniczo położonym wśród lasów Jeziołem Krzywym. Do pracy w budynku przy ulicy Kardynała Hozjusza jeździła rowerem. Pracowała na miejscowym uniwersytecie jako adiunkt w Katedrze Teologii Biblijnej. Warto zaznaczyć, że była jedyną kobietą tam zatrudnioną, a do tego nie osobą duchowną.

Szybko poradziła sobie z rozszyfrowaniem niezdarne wykonanych napisów. Były to wersy z Księgi Psalmów i znaczyły: „Szczęśliwy, kto schwyti i rozbije o skałę twoje dzieci”. Kim ma być ów ktoś, kto zabija dzieci i czyje dzieci chce uśmiercić, miał wyjaśnić podkomisarz Dera. Doktor Lena zrobiła mu bardzo interesujący i przystępny wykład o języku hebrajskim. Zapiski były groźbami pod adresem Babilończyków i Edomitów, którzy zdobyli i zniszczyli Jerozolimę w 586 roku p.n.e. Wysłuchawszy Leny Dera zrozumiał, że autor wypisanych na płótnie słów nie ma zielonego poję-

cia o historii starożytnej ani o języku hebrajskim. Dowodem na to było użycie dużych i małych liter w słowach. W rzeczywistości alfabet hebrajski nie rozróżnia liter w taki sposób. Sprawca zniszczenia zbyt dosłownie potraktował też słowa zawarte w Księdze. Policjant uznał zatem, że ma do czynienia z aktem zwykłego wandalizmu połączonego z mało realnymi groźbami pod adresem parafian. Pozostało jednak ustalenie winnego zniszczenia dzieł sztuki i doprowadzenie go przed oblicze sądu. Po kilku dniach wandal ponownie dał znać o sobie. Kolejny proboszcz załamywał ręce, patrząc na zniszczone malowidło. Hasło było identyczne jak poprzednie. Różniło się rozmieszczeniem wielkich liter. Dera postanowił sprawdzić systemy ochrony kościołów. Ustalił, że są one całkiem dobrze zabezpieczone. W obu przypadkach nie było śladu włamania, nie wybito szyby, zamki w drzwiach były nienaruszone. Wniosek nasuwał się jeden. Sprawca zniszczeń chował się wieczorem w kościele, robił swoje, a rano, wraz z otwarciem świątyni, wychodził bezpiecznie na zewnątrz. Obrazy, które zamazywał, wisiały w bocznych nawach i dlatego nie od razu widać było zniszczenia. Szczególnie o świcie, kiedy panuje półmrok. Dera obstawiał swoimi ludźmi wyjścia ze wszystkich świątyni w mieście. Każdego ranka przebrani policjanci kręcili się w okolicach kościołów, mieli za zadanie wyłowić tych, którzy zaraz po otwarciu drzwi, miast wcho-

dzić na poranną mszę, kierowali się w przeciwnym kierunku. Po kolejnych trzech dniach podkomisarz Dera mógł uznać sprawę za zamkniętą. Jego ludzie schwytali niepozorną kobietę w chuście na głowie, którą zdradzały dłonie wymazane czerwoną farbą. Zatrzymana nie zaprzeczała, że jest sprawcą aktów wandalizmu. Wręcz przeciwnie, była poruszona tym, czego dokonała. Tłumaczyła, że pcha ją do tego wewnętrzny głos. Skierowano ją na badania psychiatryczne. W szpitalu ciągle twierdziła, że musi ostrzegać ludzi przed dziećmi. Podkomisarzowi nie dawało satysfakcji takie rozwiązanie sprawy. Któregoś dnia poszedł do kamienicy, w której mieszkała chora kobieta. Sąsiedzi, poruszeni losem niepozornej pięćdziesięcioletniej bibliotekarki zeznali, że często słyszeli krzyki dobiegające z mieszkania zatrzymanej, widzieli jej posiniaczoną twarz nieudolnie maskowaną makijażem i ciemnymi okularami, szczupłe ciało zawsze, nawet w największy upał, szczelnie okryte od stóp do głów. Dera zapukał do drzwi. Po chwili otworzył je dobrze zbudowany młody mężczyzna o twarzy oprawcy. Przedstawił się jako syn kobiety. Podkomisarz nie zadawał pytań. Wiedział już, kto wtłoczył do głowy kobiety opętańcze słowa zemsty. Po powrocie do komisariatu postanowił wpisać nazwisko zwyrodnialca wielkimi literami do swojego prywatnego notesu. Wiedział, że nadejdzie dzień, kiedy go dorwie. Niechby to nawet było przejście

przez ulicę w niedozwolonym miejscu, zaśmiecenie chodnika niedopałkiem. Dera miał swój wewnętrzny, prywatny kodeks karny. Zbyt często widział, jak zło z uśmiechem na ustach triumfalnie wychodzi głównymi drzwiami gmachów sądów. Od jakiegoś czasu miał tego dosyć. Dopadał takich drani w najmniej spodziewanych momentach. A kiedy już to robił, nie znał litości. Trzydzieści lat pracy w policji sprawiało, że miał w swym notesie numery telefonów do prawie wszystkich ważnych ludzi w tym mieście. Zwykle nie odmawiali mu pomocy.

Podkomisarz Dera stał pod drzwiami mieszkania doktor Leny Lipskiej, z którą umówił się telefonicznie poprzedniego wieczoru. Piękna kobieta z uśmiechem zaprosiła go do salonu. Pierwszy raz był w jej mieszkaniu. Przytulnie urządzone, zadbane, z mnóstwem książek na regałach. Po wymianie uprzejmości zasiedli w fotelach z kubkami kawy w dłoniach.

– Kto to jest Szadrak? – zapytał bez zbędnych wstępów. – Wiem tylko tyle, że... – tu podkomisarz sięgnął po notes, odnalazł odpowiednią stronę i przeczytał – ...że Szadrak to bohater biblijnej opowieści o królu Babilonu Nabuchodonozorze. To Żyd wybrany jako jeden z trzech do służby u króla. Ludzie ci odmówili złożenia pokłonu przed złotym cielcem, za co zostali wrzuceni do ognia. – Dera w skupieniu czekał na odpowiedź Leny.

– Szadrak? – przez chwilę była zakłopotana, jakby szukała w pamięci tego nietypowego słowa. Trwało to ledwie kilka sekund, podczas których zapewne przygotowywała wyczerpującą odpowiedź, którą będzie w stanie zrozumieć laik. Tak też było w istocie, bo Dera w następnej chwili zaczął notować następujące zdania: – Szadrak, owszem, występuje w Księdze Daniela jako jeden z synów izraelskich, z królewskiego rodu, którzy na rozkaz Nebukadnesara mieli pełnić służbę w pałacu królewskim. Król chciał, aby zostali oni wychowani na wiernych mu wasali. W niewoli młodzieńcom tym zmieniono imiona. Szadrak to imię nadane w niewoli Chananiaszowi.

– Komu? – proszę powtórzyć.

– Chananiaszowi albo lepiej Ananiaszowi.

– Nie rozumiem czegoś.

– Proszę pytać.

– Powiedziała pani, że tych młodzieńców uwięził... Chwileczkę – Dera sprawdził w notesie – Nebukadnesar.

– Dokładnie tak. To inaczej mówiąc, a właściwie pisząc, Nabuchodonozor.

– Coraz mniej rozumiem.

– Wszystko zależy od Biblii, po którą pan sięgnie. Istnieje ich kilka. Te najpopularniejsze w Polsce to Biblia Tysiąclecia używana przez Kościół katolicki i Biblia Warszawska wywodząca się z Biblii Gdańskiej. Po tę drugą sięgają protestanci. W tej pierw-

szej król babiloński nazywa się Nabuchodonozor, a w drugiej będzie to już Nebukadnesar. Wszystko zależy od sposobu tłumaczenia, jaki przyjęło kolegium redakcyjne. W pierwszej Szadrak to judzki syn Chananiasz. W drugiej Szadrak jest Ananiaszem. To chyba jasne? – Lena uśmiechnęła się zakłopotana, bo zdawało jej się, że podkomisarz nie do końca nadąża za jej wywodem.

– Teraz rozumiem. – Dera rozpromienił się. Chciał zadać kolejne pytanie, kiedy Lena uprzedziła go, pytając:

– Panie Adamie, wczoraj, podczas rozmowy telefonicznej, nie wyjawiał pan powodu, dla którego potrzebuje tych informacji. Zgodziłam się chętnie na spotkanie i odpowiedziałam na pańskie pytania. Nie mogę jednak bardziej pomóc, nie znając kontekstu pańskich słów. Skąd te pytania o bohaterów Księgi Daniela? Dlaczego Szadrak?

– No cóż... Zdaje się, że nie obejdzie się bez wyjaśnień – podkomisarz sięgnął po kubek z kawą, wypił jego zawartość i poprosił o kolejny. – Pani Leno, w nocy z soboty na niedzielę zginęło dwoje starszych ludzi. Były ksiądz i jego żona. Zamordowano ich w brutalny sposób. Kobietę ukrzyżowano, a mężczyźnie zadano śmiertelny cios w głowę. Potem sprawca wypisał mu na plecach owo biblijne słowo. Takie są fakty. Niestety, to nie wszystko. Człowiek, który jako pierwszy dotarł na miejsce zabójstwa, zaginął. Nie można wykluczyć, że

jest w to zamieszany. To moja wina, że do tego do-
puściłem. Przychodzę do pani jako osoba prywat-
na, bo od dwóch dni jestem zawieszony w obowią-
zках. Postanowiłem wyjaśnić tę sprawę, potem od-
chodzę na emeryturę.

Lena była zupełnie zaskoczona. Brakowało jej
słów. Poruszyła ją zbrodnia, o której opowiedział
podkomisarz, a po drugie, polubiła tego surowego
mężczyznę o wielkiej pasji i dobrym sercu. Zdawa-
ła sobie sprawę, że w tym fachu przyzwoitość nie
jest szczególnie wskazana i ceniona. Tym więk-
szy czuła teraz szacunek i sympatię do siedzące-
go przed nią mężczyzny, który bardzo przypominał
jej ojca. Chciała mu pomóc. Ale jak? Jej praca
polegała na badaniu przeszłości. Morderstwa wy-
darzyły się teraz, kilka ulic dalej. Dostrzegła pew-
ną logikę, wpływającą z opisanych zdarzeń. Nie-
śmiało zapytała:

– Jak nazywał się mężczyzna, którego nazna-
czono biblijnym imieniem?

– Werens. Mariusz Werens.

– Chananiaś został Szadrakiem... Werens zo-
stał Szadrakiem. Dlaczego? W Księdze Daniela
młodzieńców jest czterech. Daniel, Chananiaś,
Miszael i Azariasz. Dlaczego zabity Werens nie
został na przykład Azariaszem, który również był
wśród nich. Mężczyzna był stary a oni młodzi,
piękni, mieli służyć w pałacu królewskim... – Lena
wstała i zaczęła krążyć po salonie – Myślę... myślę,

że tu nie chodzi o ten konkretny fragment Księgi.
Tu co innego jest ważne.

– Co?

– Samo imię. Ważny jest Werens. Ważny jest Chananiasz albo jak pan woli – Ananiasz.

– Dlaczego?

– Bo biblijny Ananiasz został zamordowany.

* * *

Paweł Werens od rana szukał policjanta o nazwisku Dera, który udał się na urlop zaraz po rozpoczęciu śledztwa. Komisariat był prawie pusty. Wynikało to z faktu, że tego dnia rozpoczynała się pierwsza pielgrzymka nowo wybranego papieża. Większość policjantów została oddelegowana do Warszawy, aby zabezpieczać przebieg uroczystości, na których spodziewano się setek tysięcy wiernych z całego kraju, jak i z państw ościennych. Owszem, Werens natrafił na ważniaka w stopniu nadkomisarza o nazwisku Kulis. Ale tamten zbył go w pięć minut. Zasłonił się tajemnicą śledztwa, tym, że sprawa jest rozwojowa i podobnymi sloganami. Po korytarzach snuli się ponurzy faceci z ABW, którzy przejęli sprawę. Oni też pozostawiali głusi na pytania Werensa. Na nic zdały się próśby i groźby.

Dziennikarz zdobył wreszcie adres podkomisarza Dery od poznanego dzień wcześniej sierżanta.

Podziękował mu i zamówioną taksówką ruszył pod wskazany adres.

Werens miał ciągle ten sam samochód, którym dwa lata wcześniej przybył do miasta. Stać go było na dużo lepszy, ale miał sentyment do auta, które kiedyś było jego jedynym majątkiem. Kilka dni przed wyjazdem w trasę promocyjną książki ktoś, najpewniej wyrostki z osiedla, wybił mu przednią, lewą szybę. O dziwo, nie zginął odtwarzacz płyt CD, a wandalę pocięli mu nożami piękne, skórzane siedzenia. Teraz auto było w warsztacie. Paweł zdał się na łaskę kolei, a czasem taksówek. Samochodem miał się zająć młody praktykant, który pojawił się jakiś czas temu w redakcji. Werens miał o nim nie najlepsze zdanie. Jego warsztat pisarski pozostawiał wiele do życzenia. Chłopak nie przykładął się do powierzanych zadań. Kiedyś ni stąd, ni zowąd położył mu na biurku grubą teczkę, zareklamował ją jako zbiór świetnych reportaży z podróży po kraju. Werens obiecał przeczytać je możliwie szybko i skomentować. Prawdę mówiąc, nie zajrzał do nich od tamtej pory. Zwyczajnie nie chciało mu się. Nie spodziewał się rewelacji, widząc, jaki poziom reprezentuje autor. Teraz, pod jego nieobecność, praktykant miał za zadanie nie zepsuć tego, co przygotował dziennikarz.

W domu podkomisarza Dery przyjęto go uprzejmie. Gospodyni w oczekiwaniu na powrót męża poczęstowała go herbatą. Werens domyślał się, że jego

nazwisko jest jej znane. Być może mąż opowiedział o tragedii sprzed kilku dni. Tak, to było możliwe. Kobieta patrzyła na niego współczująco, w jej oczach błyszczały łzy, które dyskretnie ocierała chusteczką. W pewnej chwili przeprosiła go i zniknęła w dużej kuchni połączonej z salonem. Przygotowywała obiad, na który oczywiście go zaprosiła. Werens siedział w wygodnym fotelu, kątem oka obserwował na ekranie niewielkiego telewizora postawionego na lodówce lądowanie samolotu. Rozpoczęła się wizyta głowy Kościoła katolickiego. Na lotnisku, stłoczeni w kilku rzędach, oczekiwali papieża dostojnicy państwowi i hierarchowie kościelni. Patrzył w niewielki ekran, z każdą chwilą jego głowa opadała coraz niżej. Noc miał fatalną. Sny, które nawiedzały go w przeszłości, powróciły. Wiedział, że działo się tak za sprawą miejsca, do którego wrócił. Demony przeszłości. W tych strasznych snach był sprawcą śmierci najbliższych. Matki i brata. Cóż z tego, że policja uznała całe zdarzenie za nieszczęśliwy wypadek. Wyjazd z miasta pomógł zapomnieć o tragedii. Teraz, w nocy, to wszystko powróciło. Werens miał wrażenie, że ze zdwojoną mocą. Dlatego do świtu prawie nie zmrużył oczu i upiornie zmęczenie dawało znać o sobie. Ale na sen nie było czasu. Musiał znaleźć zabójcę stryja i Elizy. Liczył, że pomoc znajdzie w tym domu.

Wreszcie w drzwiach pojawił się gospodarz. Werens poderwał się z fotela na widok zwałiste-

go mężczyzny o dobrych oczach i równie zmęczonej jak jego twarzy, którą teraz rozjaśnił delikatny uśmiech.

– Pan Werens? – usłyszał zaskoczony. Skąd tamten wiedział, kim on jest? Sprawa się wyjaśniła, bo policjant powiedział, że żona dzwoniła pół godziny temu. – Przyjechałem najszybciej, jak to było możliwe. Bardzo panu współczujemy – wyciągnął w kierunku dziennikarza dłoń. Była wilgotna, miękka. Najwyraźniej policjant też miał nie najlepszy okres w swoim życiu.

Po obiedzie, który wkrótce podała żona podkomisarza, wyszli za dom, do niewielkiego ogrodu. Gospodarz zaproponował alkohol, ale Werens delikatnie, acz stanowczo odmówił. To nie był czas na relaks. Usiedli w wiklinowych, wygodnych fotelach, zapalili papierosy. Werens zaczął pierwszy:

– Panie komisarzu...

– Podkomisarzu, niestety. Jakoś nie znajduję uznania w oczach przełożonych.

– Ja myślę o panu zupełnie inaczej. Proszę mi wybaczyć, ale po wydarzeniach sprzed dwóch lat, o których zapewne pan wie, nie jestem wielkim fanem policji. Pan stanowi chlubny wyjątek. Zdaje się, że ci, którzy coś naprawdę robią i potrafią, nigdy nie są doceniani.

– Dziękuję za te miłe, ale i gorzkie słowa.

– Nie kieruje mną tanie pochlebstwo. Wiem o panu to i owo. Wieczorem, po tym, jak się dowie-

działem o odsunięciu pana od tej sprawy, zajrzałem do naszego redakcyjnego archiwum. To pan zajmował się sprawą serii porwań biznesmenów, to nikt inny jak pan rozwiązał aferę samochodową. To wreszcie pan...

– Wystarczy! – Dera uśmiechnął się delikatnie. Słowa dziennikarza z jednej strony sprawiły mu przyjemność, z drugiej zaś kolejny raz w tym tygodniu uzmysłowiły mu, że znalazł się na zakręcie. – Widzę, że dobrze pan odrobił lekcję. Tak, to prawda, kilka razy mi się udało.

– Udało?! – Werens poderwał się z fotela – pan jest tutaj najlepszy. To, że odsunęli pana od prowadzenia tej sprawy, tylko to potwierdza.

– Przesada. Sprawę przejęło ABW.

– Proszę mnie traktować serio. Jest pan lojalny wobec przełożonych, ale to już lekka przesada. Oni pana zwyczajnie się pozbyli.

– Zachowałem się zbyt impulsywnie. Ta informacja do gazety...

– Rozumiem pana. I dlatego odnalazłem pański adres i jestem tu.

– Na co pan liczy?

– Na informacje. Zginął mój krewny i jego żona.

– Cóż, współczuję panu, ale mogę powiedzieć tylko tyle, ile już powiedziałem mediom.

– Panie podkomisarzu – Werens usiadł. – Błagam, niech mi pan pomoże! Szaleńcy powróci-

li. I pan dobrze o tym wie. To nie jest zwykłe morderstwo.

– Będę z panem szczery. Mnie też ta sprawa nie daje spokoju. Właśnie wracam z pewnego spotkania, do którego doszło z mojej prywatnej inicjatywy. Zdaje się, że tak jak dwa lata temu, morderstwa mają związek z przeszłością, i to bardzo odległą. Prowadziłem różne sprawy, czasem nawet z powodzeniem. Ale na historii starożytnej nie znam się zupełnie. Nie mogę zatem panu pomóc, przykro mi – podkomisarz Dera uznał rozmowę za zakończoną. Wstał z fotela, aby pożegnać się z gościem.

Werens był rozczarowany krótkim spotkaniem. Spodziewał się po tym człowieku dużo więcej. Trafił na pogodzonego z losem policjanta w średnim wieku, który w chwili wzburzenia postawił się przełożonym, a teraz przemyślał sprawę. Podkuślił ogon i cierpliwie czeka na powrót do łask. Pewnie dostanie jakiś ochłap z pańskiego stołu, posadzą go za biurkiem i tak dotrwa do emerytury. Trudno, musi radzić sobie sam. Ostatni raz spojrział policjantowi głęboko w oczy i rzucił przez zaciśnięte usta:

– Szkoda. Wielka szkoda, że stracił pan jaja w sile wieku. – Wstał i z tarasu ruszył do domu. Przeszedł wąski korytarz, dotarł do drzwi prowadzących na ulicę. Żona Dery przerwała zmywanie naczyń i patrzyła na niego, nic nie mówiąc. Nie wiedzia-

ła, o czym ci dwaj przed chwilą rozmawiali, ale zapewne ta rozmowa nie należała do udanych.

Werens znalazł się na ulicy, przez telefon komórkowy zamówił taksówkę. Miała się pojawić za dziesięć minut. Oparł się o ogrodzenie i czekał. Zastanawiał się, co ma robić dalej. Ten policjant był jego wielką szansą. Szkoda tylko, że chybiła. Co teraz?

– Niech pan zaczeka – usłyszał w pewnej chwili. To był podkomisarz. – Tu ma pan adres – podał mu niewielką karteczkę – ta osoba może panu pomóc. A myślę, że i ja się na coś przydam. Trafił pan celnie w te jaja. Nie ma co. A skoro mnie zabolalo, to znaczy, że je jeszcze mam – uśmiechnął się gorzko. – Dziamski, człowiek, który znalazł pańskiego stryja, zaginął. Znajdę go. Potrafię szukać ludzi.

Werens był poruszony. A więc nie mylił się. Dera był porządnym gliną. Zatem nie wszystko stracone. Zza zakrętu wolno wytoczyła się taksówka. Werens podał podkomisarzowi dłoń. Wsiadł do auta i kazał się zawieźć do hotelu. Po chwili zmienił zdanie. Pokazał taksówkarzowi niewielką karteczkę, którą wręczył mu Dera.

– O, Jezioro Krzywe. Piękne miejsce. Szkoda tylko, że woda jeszcze zimna! – powiedział niewielki człowieczek za kierownicą i skierował białego mercedesa na zachód.

Lena Lipska wyszła spod prysznic, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. W miękkim, białym szlafroku, z mokrymi włosami ruszyła przez salonik. Zerknęła przez wizjer, a widząc na korytarzu całkiem przystojnego mężczyznę, który mógł mieć najwyżej trzydziestkę, wzięła go za jednego ze swoich seminarzystów, których, prawdę mówiąc, nie pamiętała zupełnie. Doktor Lena nie miała pamięci do twarzy. Zatem teraz, bez obaw, zwolniła blokadę drzwi i lekko zakłopotana patrzyła na przybyłego. Powinna wiedzieć, jak się nazywa! No nic, może się sam przypomni. Ale mężczyzna pod drzwiami nie był jej studentem. Powołał się na znajomość z podkomisarzem Derą i poprosił o krótką rozmowę. Lena niewiele zrozumiała z tego, co mówił. Pomyślała, że jest kolejnym policjantem, ale i to okazało się nieprawdą. Wreszcie dała sobie spokój z zagadkami. Wyjęła z uszu zatyczki, których używała podczas kąpieli i zwyczajnie zapytała:

– Kim pan jest? – Trzeba było od tego zacząć, pomyślała. Bawienie się w zgadywanki tego popołudnia nie szło jej najlepiej. Chociaż przyznać trzeba, że bardzo lubiła wszelkiego rodzaju tajemnice, najlepiej te dotyczące przeszłości.

– Nazywam się Paweł Werens, już to mówiłem.

– Doprawdy? Proszę mi wybaczyć – dyskretnie schowała zatyczki do kieszeni szlafroka. – Zapraszam do pokoju!

Werens rozejrzał się po zadbanym mieszkanku, zajął miejsce w fotelu i drugi raz tego dnia przyjął propozycję wypicia herbaty. Młoda kobieta zniknęła na chwilę, by pojawić się ubrana w dzinsowe spodnie i bawełnianą koszulę w błękitną kratę. Ciągle miała mokre włosy, z których krople spływały na koszulę. Werens odkrył, że zupełnie nie zwracała na to uwagi. Cóż, pomyślał, naukowiec. Pytanie, czy to dobrze, czy może źle? Zapewne zaraz się to wyjaśni. Z drugiej strony, podkomisarz był człowiekiem dobrze zorientowanym. Nie proponowałby mu odwiedzin u byle kogo. Ta kobieta powinna się znać na rzeczy. Werens przystąpił zaraz do sedna. Jeżeli Lena Lipska ma mu pomóc, to niech to zrobi. Jeżeli nie, szkoda jego czasu. Patrząc na nią uważnie, powiedział:

– W nocy z piątku na sobotę zamordowano moich bliskich. Stryja i jego żonę. Staruszka uderzono w głowę czymś ciężkim, a panią Elizę ukrzyżowano. Wiem, że brzmi to jak jakieś szaleństwo, ale takie są fakty. Wiem też, kto to zrobił i chcę tych ludzi dopaść.

Doktor Lena była mocno poruszona. Bezpośredniość tych słów ją sparaliżowała.

Ale po chwili odzyskała spokój. Już dzisiaj słyszała tę historię. Opowiadał ją znajomy policjant. Zatem nie było powodu, aby nie wierzyć temu mężczyźnie, o najsmutniejszej twarzy, jaką w życiu widziała. Chociaż, trzeba przyznać, całkiem ładnej

i pociągającej. Milczała świadoma, że to nie koniec opowieści. Tak też było w istocie. Werens mówił dalej:

– To kainici. A raczej niedobitki wynaturzonych sekciarzy, którzy działali w latach siedemdziesiątych na tych terenach. Dwa lata temu wpadliśmy ze stryjem na ich trop. Sektę rozbito, trafili za kraty... Wiem, chociaż nie potrafię tego udowodnić, że to zemsta. Ich przywódca, generał Szubert, a właściwie Montalto... Oni wrócili, by się zemścić. Będą następne ofiary. Trzeba ich powstrzymać!

– Znam kainitów. – Lena weszła mu w słowo, chociaż wcale nie zamierzała tego robić. Działo się tak zawsze wtedy, kiedy ktoś wkraczał w jej domenę. Kiedy poruszał tematykę biblijną. Lena ciągnęła zatem dalej: – Wywyższali Kaina, zrodzonego za sprawą wielkiej mocy zwanej Virtus. Bronili Judasza, który był ich zdaniem bohaterem. Uczynił wielką przysługę ludzkości, zdradzając Chrystusa. Zbawienie nie dokonałoby się, gdyż hamowały je moce sprzeciwiające się męce Chrystusa. A zbawienie nie mogło być opóźnione. Czy tak, panie Werens?

– Zgadza się. Ludzie, którzy zamordowali moich bliskich, dopuścili się wielu zbrodni. W jednym z pałaców organizowali orgie, na które ściągali otumanione narkotykami dzieci z pobliskiego sierocińca. To bardzo wysoko postawieni ludzie. Ciągłe sprawują wysokie urzędy, nikt nie wie, kto jest

w tym sprzysiężeniu. Pięciu z nich zginęło, reszta... Montalto miał wtyczki wszędzie, nawet w policji...

Lena drgnęła.

– Ale policjant Dera nie ma z nimi nic wspólnego? – zapytała bardzo poważnie.

– Na szczęście nie. Dera jest w porządku.

Zaległa długa cisza, którą wreszcie przerwał Werens.

– Pani doktor. Proszę mi wierzyć, ja nie zważywałem. To się dzieje naprawdę! Ci ludzie krążą gdzieś tu, wśród nas. Trzeba ich powstrzymać! – patrzył błagalnie w jej oczy.

Lena przez dłuższą chwilę obserwowała Pawła. Jakby wazyła stopień szaleństwa, w którym tkwił. Myślała nad tym, co powiedział, przypomniawszy sobie rozmowę z Derą. Ludziom, których nie знаła, wyrządzono jakieś niewyobrażalne zło. Oto teraz miała wkroczyć w ich życie, poznać sekrety, tajemnice. Czy mogła sobie na to pozwolić? Czy miała odwagę, aby wejść w ten ciemny tunel? Ukrzyżowana kobieta i zamordowany mężczyzna to nie samo co odczytanie wersu z Biblii, który szalona dłoń wypisała na starym obrazie w kościele. Czy będzie miała siłę, czy strach nie sparaliżuje jej myśli? Czy nie zawiedzie tego zrozpaczonego mężczyzny, który patrzy na nią błagalnie? Jaka wyjdzie z tego wszystkiego? Mocna, pewna siebie? A może złamana, wylękniona? Co ma zrobić? Ten

człowiek chce w ciągu kilku chwil wywrócić jej życie do góry nogami. Czy ją na to stać? Odprowadzić go do drzwi i życzyć spokoju? Lena była rozdarta. Jedna jej część czuła lęk przed wplątaniem się w jakąś paskudną aferę. Ale druga, ta, którą w sobie ceniła i lubiła, domagała się działania, rozwiązania zagadki. Ktoś wypisał zabitemu człowiekowi na ciele słowo Ananiasz. Ten sam oprawca ukrzyżował kobietę. Lena wiedziała, że jest w stanie pomóc. Tylko czy da radę? Wreszcie, po długiej chwili milczenia, sięgnęła na półkę z książkami, skąd wzięła Biblię. Odnalazła jakiś fragment i głośno go odczytała:

– „Biada tym, którzy zło nazywają dobrem, a dobro złem,

Którzy zamieniają ciemność na światło, a światło na ciemność,

Którzy przemieniają gorycz na słodycz, a słodycz na gorycz!”.

Spojrzała teraz na Werensa, który patrzył na nią rozpalonym wzrokiem.

– Pomogę panu, panie Werens. Nie wiem, do czego mnie to doprowadzi, ale podjęłam już decyzję. Mordercy pańskich bliskich to źli ludzie. W okrutny sposób bawią się z panem. Używają Biblii, myśląc że to zestaw krzyżówek, krwawa rozrywka umysłowa. Przeliczą się, już moja w tym głowa. Pan jest zdesperowany i odważny. Ja, nie chwając się, całkiem dobrze znam historię starożytną.

Pomogę panu! – powtórzyła z większym naciskiem.
– Możemy zaczynać!

Opadła na fotel. Wypiła łyk herbaty i powiedziała:

– Dwie sprawy na początek. Po pierwsze, proszę mi mówić po imieniu. Jestem Lena. – Wyciągnęła rękę do Werensa. – Druga zaś sprawa dotyczy żony stryja. Czy słyszałeś kiedyś o Wilgefortis?

– O kim? – zapytał poruszony Werens.

– O świętej Wilgefortis. Ukrzyżowanej kobiecie?

* * *

Po spotkaniu z Werensem Dera nie mógł odzyskać spokoju. W głowie kłębiły mu się najróżniejsze myśli. Z jednej strony już się zaangażował w sprawę zabójstw przy Fałata. Dowodem na to była wizyta u doktor Lipskiej. Z drugiej zaś nie pomógł zbyt wiele temu Werensowi. Zwyczajnie go zbył, kierując do biblioteki. A przecież mógł mu pomóc bardziej. Na przykład mówiąc o obrazie Rafaela, którego zdjęcie Dziamski pokazał policji. Mógł, ale tego nie zrobił. Dlaczego? Dlatego, że nie prowadził tego śledztwa, wytłumaczył sobie zaraz. Ale skoro go nie prowadził, to po co łączy po domach ekspertów od starożytności i zadaje pytania dotyczące śledztwa? Podkomisarz Dera stał w rozkroku. Zdał sobie sprawę, że dalej tak być nie może.

Albo angażuje się w tę sprawę z wszystkimi tego konsekwencjami, albo idzie na ryby.

Był już wieczór. Podkomisarz siedział na tarasie w ogrodzie, palił kolejnego papierosa. Mijały minuty, kwadranse... Po godzinie rozmyślań wstał z fotela. Rozprostował zdętwiałe i zmarznięte nogi. Wrócił do domu i skierował się wprost do swojego gabinetu. Na biurku leżał telefon komórkowy. Dera odnalazł numer swojego przyjaciela z Warszawy. Przez sekundę wahał się. W następnej chwili nacisnął zielony przycisk. Decyzja została podjęta.

– Jerzy? – zapytał Dera. – Czy nie przeszkadzam? To dobrze. Jak zdrowie? Tak? To znakomicie! Może w lipcu uda wam się do nas przyjechać? Pokój dostaniecie ten sam co zawsze. Żadne luksusy, ale zawsze lepiej niż w hotelu. Ma być piękna pogoda. Skoczmy na Mazury. – Tu wysłuchał słów przyjaciela i wreszcie przeszedł do sedna sprawy. – Jerzy. Mam prośbę. Facet nazywa się Szubert. Tak. Powtarzam. Szubert. Zdymisjonowany generał służb informacyjnych. Też się dziwię, że go posadzili. Z takimi koligacjami! Mam prośbę. Ustal, gdzie go trzymacie i do kiedy. Okej? Będę bardzo wdzięczny! I druga prośba do złotej rybki. Czy ktoś w centrali zetknął się z hasłem: Szadrak? Powtórzę: Szadrak. – Po chwili dodał: – A, może też paść hasło Ananiasz lub Chananiasz. Tak, to z Biblii. Popytasz? Znakomicie! Czekaam na odpowiedź! Za godzinę? Jesteś wielki! Masz u mnie dużą wódkę!

Do usłyszenia! – Dera odłożył telefon. Usiadł przy biurku i czekał na odpowiedź.

Jerzy Nowak od wielu lat pracował w Warszawie w Komendzie Głównej Policji, ściślej, w Krajowym Centrum Informacji Kryminalnych. Nowak zajmował się analizą i obsługą informacji. Kiedy zadzwonił telefon od przyjaciela, akurat pełnił dyżur w swym niewielkim gabinecie przy ulicy Puławskiej. Derę znał od dzieciństwa. Wychowywali się na jednej ulicy. Była to ulica Pestalozziego w Gdańsku. Po maturze ich drogi się rozeszły. Wpadli na siebie po dziesięciu latach przy okazji rocznicy powstania ich liceum. Już wtedy obaj pracowali w policji, tyle tylko, że Nowak zdecydował się na karierę urzędnika, a Dera oddał się pracy w terenie. Kiedy z podwórka odnowili znajomość, która z czasem przerodziła się w wielką przyjaźń. Dera zapraszał Nowaka do swojego domu, Nowak rewanżował się, goszcząc jego rodzinę co roku w Warszawie.

Telefon zadzwonił po pięćdziesięciu minutach.

– Adam, twoja złota rybka wywiązała się z zadania połowicznie. Na temat tego Szadraka nie mam nic, niestety. Gdyby coś wyszło, dam znać. Ale jest i dobra wiadomość, sprawdziłem tego faceta. Tego całego Szuberta. To niezła kreatura. W latach pięćdziesiątych krążył po Dolnym Śląsku. Należał do specjalnej jednostki, która zajmowała się odzyskiwaniem dzieł sztuki, które Niemcy ukryli, cofając się przed Rosjanami. To były zgromadzone przez

nich zasoby dolnośląskich banków, kosztowności ludności cywilnej, depozyty, biżuteria jubilerów. Wśród tych kosztowności były również dzieła sztuki. Złoto złożone we wrocławskim Kolegium Policji. We wsi o nazwie Cieplice, w bibliotece Schaffgotschów, Szubert wraz z kolegami znaleźli skrzynię ze zbiorami skarbcza katedry na Wawelu, Wilanowa, Łazienek, Muzeum Narodowego i Czartoryskich. To był początek jego kariery. Awansował i przeszedł do Wojskowych Służb Informacyjnych. Adam, ten facet był tam szarą eminencją, robił zawrotną karierę. Był bezkarny. Prawdopodobnie miał kompromitujące wielu ludzi dokumenty. Korzystał z nich. W latach siedemdziesiątych pod przykrywką elitarnego klubu czy, jak wolisz, sekty, przygotowywał przewrót. Twierdzili, że władza jest zbyt słaba, naród potrzebuje silniejszej ręki. Szubert został generałem w czasie stanu wojennego.

– Internowali wtedy Gierka, który był szefem partii, i premiera.

– Adam, premier został zamordowany kilka lat później. Torturowali go i zabili. Podobnie jak i jego żonę. Odbył się proces jakichś drobnych bandziorów, których potem wypuścili. Szubert przeszedł na emeryturę. Osiadł w domu niedaleko rosyjskiej granicy.

– Dlaczego trafił za kraty?

– Nakryto go na wywozie cennego dzieła sztuki. Nic więcej mu nie udowodniono. Chociaż wiadomo,

że wydał polecenie zabicia nieślubnego syna. Policjanci, którzy byli zamieszani w tę sprawę, odeszli z tego świata. Popelnili samobójstwo za kratami.

– Gdzie jest teraz Szubert?

– No właśnie. Gdzie jest Szubert? Usiądź wygodnie, bo możesz paść. Szubert wziął adwokata. Nazywał się Hempel. To cwaniak pierwsza klasa. Ten adwokat zdecydował się złożyć wniosek o ułaskawienie przez prezydenta. Musisz wiedzieć, że od roku 1990 do 2005 w Polsce ułaskawiono 7742 osoby. Daje to rocznie około pięciuset osób. A zatem każdego dnia co najmniej jeden więzień opuszcza celę. Najwyraźniej ten adwokat postanowił, że któregoś dnia takim uwolnionym będzie generał. Wpierw zrobił z generała człowieka śmiertelnie chorego. Adwokat wymyślił, że będzie to nowotwór złośliwy płuc. Zgodnie z prawem chory może odmówić leczenia w zakładzie karnym i ubiegać się o zwolnienie, gdyż dalszy pobyt zagraża jego zdrowiu i życiu. Tyle tylko, że ten bydlak generał był zdrowy jak ryba. Hempel zwrócił się o wystawienie zaświadczenia o chorobie do młodego chirurga. Ten za niewielką opłatą sporządził z datą wsteczną zaświadczenie, wedle którego generał leczył się u niego jeszcze przed odsiadką. Lekarz już siedzi. Kolejny dokument sporządził z datą o osiem miesięcy późniejszą. W drugiej opinii pojawiła się już informacja o nowotworze, o komórkach rakowych. Chirurg umieścił też informację, o tym, że generał

pomimo pouczeń nie wyraża zgody na operację. Hempel potrzebował teraz wycinka tkanki pobranej od kogoś chorego. Za stosowną opłatą wycinek taki kupił. Dawcą był jakiś nieszczęśnik, któremu pozostało kilka miesięcy życia. Policja uzyskała jego zeznania w ostatniej chwili. Adwokat zapłacił za sfałszowanie pobrania tkanki młodej lekarce, którą przy okazji zaciągnął do łóżka. Wraz ze stosownym skierowaniem przekazał próbkę do badania w Pracowni Badań Mikroskopowych. Tam, zgodnie z prawdą, zdiagnozowano nowotwór złośliwy, a do tego w zaawansowanym stadium. Konieczna była operacja i chemioterapia. Z takimi dokumentami Hempel stawiał się w Sądzie Rejonowym Miasta Warszawy z wnioskiem o ułaskawienie. Sędzia, człowiek sędziwy i poważny, z uwagą i zrozumieniem podszedł do sprawy ciężko chorego starca. Uznał, że generał powinien leczyć się na wolności, gdzie będą ku temu lepsze warunki. Ale adwokat poprosił sędziego o rekomendację u prokuratora generalnego. Uzyskał ją bez problemu. Stamtąd wniosek trafił do kancelarii prezydenckiej. Nikomu nie zależało, aby trzymać za kratami śmiertelnie chorego starca. Generał Szubert został ułaskawiony. Opuścił więzienie w karetce, z której potem pewno dziarsko wyskoczył ku zdumieniu obsługi furgonetki.

Dera był wstrząśnięty.

– To gdzie, do cholery, jest teraz Szubert?!

– Nie wiadomo.

– I nikt go nie szuka?

– Zdaje się, że właśnie zaczęto. Uważaj, bo to, co teraz powiem, nie jest przyjemne. Adwokat Robert Hempel został w niedzielę zamordowany.

– Co?!

– To, co słyszysz. Zabójca wdarł się do jego warszawskiego mieszkania. Zatłukł go nogą od krzesła. A potem zrobił coś, co świadczy o jego osobliwym poczuciu humoru. Na czaszkę nasunął przyniesiony ze sobą wieniec z białych chryzantem, a wokół zwisającej ręki owinął tasiemkę z jarmarczną trąbką. Dowcipniś, nie ma co. I, oczywiście, żadnych śladów. Robota profesjonalisty.

Podkomisarz Dera zaniemówił. Przed oczyma wirowały mu obrazy. Ukrzyżowanej kobiety, byłego księdza przywiązanego do szczebli drabiny, hebrajskich słów na poranionych plecach. Teraz doszły do tego kolejne, które sprawiły, że nie był w stanie podziękować przyjacielowi za informacje. Wydukał zatem coś niezrozumiałego i rozłączył się. Po chwili doszedł do siebie. Wybrał ponownie numer informatora i szczerze mu podziękował. Lojalnie poinformował go też, że są to wiadomości, o które prosi na swój prywatny użytek. Nowak zmartwił się, słysząc złe wieści o zawieszeniu Dery w obowiązkach. Równocześnie obiecał dać znać, gdyby dowiedział się czegoś więcej. Sprawa zabójstwa adwokata i poszukiwanie Szuberta wciągnęły również jego.

– Jestem szalony, pakując się w tę sprawę – powiedział do siebie podkomisarz Adam Dera i popatrzył na jasne ściany pokoju na piętrze. Pomyślał, że, być może, będzie musiał się z nimi rozstać, bo adwokat, który wyciągnie go z nadchodzących kłopotów, nie będzie tani. Mimo to wybrał numer telefonu Pawła Werensa.

– Panie Pawle, to ja, Dera. Chciałbym panu o czymś powiedzieć...

* * *

Lena i Paweł już od kilku godzin siedzieli w mieszkaniu nad jeziorem. Pani doktor opowiadała dziennikarzowi historię Wilgefortis. Najpierw jednak wprowadziła go w temat.

– Musisz wiedzieć, że ukrzyżowanie wynikało z powodów religijnych. Wymyślili je barbarzyńcy. Skazany na śmierć w ten sposób miał nie dotykać ziemi, a zatem nie kalał jej. Krzyż to wcale nie jest wymysł Rzymian. Ludzi krzyżowano dużo wcześniej. Trudno nawet mówić o krzyżu. Skazańców wprawdzie wbijano na pal. Taki okrutny sposób mordowania wymyślili Persowie. Ale informacje o krzyżowaniu znaleźć można w historiach wielu ludów: Asyryjczyków, Taurów, Fenicjan, którzy stosowali tę karę w swoich koloniach wokół Morza Śródziemnego. Potem tę okrutną metodę zabijania przyjęli Kartagińczycy, a od nich dopiero

Rzymianie. Najwięcej krzyży stawiano w drugim wieku przed naszą erą, kiedy miały miejsce bunty niewolników. Na przykład Marek Licyniusz Krassus po zwycięstwie nad Spartakusem ukrzyżował sześć tysięcy niewolników wzdłuż najstarszej rzymskiej drogi, czyli Via Appia. Wyobrażasz sobie coś takiego?! A ponoć to teraz świat jest straszny! Nawiasem mówiąc, Krassus źle skończył. Po bitwie z Partami wiano mu do gardła płynne złoto. I pytano go o to, jak smakuje.

– Mieli osobliwe poczucie humoru. Nie ma co!

– Marek Licyniusz Krassus był bogaczem. Doroził się wielkiej fortuny. W Rzymie posiadał, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, straż pożarną. Kiedy coś się paliło, wpierw kupował daną nieruchomość za grosze, a dopiero potem gasił. Ale to zupełnie inna historia. Mówiliśmy o krzyżu. Oczywiście, najstraszniejszą ukrzyżowaną postacią jest Chrystus.

– Czy ludzie byli zabijani na krzyżu? – zapytał Werens.

– Co masz na myśli?

– Może źle się wyraziłem. Chodzi mi o to, czy zabijano ich jeszcze przed ukrzyżowaniem, czy konali dopiero na krzyżu?

– Ludzi przed ukrzyżowaniem poddawano torturom, chłóście, wszystko zależało od wyobraźni oprawców. Żołnierze przybijali wrogów do bali często dla zabawy. Pisze o tym Flawiusz w *Wojnie żydowskiej*. Ludzi krzyżowano w różnoraki sposób.

Bywało, że twarzą do ramienia pionowego zwanego *stipes*, a czasem głową w dół. Zawsze z ramionami rozpostartymi na *patibulum*. Ukrzyżowanym Żydom Rzymianie zwykle łamali gołenie wieczorem w dniu egzekucji. Robili to, by tamci nie pozostawali na krzyżu na noc albo gdy wypadało naza jutrz święto. Złamanie gołeni sprawiało, że skazany wisiał na samych rękach i nie mógł zaczerpnąć powietrza. Prawie natychmiast się dusił. A co do twojego pytania, tak, karę ukrzyżowania stosowano zarówno wobec osoby żyjącej, jak i martwej.

– Myślę o Elizie. Czy bardzo cierpiała? Czy była już martwa, kiedy zawisła na krzyżu, czy może... – Paweł zrobił się blady. Lena chwyciła go za zimną dłoń.

– To ustali policja. Może zabrzmiało to brutalnie, ale jej to teraz już nie robi różnicy – zamilkła. Była zaskoczona własnymi słowami. Suchymi, pozbawionymi emocji. Takiej siebie nie znała.

– Opowiedz teraz o tej Wilgefortis.

– Tak. Kobieta z brodą wiszącą na krzyżu. Wilgefortis. Znana też jako Liberata, Eutropia, Wilga, Kummernis. Virgo Fortis, czyli silna dziewica. Nie jest wielkim odkryciem stwierdzenie, że świat chrześcijański jest patriarchalny. Bogiem może być jedynie męczyzna. W tym przypadku śmierć, i do tego męczeńską, ponosi kobieta. Legenda mówi o chrześcijance, córce pogańskiego władcy Luzytanii, który postanowił oddać ją pogańskiemu królowi Sycylii po

tym, jak tamten najechał jego kraj. Ale Wilgefortis była zakochana w kimś innym. Jej oblubieńcem był Chrystus. Dziewica odmówiła zamążpójścia. By do ślubu nie doszło, zapragnęła, aby jej twarz uległa zeszpeceniu. Chodziło o to, żeby księżę jej nie pożądał fizycznie. Prośby zostały wysłuchane, na twarzy Wilgefortis pojawił się zarost. Król – ojciec był wściekły. Jego plany nie mogły się zrealizować. I tutaj dochodzimy do krzyża. Wilgefortis została skazana na ukrzyżowanie. Dziewica poniosła męczeńską śmierć. Została kobietą Mesjaszem. Było to na początku naszej ery. Z czasem kult Wilgefortis zaczął się rozprzestrzeniać po Europie, Ameryce Łacińskiej. Trwa do dzisiaj. Także w Polsce.

– Co na to Kościół?

– Usunął Wilgefortis z oficjalnego kanonu po ostatnich reformach. Kwestionuje jej historyczne istnienie. Owszem, można się do niej modlić.

– Dlaczego?

– Jak wspomniałam, nie ma historycznych dowodów, by rzeczywiście żyła. Musisz wiedzieć, że we wczesnośredniowiecznych przedstawieniach Chrystus jest ubrany w długą szatę liturgiczną. Z czasem obrazy ukrzyżowanego Chrystusa ulegają zmianie. Nie nosi długiej szaty, a jedynie ma przepaskę na biodrach. I tu pojawia się problem. Jak wytłumaczyć przedstawienia postaci w bogatych szatach? Wymyślono więc, że musi to być ukrzyżowana kobieta z brodą.

– Stąd ta legenda.

– Właśnie. Ale czy to nie brzmi wspaniale? Kobieta Mesjasz! Łączy pierwiastki żeńskie z męskimi. Androgyniczność!

– No dobrze, ale jeżeli założymy, że morderca Elizy znał tę legendę, to po co ją wykorzystał?

– Pawle, ten, kto zabił Elizę, znał historię o Wilgefortis. Podkomisarz Dera był tu dzisiaj. Opowiedział mi o zabójstwach. Morderca nieudolnie dolepił Elizie sztuczną brodę.

– Czy można być pewnym tej zbieżności?

– Wilgefortis jest przedstawiana w jednym bucie. Legenda mówi o grajku, który zatrzymuje się u stóp ukrzyżowanej i by jej ulżyć, zaczyna grać. W podzięce Wilgefortis zrzuca jeden z trzewików. Są zresztą różne wersje tej historii. Zawsze jednak Wilgefortis ma jeden trzewik.

– Czy tak było z Elizą?

– Tego nie wiemy.

– Po co to wszystko?! – Werens opuścił głowę, zakrył ją dłońmi.

– By się z tobą zabawić, Pawle. To są elementy układanki, którą masz zebrać w jedną całość. Pytanie, co z niej powstanie? Być może Eliza to współczesna Wilgefortis. Twojego stryja zabójca nazwał Ananiaszem. Musisz ustalić, o co chodzi tym razem.

– Jak to? – Werens uniósł głowę i spojrzał na Lenę. – To nie wiesz, kim był Ananiasz? Ty, doktor?

Lena patrzyła na niego z lekkim rozbawieniem.

– Zdaje się, że wiem. Tyle tylko, że w Biblii Ananiaszy jest kilku... Rozumiesz? Jest Ananiasz z Damaszku, o którym pisze święty Łukasz w swojej Ewangelii. Ten nawrócony Żyd poniósł męczeńską śmierć w Eleutheropolis. Drugi to Ananiasz z Edessey, wysłannik króla Abgara V do Jezusa. Trzeci Ananiasz, syn Nebedeusza, był arcykapłanem żydowskim, prześladował Pawła z Tarsu. Tego z kolei zamordowali powstańcy. Czy może powiesz mi, na którym mam się skupić?

– Nie wiem, nic już nie wiem. Może powinniśmy dać sobie spokój...?

Kiedy Lena zaczynała opowieść o Ananiaszu z Damaszku, zadzwonił telefon. Paweł zerknął na wyświetlacz, a potem na kobietę. Ograniczył się do trzech słów:

– To Dera. Przepraszam.

* * *

Camargue połączył się z Mistrzem. Zdał mu relację z wykonywanej misji. Dotychczas wszystko przebiegało tak, jak zaplanował Mistrz. Wrens z rana pojechał na komisariat. Po kilku minutach, wściekły, opuścił budynek policji. Potem odwiedził niedźwiedziowatego policjanta, z którym spędził kilka godzin. Na koniec wsiadł do taksówki i pojechał na przeciwległy kraniec miasta. Ca-

margue śledził go dyskretnie. Kiedy tamten wchodził po schodach prowadzących na drugie piętro niewielkiego domu, on był już na górze. Widział, jak drzwi otwiera mu całkiem ładna kobieta. Długo rozmawiali. Czas płynął powoli. Camargue zaczął się niecierpliwić.

* * *

– Musi pan wiedzieć o kilku sprawach – zaczął Dera.

– Nie, to pan musi wiedzieć o pewnych sprawach – rzucił wściekły Werens. – Może mi pan powiedzieć, dlaczego nie wspomniał pan słowem o tym całym Ananiaszu? Dlaczego dowiaduję się o tym od Leny? Co to za cholerne tajemnice?!

– Uspokoił się pan? Czy ta informacja wyjaśniłaby coś panu? Czy teraz już pan wie, kim jest Ananiasz?

– No, nie bardzo...

– To po co te nerwy? Niech pan pamięta, ja oficjalnie się tą sprawą nie zajmuję. Jestem na urlopie.

Werensowi zrobiło się głupio. Faktycznie, Dera nie miał obowiązku mu pomagać. Robił to z tylko sobie wiadomych powodów. Postanowił go przeprosić:

– Dużo przeszedłem przez ostatnie dni. Proszę mnie zrozumieć...

– Czy to są przeprosiny?

– A jak pan sądzi?

– Dobra. Nie ma sprawy. Dzwonię do pana z pewnymi poufnymi informacjami. Chcę też pana ostrzec. To, co wydawało się niewiarygodne, jest prawdą. Ci pańscy szaleńcy sprzed dwóch lat... Wygląda na to, że wrócili. Wszystko na to wskazuje. Szubert, ten bandzior, wyszedł na wolność kilka dni temu. Wyciągnął go szemrany adwokacina Hempel. W niedzielę tego Hempela ktoś wysłał na tamten świat. W wieńcu kwiatów na głowie i z trąbką w sztywnej dłoni.

– Pan żartuje?!

– Nigdy nie byłem poważniejszy. Policja już szuka tego Szuberta. Zapadł się pod ziemię. Powinien pan też wiedzieć o jeszcze jednej sprawie, która w tej sytuacji musi jakoś się łączyć z naszą. Ten Dziamski. Staruszek, który jako pierwszy wszedł na posesję pańskiego stryja, zaginął. Ale to nie wszystko. On twierdzi, że do domu przy Fałata zaprosił go pański stryj. Wysłał mu kartkę, na której jest zdjęcie obrazu Rafaela. Obraz nazywa się *Portret młodzieńca*. Dzieło zaginęło w czasie wojny. Tyle wiem. I jeszcze jedna rzecz. Zarówno charakter pisma na tej kartce, jak i odciski palców, nie należą do pańskiego stryja ani do jego żony. Nasi sprawdzili to. Niech pan zgadnie, kto napisał ten liścik?

– Szubert?

– Brawo! Emerytowany generał, bandyta Szubert vel Montalto. Bohater wydarzeń sprzed dwóch lat.

– Wierzyć się nie chce.

– To zwiastuje kłopoty, panie Pawle. Niech pan na siebie uważa! Myślę, że ta cała gra wchodzi w decydującą fazę. Na tej kartce był przypis. Cytuję: „Zostało siedem dni”. Kartka pojawiła się w piątek. Dzisiaj mamy środę.

– To by znaczyło, że zostały tylko dwa dni. A co potem?

– Właśnie. Co się potem stanie? Ten Dziamski uparcie twierdził, że chodzi o obraz, który jego zdaniem jest ciągle w Polsce. Znaczyłoby to, że ktoś zamierza coś zrobić z tym obrazem za dwa dni.

– Hmm... i w tym celu zabija dwoje starszych ludzi... Nie wierzę!

– Troje. W niedzielę zabito adwokata.

– Co pan radzi?

– Schować się w jakąś głęboką dziurę i przeczekać.

* * *

Lena Lipska i Paweł Werens przygotowywali się do nocnej wizyty w domu jego zmarłego stryja.

Wcześniej jednak Lena opowiedziała mu o zaginionym dziele sztuki.

– Obraz Rafaela Santi jest uważany za najcenniejsze dzieło sztuki zaginione podczas drugiej wojny. Oczywiście, na terenie Polski. Sam obraz jest niewielki. Szeroki na jakieś pół metra, niewiele wyższy. Przedstawia młodego mężczyznę z długimi

włosami, w czapce, w pozycji siedzącej. Młodzieniec ma na sobie białą koszulę i futro. Postać jest zwrócona w stronę widza, na niego też patrzy. Jeżeli istotnie jest to obraz namalowany przez Rafaela, to musiał powstać nie później niż w roku 1520.

– Dlaczego?

– Rafael Santi – renesansowy geniusz – żył raptem trzydzieści siedem lat. Urodził się i zmarł w Wielki Piątek. Zabiła go febra. To był rok 1520.

– Powiedziałaś, że „jeżeli istotnie jest to obraz namalowany przez Rafaela”. Co masz na myśli?

– No właśnie. Co do autorstwa są pewne wątpliwości. Od jakiegoś czasu pojawiają się opracowania naukowe, które komu innemu przypisują to dzieło. Przede wszystkim obraz nie jest sygnowany. Do Polski trafił na początku dziewiętnastego wieku. Kupił go książę Adam Czartoryski i zawiózł do posiadłości w Puławach. Jego matka – Izabela – miała tam już całkiem sporą kolekcję. *Damę z gro-
nostajem* Da Vinci, *Krajobraz z miłosiernym samarytaninem* Rembrandta.

– Żartujesz?

– To byli zamożni ludzie. Księżna Izabela zbierała dzieła sztuki z różnych zakątków świata. Trzeba było je gdzieś umieścić. W tym celu kazała zbudować tak zwany Dom Gotycki, który trzydzieści lat potem zajęli Rosjanie. Obraz trafił do Paryża, a stamtąd do Londynu. I tu zaczynają pojawiać się wątpliwości co do autentyczności dzieła. Czarto-

ryscy chcieli sprzedać obraz. W tym celu wynajęli handlarza dziełami sztuki. Fachowca. Ale przez trzy lata obrazu nikt nie kupił. To niebywałe, ale nie znaleźli nabywcy.

– Może za dużo chcieli?

– Otóż, nie! Chcieli tylko piętnaście tysięcy franków. Jeżeli przyjmiemy, że obrazy Rafaela, bardzo wtedy w Londynie modne i poszukiwane, kosztowały dziesięć razy więcej, to suma, jakiej żądał ksiądz, wygląda podejrzenie nisko.

– Ten handlarz wiedział, że to nie jest płótno Rafaela.

– Wszystko na to wskazuje. Niechętnie pokazywał go ekspertom. Obraz wrócił więc do Paryża. To płótno zresztą wiele podróżowało. Z Francji zostało przewiezione do Polski. W Krakowie umieszczono je w Muzeum Czartoryskich, w czasie pierwszej wojny światowej wywieziono je do Drezna. Po wojnie wróciło na blisko dwadzieścia lat do Polski. Kiedy wybuchła druga wojna światowa, zapakowano je do skrzyni z napisem VRR...

– Da Vinci, Rembrandt, Rafael?

– Zgadza się. Skrzynię przewieziono do pałacu w Sieniawie. Ale nie na długo. Obraz przejęli ludzie Göringa i wywieźli do Berlina.

– Rzeczywiście, trochę sobie pojeździł.

– To nie koniec! Obraz miał być ozdobą Muzeum Hitlera w Linzu.

– Nie słyszałem o takim muzeum.

– Bo nie powstało. Hitler planował, że po wojnie zbuduje w Austrii największe muzeum na świecie. Wybrał Linz na miejsce swojej starości. Swoją plan zaczął wprowadzać w życie już w 1939 roku. Wyznaczył osobę odpowiedzialną za ten projekt. Był nią dyrektor galerii w Dreźnie, doktor Hans Posse. Gestapowcy krążyli po świecie i grabili, co się dało. Porcelanę, arras, rzeźby, obrazy. Doliczono się blisko pięciu tysięcy dzieł sztuki, które zostały odebrane prawowitym właścicielom.

– W tym naszego Rafaela.

– Ale w niejasnych okolicznościach w pewnej chwili obraz pojawił się na Wawelu, gdzie rządził gubernator generalny Hans Frank. Tam też się znajdował do końca wojny. W październiku 1946 roku Frank został stracony w Norymberdze. Wraz z jego śmiercią urwał się ślad po obrazie. Prawdopodobnie ukradł go któryś z współpracowników Franka i gdzieś ukrył. Może wywiózł z kraju?

– Ale zdaniem niektórych to nie jest obraz Rafaela. Tak powiedziałaś...

– Według części historyków sztuki obraz jedynie przedstawia młodego Rafaela, ale nie wyszedł spod jego pędzla. Czartoryscy kupili obraz od rodziny Giustiniani z Florencji. Wiadomo, że tamci mieli kłopoty finansowe.

– Sprzedali księciu podróbkę?!

– Nie! Po włosku zwrot „un ritratto di Raffaello” znaczy tyle co: „dzieło ręki Rafaela”. Ale również

„portret Rafaela”. Książę był widocznie przekonany, że kupuje dzieło Rafaela, a nie jego portret. Tak też je wpisano do katalogu Domu Gotyckiego, gdzie został umieszczony. Ale mówi się, że kto inny namalował ten obraz. Wymienia się *Parmigianino*, *del Piombo*, czasem *Romano*. Pamiętaj, nie ma na nim sygnatury.

– To o co tyle zachodu? O podróbkę?!

– Ta, jak ją nazywasz, „podróbka”, jest warta jakieś pięć milionów dolarów.

Werens zaniemówił. Bezmyślnym wzrokiem patrzył na Lenę. Kiedy wreszcie odzyskał zdolność logicznego rozumowania, powiedział:

– No dobrze. A jeżeli to jednak oryginał? Ile jest wart?

– *Pięćdziesiąt milionów dolarów.* – *Lena* uśmiechnęła się delikatnie.

Werens znowu milczał.

Po dłuższej chwili powrócili do rozmowy.

– Jak myślisz, po co morderca mojego stryja wysyła kartkę z informacją o obrazie jakiemuś starcowi?

– Nie mam pojęcia. Chce go zwabić do domu? Po co?

– Informacja była taka: „zostało siedem dni”. Do czego? Jeżeli przyjmiemy, że chodzi o obraz, znaczyłoby to, że morderca jest w posiadaniu obrazu, a potem coś z nim robi. Brzmi to głupio, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. Bo skąd u mojego stryja taki obraz?

– Morderca wiedział o pasji urzędnika. Wiedział, że bez względu na wszystko dotrze on do domu twojego stryja.

– Ale po co?

– Myślę, że tu chodzi o coś innego. Na pewno nie o obraz.

– No to o co?

– Nie wiem. Może o informację?

– Jaką znowu informację?

– Jakąkolwiek. Może o zbrodni?

– O co ci chodzi?

– Cała ta historia. Ten bandyta... On się z nami bawi. Nie widzisz tego? Zabija żonę twojego stryja, w taki sposób, że zostawia wiadomość.

– Wilgefortis.

– Właśnie. Ukrzyżowana kobieta. Nie wiemy, co to oznacza, ale wiemy, że jest to zaszyfrowana informacja. Dalej twój stryj. Napis: Szadrak albo Ananiasz na plecach. To kolejna zagadka. I dlaczego twój stryj był przywiązany do drabiny?

– Chyba wiem, do czego zmierzasz. Chodzi ci o to, że morderca chciał, aby zwłoki odkryto w określonym czasie. To dlaczego nie zadzwonił na policję? Nie wezwał straży pożarnej albo gazowników? Przecież to byłoby prostsze!

– Tego nie wiem. Ale jedno wydaje mi się pewne. Skoro zostało siedem dni, to nie można tego komunikatu odczytać po trzech dniach.

– Wtedy zostaną już tylko cztery dni.

– A zatem możemy już powiedzieć, że za siedem dni wydarzy się coś potwornego. Świadczy o tym bezwzględność mordercy, który chce, abyśmy o tym wiedzieli. Nie musi wcale chodzić o ten obraz, chociaż i tego nie możemy wykluczyć.

– Leno, obawiam się, że nie masz racji. Nie mamy już siedmiu dni.

– Rzeczywiście. Zostały raptem dwa.

– No to zabierajmy się do roboty. Musimy jakoś dotrzeć na Fałata. Czy możesz zadzwonić po takśówkę?

– A po co? – Lena sięgnęła do szafki, skąd wyjęła pęk błyszczących kluczyków. – Lubię jazdę rowerem, ale bez przesady!

Po kwadransie siedzieli we wnętrzu jej niewielkiej, zielonej toyoty yaris. Jechali ulicami wyludniającego się miasta. Dochodziła godzina dwudziesta trzecia.

Było już zupełnie ciemno, kiedy dotarli pieszo pod nieoświetlony dom stryja. Samochód zostawili na parkingu, który znajdował się kilkadziesiąt metrów wcześniej. Pogoda była paskudna, rozpadało się, a temperatura gwałtownie spadała. Na szczęście byli dobrze zabezpieczeni przed chłodem. Oboje mieli ciepłe swetry i przeciwdeszczowe płaszcze. Werens dostał taki płaszcz od Leny, która miała ich kilka. Wybrała dla niego najobszerniejszy, ale za to jaskrawożółty, co źle świadczyło o włamywaczach amatorach. Przeskoczyli ogrodzenie i obeszlili wil-

le. Werens zdjął płaszcz, rękaw dosunął do szyby i uderzając łokciem, wybił szkło. Hałas został zagłuszony przez deszcz. Włożył dłoń do środka, odnalazł klamkę i otworzył okno. Weszli do pokoju na parterze.

* * *

Adam Dera ruszył ukradkiem do kuchni. Przed snem jak zwykle postanowił zjeść niewielką kanapkę. Robił to w tajemnicy przed żoną i córką, które stanowczo zabraniały mu takich nocnych praktyk. Teraz kobiety jego życia przebywały na piętrze, gdzie zajmowały się tylko sobie wiadomymi sprawami. Co jakiś czas słyszał ich śmiech. Dera po cichutku otworzył lodówkę, wyciągnął z niej kawałek sera, masło i keczup. Na stole odnalazł pojemnik z pieczywem. Zrobił małą, smaczną kanapkę. Już miał ją włożyć do ust, kiedy zadzwonił telefon. Biedny Dera pomyślał, że oto został zdekonspirowany. Telefon sprawił, że obie kobiety na chwilę zamilkły. Zapewne zaraz któraś z nich zbiegnie na dół, by odebrać połączenie, a wtedy przyłapie go na gorącym uczynku. Nic takiego się jednak nie stało, bo dzwoniła komórka podkomisarza, której sygnał był obojętny dla pozostałych domowników, nie wyłączając czarno-białej kotki o imieniu Zuzia. Zwierzak patrzył teraz na niego obojętnie z perspektywy szafy, na której sobie leżał. Dera był uratowa-

ny. Szybko opuścił kuchnię, stał na środku pokoju, równał oddech. Ale kto, do cholery, dzwoni o tej porze? Spojrzał na wyświetlacz i zaintrygowany odebrał połączenie:

– Tu Jerzy – Dera usłyszał głos przyjaciela.

– Miałem dzwonić, gdybym coś wiedział.

– Dawaj!

– Jest kolejny trup. Tym razem w Krakowie. W Muzeum Czartoryskich. To stary pracownik muzeum. Nazywa się Henryk Bader. Ktoś wsadził mu kilka razy nóż w serce. Nasi znaleźli przy nim coś, co cię zainteresuje. To kartka. A właściwie zdjęcie obrazu...

– Rafael.

– Zgadza się.

– Czy jest jakiś podpis?

– Inaczej bym nie dzwonił. Szadrak. Facet miał kartkę, na której ktoś napisał słowo Szadrak. Czy to nie taką kartkę dostał ten twój handlarz? No wiesz, ten, co go wypuściłeś? He, He!

– Jerzy!

– Przepraszam! U nas też się o tym mówi. O tym twoim Szadraku zrobiło się głośno. Na górze się wściekają. Cztery trupy w ciągu kilku dni to dużo. Na szczęście zaczęła się pielgrzymka papieża i media mają co innego na głowie. Ale kiedy się skończy, to zrobi się gorąco. Oj, gorąco! Zjedzą nas pismaki!

– Czy to wszystko? – Dera był trochę zły na przyjaciela za tę złośliwość. Wiedział, że tamten ma dobre intencje, inaczej by mu przecież nie pomagał. Nie

dzwonił po nocy. Wiedział też, że on, podkomisarz **Dera**, jest odsunięty od sprawy. Nie powinien mu **przekazywać** tajnych informacji. Wiele ryzykował. **Ale** byli przyjaciółmi. Takimi prawdziwymi. Na dobre i na złe. Nowak chciał pomóc Adamowi. Wiedział, że **ta** sprawa ma dla niego szczególne znaczenie.

– Nie. To nie wszystko. Jest jeszcze podpis.

– Niech zgadnę? Werens. Mariusz Werens.

– Blisko. Werens. Ale nie Mariusz tylko... **Paweł**. Czy to nie ten dziennikarz od sprawy Szuberta sprzed dwóch lat?

– **Paweł?! No nie, co tu jest grane?!**

– Też bym chciał to wiedzieć. Obiecuj mi, że **jak** już złapiesz tego bandziora, to nakopiesz mu do dupy!

– Albo on mi.

– Nie żartuj! To ty jesteś tu szefem, zapomniałeś o tym? To twoje miasto!

Adam Dera odwrócił się w kierunku schodów prowadzących na piętro. Zobaczył na nich żonę. Była nachmurzona, dłonią wskazywała blat stołu. No jasne, kanapka! Zapomniał o niej.

– W mieście może i tak, ale nie w tym domu! – powiedział do słuchawki.

* * *

Kordan nieznacznie rozsunął zasłony w oknie. Na zewnątrz było już ciemno. Nie mógł w to uwie-

rzyć. Znowu się zapomniał! A tak starał się być uważny. Pokusa była jednak silniejsza od zdrowego rozsądku.

Kiedy zabierał tę całą Alicję z parkingu przed motelem, był przekonany, że panuje nad sytuacją. Ta nastolatka była zupełnie do niczego. Roztrzepana, usta jej się nie zamykały. Bez jego zgody włączyła radio. Musiał słuchać tej hałaśliwej, okropnej muzyki pełnej bełkotliwych słów i wulgaryzmów. Milczący Kordan początkowo zamierzał wysadzić ją na rogatkach najbliższego miasteczka. Ale z każdym kilometrem coraz bardziej czuł, jak TO wypełnia mu umysł. Nie potrafił się opanować, chociaż każdego dnia odgrywał przed żoną i dziećmi spektakl pod tytułem „dobry mąż i ojciec”. Tu jednak nie musiał. Wiedział o tym doskonale i pozwolił ponieść się żądzy.

Zaczął od tego, że jego twarz rozpromienił uśmiech. Potakiwał dziewczynie i wykazywał zainteresowanie jej słowotokiem. Wtrącał jakieś drobne uwagi chwające lotność umysłu nastolatki, jej poglądy i zainteresowania. Te ostatnie nie były szczególnie wysublimowane. Zespół o trudnej do zapamiętania nazwie: Red Hot Chili Peppers, aktor Tom Cruise i pięć godzin tygodniowo na basenie. Ten basen brzmiał w tym wszystkim najlepiej. Kordan był wielkim fanem kultury fizycznej. Sam ćwiczył sztuki walki każdego dnia. Rankiem biegł dziesięć kilometrów. Był mistrzem strzeleckim.

Opowiedział dziewczynie o triathlonie, w którym wziął trzykrotnie udział. Jak przewidział, zrobiło to na niej wielkie wrażenie. Usypiał jej czujność. Dwa kilometry przed miasteczkiem o nazwie Bar-do wcisnął pedał hamulca i wolno toczącym się autem skręcił w las. Dziewczyna przerwała kolejną historyjkę w pół słowa. Z szeroko otwartymi oczyma patrzyła na jego skupiony profil. Kordan lawirował po wąskiej, piaszczystej drodze, omijał pojawiające się co chwila gałęzie i kamienie. Przez cały ten czas nie wypowiedział nawet jednego słowa. Za to Alicja nagle odzyskała mowę.

– Domyślałam się od początku. Nic za darmo, prawda?

Kordan cały czas milczał. Dziewczyna wierciła się wyraźnie podenerwowana.

– A masz chociaż gumę? – zapytała i w tej samej chwili poczuła, jak potężny ból rozrywa jej lewy policzek. W następnej sekundzie uderzyła skronią w szybę. Towarzyszył temu chrzęst łamanego nosa. Alicja zadławiła się własną krwią. Potem straciła przytomność.

Odzyskała ją po trudnym do określenia czasie. Leżała w trawie półnaga, w ubłoconej bieliźnie. Ból powrócił. Chłód sprawił, że skuliła się w pozycji embrionalnej i zamknęła oczy. To zły sen, pomyślała. Ale o śnie nie mogło być mowy. Usłyszała trzask łamanych gałęzi, ciężkie kroki. Jej serce biło jak oszalałe, w oczach stanęły łzy.

– Nie rób mi więcej krzywdy! – rzuciła rozpaczliwą prośbę w kierunku, z którego dobiegały dźwięki.

Kordan stanął nad nią w rozkroku. Alicja odważyła się oderwać głowę od kolan i spojrzeć w górę. Już się nie uśmiechał jak podczas jazdy. Nie opowiadał zabawnych anegdot. Milczał. Przez ułamek sekundy ich spojrzenia skrzyżowały się. Alicja dostrzegła wówczas w nich coś, czego nie potrafiła nazwać. Oprawca trzymał w dłoni coś połyskliwego. W leśnym półmroku trudno było określić, co to takiego. Kordan pochylił się nad nią i dotknął jej napuchniętego policzka. Wyczuła na jego palcach zapach spermy. Czy ją zgwałcił? Chyba jeszcze nie.

– Błagam, zostaw mnie! Zrobię, co będziesz chciał, tylko nie rób mi krzywdy! – wyjęczała, czując, że ruszają jej się zęby. To po tym uderzeniu pięścią w samochodzie, pomyślała.

Kordan chwycił ją za włosy i szarpnął. Alicja wstała i zataczając się, wpadła na drzewo. Czuła, jak kora rani jej nagie plecy. By nie drażnić napastnika, zacisnęła zęby i stłumiła krzyk. Połyskliwy przedmiot ponownie zamigotał jej przed oczyma. Teraz już widziała wyraźnie metalowe kajdanki. Kordan zacisnął jedną z obręczy na jej nadgarstku. Obrócił dziewczynę twarzą do drzewa i oplótł pień jej rękami. Zacisnął drugą metalową pętlę na drugim nadgarstku. Alicja stała z twarzą wciśniętą w szorstką, chropowatą korę. Była z nią złączona.

Zapadła długa, upiorna cisza. Dziewczyna wyęczała słuch. Nie widziała, co szykuje jej napastnik.

Kordan stał za nią i wolno nawijał na dłoń skórzany, wojskowy pas zakończony klamrą. Robił to bardzo powoli i bardzo starannie. Myśl o tym, co za chwilę się stanie, podniecała go do tego stopnia, że ponownie poczuł fizyczny ból w podbrzuszu. Podniecenie jeszcze silniejsze niż to, które towarzyszyło mu przy wywlekaniu dziewczyny z samochodu. Pas nawinał w ten sposób, że metalowa sprzączka znalazła się na zewnątrz spoconych dłoni. Oprawca odczekał chwilę, podczas której wciągał w nozdrza jedyny niepowtarzalny zapach strachu, który człowiek wydziela w takim jak ten momencie. Długo już go nie czuł i napięcie związane z wyczekiwaniem wreszcie znalazło swe ujście. Wziął zamach i wyprowadził cios w lewą nerkę dziewczyny. Krzyk, jaki wydała z siebie, poruszył ptaki obsiadające drzewa. Zerwały się do lotu. One również wyczuły zapach śmierci. Alicja poczuła kolejne uderzenie. Nim straciła przytomność, przypomniała sobie spojrzenie Kordana, kiedy stał przed nią z kajdankami. Wiedziała już, co dostrzegła w tych oczach. Była zaskoczona swoim odkryciem. W oczach mordercy widziała dziecięcą radość.

Kordan patrzył w mrok za oknem. Bolały go obie ręce, którymi na przemian katował tę młodą dziewczynę. Potem musiał ją zakopać, co w lesie nie było

takie łatwe. Korzenie drzew utrudniały zadanie. Na dalszą drogę nie miał już siły. Zajechał do wsi Dębowina. Wziął pokój w zajeździe „Złote Wrota”. W dalszą drogę planował wyruszyć w czwartkowy poranek. Do celu było już niedaleko.

25 maja 2006, czwartek

Zegar wybił północ, kiedy Lena z Pawłem wchodzili do salonu willi przy ulicy Fałata. Światło laterek ślizgało się po stylowych meblach, obrazach na ścianach, grzbietach książek. Paweł drżał, kręciło mu się w głowie. Nie wynikało to z chłodu, bo noc była wyjątkowo ciepła, a salon miał pozamykane okna. Czuło się lekki zaduch. To dlatego mam te zawroty, uznał Werens. Z tej duchoty. Patrzył na znajome sprzęty. Przypominał sobie chwile spędzone w tym pokoju ze stryjem. Pełne napięcia, kiedy tropili Montalto. Godzinami siedząc w fotelach, ustalali plan działania. Stryj opowiadał mu o wydarzeniach sprzed wieków, a on, początkowo sceptyczny, dał się wciągnąć w tę śmiertelną rozgrywkę. Przypominał sobie surowe oblicze Elizy, przed którą kryli się z papierosami i lampkami wina. Niczym dorastający chłopcy. Już nigdy nie usiądzie ze stryjem przy stole, nie usłyszy jego

śmiechu, pełnych ironii i uszczypliwości opowieści. Spojrzał na sufit. Tam, na piętrze, był jego pokój. Latem sypiał na balkonie zawinięty w koc. Potem przyjeżdżał tu jeszcze czasem, na krótkie wizyty. Więcej czasu spędzał jednak z kochanką. Ale i to się skończyło. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że oto krąży po swojej własności. Przecież stryj już dawno uczynił go jedynym spadkobiercą tej posiadłości. Co z nią zrobi? Pewnie, kiedy to wszystko się uciszy, sprzeda dom. Nie ma czasu na zajmowanie się nim. Jego życie toczy się w Warszawie. Tak, sprzedaje go.

– Patrz uważnie – powiedziała cicho Lena – wszystko może okazać się ważne. Morderca bawi się z nami w okrutny sposób. Tu muszą być jakieś wskazówki!

– Wszystko wygląda tak jak kiedyś. Obrazy, meble...

– Jesteś tego pewien?

– Chyba. Raczej tak.

– Rozumiesz teraz, dlaczego morderca nie zadzwonił po straż pożarną, kiedy dokonał zabójstwa?

– Nie bardzo...

– Naprawdę tego nie rozumiesz? Porządek! Idealny porządek!

– No tak! Gdyby tu jako pierwsi dotarli ludzie niepowołani, mogliby zatrzeć ślady. To znaczy, porzestawiać elementy układanki. Policja niczego

nie ruszała. Zdjęli odciski palców i pewnie wszystko obfotografowali.

– Właśnie. Dlatego skup się. Tu muszą być kolejne wskazówki! Czy widzisz rzeczy, które wydają się podejrzane?

– Nie wiem, nie wiem... Może... – Zaczął krążyć po salonie z twarzą przy ścianie.

Metr za metrem badał teren. Rozsuwał szuflady, wkładał dłoń za regały z książkami. Nic nie znalazł. Popatrzył na sufit. Z uwagą oglądał piękny żyrandol. Wszedł na stół i próbował zajrzeć do wnętrza żyrandola. Niestety, pokój był bardzo wysoki, Werensowi ciągle brakowało kilkudziesięciu centymetrów. Zszedł ze stołu, by wziąć krzesło wsunięte pod blat. Ryzykując upadek zajrzał również do żyrandola. Nic. Spojrzał na stolik pod telewizor. Uśmiechnął się na wspomnienie dzieciństwa. To w szufladzie tego stolika stryj zawsze chował dla niego słodycze. To była ich wielka tajemnica. Mariusz puszczał oko do bratanka, a ten już wiedział. Kiedy nikt nie zwracał uwagi, biegł do salonu i cichutko wysuwał szufladę. Słodki skarb czekał tam na niego. Werens ze wzruszeniem odsunął teraz dziecięcą skrytkę.

– O, a tego tu nie było – powiedział zaskoczony. – Cegła. Stara, duża cegła. Dlaczego policja jej nie zauważyła?

– Dostyc osobliwe miejsce na składowanie materiałów budowlanych.

– Stryj nie trzymał w stoliku cegieł. Wiem, co mówię!

– Może na starość zdziwaczał?

– Tak, i zostawił cegłę? Brzmi ciekawie – Werens był wyraźnie zły.

– Masz lepsze wytłumaczenie?

Lena patrzyła przez chwilę na stolik, potem podeszła do niego, schyliła się i podniosła ciężki prostopadłościan.

– Chyba jednak masz rację – powiedziała tryumfalnie. – To kolejna wskazówka.

Werens patrzył w to samo miejsce co Lena. Pod cegłą leżała niewielka moneta. Kiedy oświetlił ją mocniej, mógł wyraźnie odczytać napis.

– Korona. Szwedzka korona.

– I cegła. Pamiętaj o cegle. Jedno bez drugiego zapewne nie ma znaczenia.

– A razem?

– Nie mam zielonego pojęcia!

* * *

Redaktor naczelny poczytnego warszawskiego dziennika Marek Durski poczuł, jak jego twarz robi się biała jak papier. Od kilkunastu minut wymieniał mejle z korespondentem w Watykanie, kiedy nagle odebrał wiadomość z tajemniczym załącznikiem o tytule: „Spotkanie autorskie”. Nie zastanawiając się długo, otworzył ów załącznik, a to, co

zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Po chwili odzyskał jako taki spokój. Zastanawiał się, co ma z tym wszystkim zrobić. Z jednej strony był przybity. Po publikacji zdjęć ich bohater jest już skończony, a co za tym idzie, Durski straci dobrego dziennikarza. Z drugiej zaś cieszyło go, że wreszcie ktoś dopadł tego cholernego gwiazdora. Po czymś takim nie ma czego szukać w branży. Jest skończony. Kolejnym uczuciem, jakiego doświadczył Durski, była zazdrość. Dlaczego to nie on? Ale szybko postanowił skryć ją w najgłębszym zakamarku duszy. Miał żonę, dzieci! Dziewczyna na zdjęciu była niewiele od nich starsza. Autor zdjęć był anonimowy. Podpisywał się jako „Obrońca Moralności”. Nie pisał, co zamierza zrobić ze zdjęciami, ale dla Durskiego było jasne, że prędzej czy później opublikuje je. Gdzie? Każdy szmatławiec weźmie te zdjęcia z pocałowaniem ręki, płacąc dobre honorarium. Co zatem robić? Dziewczyna na zdjęciach była zapewne nieletnia i chyba pijana. Leżała nago w objęciach tego dziwkarza Werensa. Durski uważniej przyjrzał się mejlowi. Zdjęcia zostały wysłane nie tylko do niego, ale też do Werensa. Nasuwało się pytanie: Czego autor zdjęć oczekuje? Czy to typowy szantaż? Chęć wyciągnięcia od gazety pieniędzy? Jeżeli tak, to dlaczego nie podał swoich żądań? Jeżeli zaś te zdjęcia mają zniszczyć Werensa, dlaczego ich od razu nie opublikował? Tu Durski uśmiechnął się ironicznie. No jasne! Ten facet chce zastra-

szyć Werensa. Ja wiem, że Werens dostał te zdjęcia. Werens też już wie, że zdjęcia trafiły do redakcji. To okrutne, pomyślał redaktor naczelny Durski. Werens cały czas musi się bać, nie zna dnia ani godziny. No i, oczywiście, ja, jak przystało na porządnego szefa, który dba o interes i dobre imię gazety, muszę ze skutkiem natychmiastowym wywalić Werensa na zbity pysk. Mogę potem te zdjęcia przypadkowo gdzieś pokazać, na jakimś towarzyskim party. Mogę to zrobić jakby niechcący. Jedno jest pewne. Cokolwiek by się stało, Werens jest skończony na zawsze. Na nic mu rozwiązanie zagadki sprzed dwóch lat. Durski zerknął na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Dzisiaj, dwudziestego piątego maja, kariera Pawła Werensa dobiegła końca. Jeszcze raz otworzył pocztę i wysłał Werensowi smutną informację. Zwolnienie ze skutkiem natychmiastowym. Potem sięgnął do barku po butelkę whisky. A co tam, taką decyzję trzeba opić!

* * *

Lena z Pawłem weszli do sypialni stryja. Wcześniej odwiedzili piwnicę, kuchnię, pomieszczenie gospodarcze, pokój Elizy i rzadko wykorzystywany pokój gościnny na parterze.

– Szukamy jakiegoś znaku. Czegóż, co będzie wskazówką – wyszeptła Lena, stąpając krok przed Pawłem.

Młoda pani doktor drżała. Ale nie był to lęk, lecz pobudzone do życia, przez lata uśpione, pragnienie przygody, dreszczyk emocji. Jako dziecko uwielbiała zabawy, w których należało się ukryć, odnaleźć jakiś przedmiot lub uczestnika gry. Potem przyszły lata nauki, następnie studia. Zagadki dużo trudniejsze, bo związane z historią starożytną, pojawiały się czasem podczas ślęczenia nad stosami kserowanych artykułów naukowych. Zwykle odpowiedź na nie przekazywał prowadzący zajęcia. Potem stało się tak, że to ona zasiadła po drugiej stronie sali wykładowej. Zamiast zagadek przyszła codzienna, monotonna praca, która zaczynała przechodzić w rutynę. Czy nie za wcześnie jak na tak młodego naukowca? Lena broniła się przed schematami i szablonowością. Czuła, jak się wypala. Dreszczyk emocji przyszedł w chwili, kiedy pojawił się podkomisarz Dera i jego propozycja współpracy. Była głęboko poruszona rozmiarami dewastacji w świątyniach. Jak można było zniszczyć tak piękne obrazy! Ale z drugiej strony – to było wciągające i pobudzające wyobraźnię. Ktoś świadomie niszczy dzieła sztuki, ryzykuje wpadką i wieloletnim więzieniem. Jaki szaleniec jest do tego zdolny? A kiedy wreszcie Dera dopadł wandalę, doznała dziwnego uczucia. Było jej smutno. Jakby coś się urwało. Wielka przygoda dobiegła końca. Nie było już potrzeby grzebania w Biblii, ustalania kręgu podejrzanych, tworzenia hipotez doty-

czących sposobu, w jaki poszukiwany włamywał się do kościołów.

A teraz, wraz z pojawieniem się Werensa, wszystko wróciło ze zdwojoną mocą. Mieli do czynienia z prawdziwymi bandytami. Ludźmi bezwzględnyymi i cynicznymi. Żądnymi krwi mordercami, zdolnymi do najgorszych okropieństw. Przy tym znakomicie znającymi historię starożytną i układającymi z jej kart okrutne kalambury z ludzkich, martwych ciał. Lena przyłapała się na tym, że oddała się duszą i ciałem tej sprawie. Jeszcze ze swojego mieszkania zadzwoniła do sekretariatu i poprosiła o kilka dni wolnego. Bez najmniejszego żalu poprzesuwała zajęcia, by móc w stu procentach poświęcić się rozwiązaniu zagadki. Czuła się teraz silna i potrzebna. Jej umysł pracował na granicy możliwości. Rejestrowała każdy szczegół. Wiedziała, że któryś może okazać się ważną wskazówką.

– Szukamy znaku – powtórzyła.

Zajrzeli do gabinetu stryja.

W sypialni stało wielkie łóżko. Zbyt duże jak dla jednego starego byłego duchownego. Prócz łóżka umieszczono w nim niewielki nocny stolik z gustowną, secesyjną lampą. W pokoju stał również wspaniały zegar w kolorze orzechowym, co było widać pomimo słabego światła latarki. Niewielki obraz przedstawiający Chrystusa wisiał na ścianie po prawej. To wszystko.

- Czy coś ci tutaj nie pasuje? – zapytała Pawła.
- Bo ja wiem?
- Skup się!
- Wszystko jest tak jak było. No, może dywan...
- Co jest nie tak z dywanem?
- Jest zwinięty. Ale pewno dlatego, że mógł być prany.
- Może tak, może nie. Moim zdaniem nie.
- Skąd ta myśl?
- Ile może ważyć taki dywan?
- Sporo.
- Na tyle dużo, że starsza kobieta, bo nie zakładam, że mąż jej w tym pomagał, nie byłaby w stanie go znieść na dół i rozwiesić na trzepaku.
- Jest w tym trochę racji. Ale może zwinęła go i czekała na kogoś, kto przyjdzie i zniesie ciężar?
- To wykluczone!
- Dlaczego?
- Widziałeś pomieszczenie gospodarcze na dole?
- Tak, przecież zajrzeliśmy do niego.
- A zauważyłeś tam odkurzacz?
- No, tak. Ale co z tego?
- To bardzo drogi odkurzacz. Taki, którym się pierze dywany. Moja matka ma podobny.
- Czyli co?
- Nie trzeba zwinąć dywanu i znosić go na dół, skoro pierze się na miejscu. Ktoś celowo zwinął ten

dywan. Pytanie, po co? Skup się i jeszcze raz obejrzyj tę sypialnię!

Werens był zły. Nie podobał mu się władczy ton Leny. Ale jeszcze zdąży jej się odgrzyźć, pomyślał. Teraz trzeba obserwować. Patrzeć uważnie i kojarzyć fakty. Świecąc latarką po ścianach, rejestrował metr po metrze wszystko, co było w tym całkiem sporym pomieszczeniu. Wreszcie doznał olśnienia. Uśmiechnął się triumfalnie i powiedział:

– Adler. Stary Adler. Zegar nie stoi na swoim miejscu! – Nagle wszystko widział wyraźnie. Szarawą plamę na ścianie, gdzie dotychczas stał zegar, ślad zarysowań na błyszczącym parkiecie. Ktoś ciągnął po nim trzydziestokilogramowy mechanizm. – To dlatego dywan jest zwinięty. Ciągnąłby się wraz z zegarem. Ktoś wpierv wyjął dywan spod ciężkiego zegara. A potem zwinął go, żeby nie przeszkadzał.

– Silny człowiek mógłby pociągnąć go po dywanie – zauważyła Lena.

– Tak? No to spróbuj! – Werens wiedział, że ma rację.

Jeszcze wchodząc na strych, Lena miała wątpliwości. Duże pomieszczenie robiło ponure wrażenie. Wszędzie wirowały drobinki kurzu. Na długich sznurach wisiały jakieś szmaty, które kiedyś zapewne były częściami garderoby. Najwyraźniej gosposia, a potem żona starego Werensa o nich całkowicie zapomniała. A może zdrowie nie pozwa-

łało jej już wchodzić po krętych schodach na poddasze? Krok po kroku posuwali się do przodu. Werens szedł pierwszy. Dłonią odsuwał na bok szmaty. Po chwili jego ręka była oblepiona jakąś mazią, która prócz tego, że ubrudziła mu rękaw płaszczka, to jeszcze na dodatek pokleiła mu palce i zwyczajnie cuchnęła. Latarkę, którą trzymał w dłoni, pokryła pajęczyna. Lena, idąc za nim, nieświadomie chwyciła go za tył sztormiaka. To miejsce ją przerażało. Było duszne i klaustrofobiczne. Zdawało jej się, że za chwilę ktoś wyciągnie rękę zza szmat i wciągnie ją w jakąś ciemną otchłań. Bała się i jeszcze mocniej uczepliła palcami Werensa. Wiedziała, dokąd zmierzają. Gdzieś tam, przed nimi, oparta o dachowy właz stała drewniana drabina. To na niej znaleziono ciało martwego byłego księdza. Przywiązano go do niej, wcześniej mordując. Ale myliła się. Werens ruszył najpierw w przeciwną stronę. Szli zatem, oddalając się od miejsca zbrodni. Dotarli do wielkiego komina, który był usytuowany mniej więcej w dwóch trzecich odległości od szczytu budynku. Za ścianą cegieł stały rzędy regałów. Najwyraźniej nie były one obiektem zainteresowania policji, bo nie dostrzegli śladów ludzkiej ingerencji. Na półkach stały pokryte warstwą solidnego kurzu słoiki, pożółkłe gazety, butelki z nietypowymi zamknięciami. Zwoje pordzewiałego drutu, puszki i jakieś bliżej nieokreślone drobiazgi niewiadomego zastosowania, teraz już tylko nadające się na śmiet-

nik. Werensa zaciekało pudło leżące na podłodze, pod regałem. Wyciągnął je ostrożnie, przetaił wieko dłonią i ku swemu zaskoczeniu odkrył, że to nie pudło a stara, zniszczona walizka, która kiedyś była zapewne całkiem ładną skórzaną, brązową walizeczką używaną w podróżach. Postanowił zajrzeć do jej wnętrza. Walizka była jednak zamknięta. Postanowił zabrać ją ze sobą i sprawdzić jej zawartość w jakimś lepiej oświetlonym miejscu. Nie miał zresztą narzędzi do zerwania porzewiałych zamków. Poszli dalej, ale nie znaleźli już niczego ciekawego. Kolejne sterty śmieci, pogięte koła od rowerów, wysłużona maszyna do szycia, przedpotopowa pralka o zabawnej nazwie „Frانيا”. Ktoś zadał sobie trud i wtaszczył ją na strych. Czyste szaleństwo! Ale ludzie przed trzydziestu laty żyli w innym świecie. Wszystko mogło się przydać, oto jedna z podstawowych zasad, które obowiązywały w ich życiu. Jak przez mgłę pamiętał z dzieciństwa stary telewizor, który ciągle się psuł, a ojciec z uporem maniaka woził go do naprawy. Teraz wyrzuciłby go natychmiast do śmieci i kupił nowy. Ale wtedy pojęcie nowości rozciągało się na całą wieczność. Nowe było w dniu zakupu, po roku, jak i po dziesięciu latach. Werens podjął decyzję o zmianie kierunku. Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drabiny. Lena ponownie zadrżała. Nie była pewna, czy chce ją zobaczyć. Dotychczas taka odważna i silna, nagle straciła pewność siebie. Kiedy godzinę

temu zakradali się do tego straszego domu, świadomie zrezygnowała z wizyty w ogrodzie. Zwyczajnie stchórzyła. Była na siebie wściekła, ale nic na to nie potrafiła poradzić. Strach paraliżował jej ruchy. Zapewne też myśli, bo przecież, jeżeli chciała coś ustalić, to musiała dokładnie obejrzeć i tę demoniczną konstrukcję za domem, jak i ponury strych. Odwagi starczyło jej jedynie na to drugie miejsce. A może, kiedy zejdzie ze strychu, zmieni zdanie i ruszy za dom? Lena postanowiła wziąć się w garść. Nieznacznie poluzowała uścisk palców na rękawie koszuli mężczyzny, a po chwili całkiem ją puściła. Muszę być dzielna! Muszę przestać się bać! – Powtarzała niczym mantrę. Szła krok w krok za Werensem. Czuła, jak pajęczyna oblepia jej włosy, nos i usta, wreszcie oczy. Prawie po omacku dotarła w to straszne miejsce, gdzie kilka dni temu zamordowano człowieka.

– Tu go przywiązali – powiedział Paweł łamiącym się głosem. Lena chwyciła go za dłoń, w której trzymał walizkę. Teraz jednak nie towarzyszył temu strach, ale solidarność w nieszczęściu, chęć wsparcia. – Na trzecim szczeblu od dołu. Wcześniej otrzymał cios w tył głowy. Podobno tylko jeden. Śmierć nastąpiła w krótkim czasie. Dera twierdzi, że stryj już nie żył, kiedy go przywiązywano do drabiny. Chciałbym w to wierzyć! Nie chcę myśleć o tym, jak bardzo cierpiał. Jak bardzo cierpieli oboje. Eliza... Skąd w mordercy takie okrucień-

stwo? Co ci starzy ludzie zawinili... Mogli jeszcze żyć wiele lat!

Lena zacisnęła mocniej dłoń na jego dłoni:

– Wiem, że musiałeś zobaczyć to miejsce. To było dla ciebie bardzo ważne. Ale teraz już chodźmy stąd – postanowiła być równie dzielna jak on.

To, co zrobił, dodało jej sił. Nie każdego byłoby stać na odwiedzenie tak straszego miejsca. Ona też będzie odważna. Zejdzie do ogrodu i dokładnie obejrzy drabinę, może coś tam znajdą? Wolno, by nie potknąć się o jakiś zbutwiały kawałek drewna, dotarli do wyjścia. Ostrożnie zeszli na dół. Tym samym oknem, którym weszli, teraz opuścili dom. Ruszyli w kierunku miejsca drugiej zbrodni. Trawa była mocno zroszona, a przez to ich buty i nogawki spodni zrobiły się mokre. Werens zanurzył dłonie w wilgotnym zielonym dywanie. Przetarł brudne palce, a potem twarz. Na koniec przeciągnął walizką po trawie, by ją oczyścić z kurzu i pajęczyny. Lena zrobiła to samo. Wsadziła palce we włosy, wcześniej myjąc je w mokrej trawie. Księżyc wisiał nad pobliskim lasem. W jego świetle wyglądali niczym dwa upiory. Tyle tylko, że zamiast strachu wzbudzające litość. Walizka w dłoni Werensa wyglądała groteskowo. Jakby upiory uciekły z lasu do świata ludzi, a teraz błąkały się zagubione, nie wiedząc, co czynić dalej.

Ale oni wbrew pozorom doskonale orientowali się w terenie. Działo się tak za sprawą Werensa, który spędził w tym do mu dzieciństwo, godzinami bie-

gał między drzewami, tworząc przemyślne skrytki i zasadzki, w które zwykle wpadał jego brat... Doszli do miejsca, gdzie powinien stać krzyż, a właściwie drabina z dołączonym do niej poprzecznym *patibulum*. Miejsce zbrodni zabezpieczone było polyskującą plastikową taśmą.

– Tu zginęła – powiedział Werens, stawiając walizkę w trawie. Uważnie oświetlał latarką osobliwy krzyż.

– To straszne. A wszystko po to, aby z tej śmierci uczynić znak.

– Jesteś tego pewna?

– Dera mówił o brodzie doczepionej do policzków. Miała też na stopie tylko jeden but. To Wilgefortis. Bez wątpienia.

– A dlaczego ten but jest tylko jeden?

– Podania mówią o skrzypku, który grał u stóp figury Zbawiciela. Któregoś dnia trzewik z nogi ukrzyżowanego spadł obok grajka. Ten został posądzony o kradzież i miał zostać za to zabity. Skrzypek próbował się wytłumaczyć, ale jego słowa nic nie znaczyły. Wtedy poprosił, aby pozwolono mu przed egzekucją zagrać ostatni raz. I nastąpił cud, po tym, jak zaczął grać, trzewik ponownie spadł z nogi Zbawiciela. Grajek został niewinny.

– Ale to przecież kobieta!

– Już zapomniałeś? To kobieta, której wyrosła broda po tym, jak postanowiła się oszpecić, by nie wyjść za mąż. Jej oblubieńcem był Chrystus.

– No tak, pamiętam.

– Pierwotne *Volto Santo*, krucyfiks wyrzeźbiony przez Nikodema albo przez same anioły. A zatem *acheiropit* czyli nieuczyniony ręką ludzką. Mężczyzna w długiej szacie w legendzie o Wilgefortis to kobieta. Cierpi za ludzkość jak Chrystus.

– I co dalej?

– Dera nie wspomniał o bucie. Może nie zwrócili na to uwagi?

– Co chcesz zrobić?

– A jak myślisz?

– Pewnie zamierzasz znaleźć ten drugi but. A jeżeli znalazła go już policja?

– Wątpię. Mieli co innego do roboty. Nie znali też historii Wilgefortis. Bierzmy się do roboty!

Lena i Paweł, pochyleni nad ziemią krążyli pomiędzy owocowymi drzewkami, metr po metrze przeczesując trawę. Księżyc wolno znikał za drzewami, wschodziło słońce. Nie znaleźli niczego, co można by nazwać butem. Owszem, natrafili na kilka przedmiotów. Ale zarówno przegniły po zimie wiklinowy kosz, jak i czapka z daszkiem ozdobionym wypłowiałym napisem „Mazury cud natury”, butem nie były. Już dniało, kiedy przerwali pracę.

– Widocznie jednak policja znalazła ten but – powiedział zmęczony Werens.

– Lepsze to, niż gdyby tego buta wcale nie było.

– Wtedy teoria o Wilgefortis bierze w łeb, czy tak?

– Właśnie.

– Chodźmy stąd. Ktoś nas może zobaczyć. Ludzie zaraz będą szli do pracy...

– Wątpię. Ale masz rację, chodźmy stąd.

– Dlaczego wątpisz?

– Popatrz na te domy. Czy myślisz, że ktoś tu chodzi na piątą rano do fabryki opon?

Werens pierwszy raz od chwili, kiedy poznał Lenę, uśmiechnął się. Wkrótce uczynił to po raz drugi. Stało się tak za sprawą buta, który wisiał na gałęzi jabłoni. Potrząsnął gałęziami i but spadł w trawę.

– Jest! Jest nasz but! To dlatego policja go nie znalazła! Szukali na ziemi, a on sobie wisiał jak gdyby nigdy nic! Co teraz? – Patrzył w skupieniu na Lenę.

– Teraz? Wiemy już, że morderca zostawił kilka wskazówek. Pytanie polega na tym, którą z nich uznać za kluczową. Został nam tylko jeden dzień.

– Do czego?

– Otóż to. Do czego? Mam wrażenie, że ktoś tu chce poważnie narozrabiać. I czuję, że ma to związek z tobą, Pawle.

Lena nie myliła się. W drodze powrotnej do jej mieszkania Werens zerknął na wyświetlacz telefonu. Przed wyprawą na Fałata wyciszył telefon, aby nie przyciągnąć niczyjej uwagi. Miał kilka nieodebranych połączeń. Wszystkie pochodziły od Dery. A to nie znaczyło nic dobrego.

Podkomisarz Adam Dera bezskutecznie próbował połączyć się z Werensem. Dzwonił do niego pomimo późnej pory. Chciał go ostrzec przed niebezpieczeństwem. Przy ciele zabitego starego kustosza znaleziono zdjęcie z nazwiskiem Werensa. Samo zdjęcie przedstawiało obraz Rafaela. To wszystko musi się łączyć w jakiś cholerny, krwawy łańcuch, którego koniec trzyma jakiś szalony sadysta. To prawdopodobnie Szubert. Policja szuka go bezskutecznie od kilku dni. Ale tamten zapadł się pod ziemię, zniknął jak duch. To znaczy, że miał coś na sumieniu. W przeciwnym wypadku po co by się ukrywał? Adam Dera go nie znajdzie. Nie ma na to szans. Ale może zrobić co innego. Może odnaleźć starego Dziamskiego. Jeżeli to zrobi, odzyska szacunek dla samego siebie. To w końcu on wypuścił go po przesłuchaniu. Taki spokojny staruszek... A może jego też dopadł zabójca starego Werensa i jego żony? Ten sam człowiek prawdopodobnie zabił też warszawskiego adwokata i emerytowanego kustosza. Całkiem niezła kolekcja trupów jak na niecały tydzień. Właśnie, tydzień ma się ku końcowi. Co ma się wydarzyć jutro? Czy to chodzi tylko o obraz, czy o coś więcej?

Dera zjadł śniadanie i udał się do śródmieścia, wprost do domu Edwarda Dziamskiego. Dla pewności zadzwonił do drzwi, ale nikt nie otworzył, ruszył więc do sąsiednich drzwi. Otworzył mu je po chwili niewielki człowieczek, na oko sześćdziesięcioletni.

Dera uznał to za okoliczność sprzyjającą. Liczył na jakąś znajomość tych dwu starszych mężczyzn, było nie było, sąsiadów. Nie mylił się. Mężczyźni znali się o tyle, że Ludwig Kanter – sąsiad Dziamskiego – pod nieobecność tamtego podlewał mu kwiaty. Jak się okazało, Dziamski często wyjeżdżał, co jak na jego podeszły wiek mogło nieco dziwić. Kanter powtórzył to, co wcześniej powiedział innym policjantom. Odwiedzili go jeszcze w poniedziałek. Dziamskiego ostatni raz widział w niedzielę. Minął go w drodze z kościoła Serca Jezusowego, skąd wracał po wieczornej mszy. Spotkali się na schodach. Dziamski powiedział mu, że musi gdzieś wyjechać, chyba do rodziny. Kantera to mocno zdziwiło, bo o ile dobrze pamiętał, sąsiad nie miał żadnej rodziny. Ale o nic nie pytał. Nie było zresztą czasu. Dziamski zniknął w szybie windy.

– Czy i tym razem zostawił panu klucze? – zapytał Dera.

– A właśnie że nie! Dziwne, co? – odpowiedział pytaniem Kanter.

– To by znaczyło, że wkrótce wróci?

– Musi wrócić!

– A dlaczego?

– Bo chodzi do szpitala. Nerki ma chore.

Dera, słysząc te słowa, uśmiechnął się. No to cię mam, pomyślał. A w następnej chwili zadał ostatnie pytanie:

– A gdzie on ma robione te dializy?

Kiedy otrzymał odpowiedź, powiedział do siebie, lecz na tyle głośno, że jego słowa dotarły do uszu Kantera:

– No to pora na kolejne spotkanie, panie Dziamski.

– Myśli pan, że on nie wyjechał z miasta? – zapytał mężczyzna.

– Ja to wiem, proszę pana!

Stacja dializ, do której zgłaszał się Dziamski, znajdowała się przy Alei Wojska Polskiego numer 30. Podkomisarz dotarł do niej po dwudziestu minutach od rozmowy z sąsiadem Dziamskiego. Przed wejściem do budynku zobaczył dobrych znajomych, chociaż to nietrafne określenie. Na ulicy stał bowiem ciemny passat, wewnątrz którego byli ludzie z ABW. Nie zdziwiło go to zbytnio. Oni też rozmawiali z Kanterem. Dera zaparkował samochód z tyłu budynku, na miejscu zarezerwowanym dla pracowników stacji. Nie dbał o to. Odnalazł boczne wejście i wszedł do środka. W recepcji zapytał o Dziamskiego. Zwykle pojawiał się około godziny dziesiątej. Dera zerknął na zegarek. Była dziewiąta. Miał zatem godzinę. Z torby wyciągnął książkę Werensa o dziwacznym tytule: *Sanguis martyrum – semen christianorum*. Postanowił dowiedzieć się nieco więcej o Szubercie i jego organizacji.

Kilka parterowych budynków z płaskimi dachami składało się na kompleks hotelowy o uroczej nazwie „Podaj Łapę”. Nazwa zdawała się idealnie oddawać charakter przyjmowanych tu gości. Był to bowiem hotel dla zwierząt w podwarszawskim Legionowie, a właściwie na jego obrzeżach. Przy budynkach było kilkanaście wybiegów, każdy po czterdzieści metrów długości i pięć szerokości. Prostokąty były oddzielone od siebie solidną siatką, za którą biegały różnej wielkości psy.

Przybyły właśnie mężczyzna skierował kroki do głównego budynku, w którym znajdowało się hotelowe biuro. Przywitał go sympatyczny, rumiany jegomość. Jak się wkrótce okazało – lekarz weterynarii kierujący całym kompleksem. W hotelu, prócz psów, przebywały także koty i inne małe zwierzęta. Mężczyzna uśmiechnął się przyjaźnie i przedstawił jako dobry znajomy Pawła Werensa. Przybył w jego imieniu, by odebrać psa, konkretnie średniej wielkości mieszańca, którego Werens nazywał Kortem. Był to skrót od nazwy dzielnicy, w której na siebie wpadli. Dosłownie, bo Werens potrącił zwierzaka samochodem przy wjeździe do rodzinnego miasta.

Mężczyzna wzbudzał zaufanie. Znał dokładną datę oddania psa do hotelu. Wiedział, dokąd Werens miał się udać. Weterynarz nie miał powodu, by mu nie wierzyć. Przybyły twierdził, że działa z polecenia właściciela psa. Oddaje przysługę Weren-

sowi. A tak w ogóle, jest przejazdem i stąd pomysł, by zwierzę zabrać do Warszawy. Zrobi dobry uczynek. Kolega nie będzie musiał tracić paliwa i czasu. Ile zatem ma zapłacić? To zupełnie uspokoiło szefa hotelu. Komu by przyszło do głowy porwać psa? Zwierzęcy kidnaping? Nie słyszał o czymś takim. Zwykle było na odwrót, to ludzie porzucali zwierzęta. Zniknął zatem w jednym z pomieszczeń, skąd na smyczy przyprowadził Kortę. Pies miał na pysku kaganiec i warczał. To zrozumiałe, pomyślał weterynarz. Nie jest przyzwyczajony do siedzenia za ogrodzeniem, a zatem odreagowuje. Właściciel zwierzęcej przechowalni wziął pieniądze. Wypisał dowód wpłaty, podziękował za skorzystanie z ich usług, zaprosił do ponownych odwiedzin i życzył szczęśliwej drogi. Mężczyzna podziękował. Pociągnął psa do samochodu, wsadził na tylne siedzenie i wolno odjechał. Nie kierował się jednak na Warszawę. Ruszył na północny wschód. Przejechał kilka kilometrów przez lasy i dotarł do miasteczka o nazwie Zegrze. Tuż za nim znajdowało się duże jezioro. Pies, widząc wodę, drgnął. Jakby przeczuwał coś złego. Mężczyzna za kierownicą zatrzymał samochód. Uderzył psa otwartą dłońią w kark. Wiedział, że kaganiec uniemożliwia zwierzęciu obronę. Kortę podkulił ogon i cicho zaskomlał. Potem mężczyzna wyszarpnął stawiającego opór psa z samochodu i pociągnął go w krzaki rosnące nad wodą. Szli dłuższą chwilę. Oprawca i zwierzę,

które z każdą chwilą czuło większy strach. Jakby przeczuwało śmierć. Tak było w istocie. Mężczyzna ciągnął psa na egzekucję. Tym okrutniejszą, że rozłożoną w czasie. W pewnej chwili dotarli do miejsca, w którym z wody wystawały pojedyncze konary drzew. Kat wciągnął ofiarę do jeziora. Szli coraz dalej w wodę, która była niezbyt głęboka. Kiedy mężczyzna zatrzymał się przy wystającej gałęzi, był po kolana w wodzie. Pies prawie zniknął pod nią. Wystawał mu tylko łeb. Patrzył z przerażeniem na to, co robi człowiek. Tamten przywiązał psa do konara mocnym węzłem i wolno wyszedł z wody. Ostatni raz obejrzał się za siebie. Splunął w mętną wodę, nienawistnie patrząc na dygocącego psiaka. Wiedział, że kaganiec uniemożliwia mu uwolnienie z więzów.

– Zdychaj – wycedził przez zaciśnięte usta i ruszył w kierunku samochodu.

* * *

Adam Dera przerwał lekturę książki Werensa. Zerknął na zegarek. Minęła właśnie dziesiąta. Dziamski nie pojawił się na dializie. Spóźnia się, pomyślał podkomisarz i sięgnął ponownie po książkę. Wcześniej jednak po raz kolejny próbował połączyć się z Werensem. Ten uparcie milczał. A zatem ciągle nie wiedział o tym, co wydarzyło się w Krakowie. Groziło mu niebezpieczeństwo, może na-

wet śmierć. Dera jednak, nauczony doświadczeniem czuł, że gra toczy się o dużo większą stawkę, niż się wydaje. Sekta kainitów, o której pisał dziennikarz, skupiała ludzi wpływowych i ustosunkowanych. Kierował nimi człowiek z kręgu najwyższych władz. Cóż z tego, że teraz był starcem? Dwa lata temu nie przeszkodziło mu to wyrządzić wiele zła. Pomagali mu nawet ludzie z policji. Kto wie, jakich ma sprzymierzeńców? Dera dotarł do rozdziału o zamachu z roku 1978 na przywódcę partii. Popuścił wodze wyobraźni. Jak potoczyłyby się losy tego kraju, gdyby wtedy do władzy doszli ludzie z partyjnego betonu? Zwolennicy silnej ręki. Wnet odpowiedział sobie na owo pytanie. Pewnie pozamykaliby opozycjonistów, wprowadzili reżim, jeszcze większą cenzurę, wszechobecną inwigilację. Tu uśmiechnął się gorzko. Przecież trzy lata później, zimą, tak się stało. Nielegalnym dekretem wprowadzili na terenie całego kraju stan wojenny. Zło sięgnęło po pełnię władzy. W więzieniach zamknięto dziesięć tysięcy ludzi, wyłączono telefony, zajęto telewizję i radio, zamknięto granice, szkoły, tysiące ludzi wyrzucono z pracy. Na ulice wyjechały czołgi. Generał Szubert został jednym z członków junty wojskowej. Należał do grupy ponad dwudziestu generałów i pułkowników, którzy wówczas wydawali rozkazy. Zamach z 1978 roku się nie powiódł, ale trzy lata później cel został już osiągnięty. Towarzysza Gierka zamknięto w odosobnieniu, ode-

brano mu władzę. Służby bezpieczeństwa nie wybaczyły mu, że na początku lat siedemdziesiątych osłabił ich wpływ. Zmarł parę lat temu w szpitalu. Odsunięty od władzy, do końca życia utrzymywał się z zagranicznej renty. Jakie to żałosne!

Podkomisarz Adam Dera zerknął na zegarek po raz kolejny. Dochodziła jedenasta, a Dziamski wciąż się nie pojawiał. Może przechwycili go tajniacy przed budynkiem? Właśnie, dlaczego nie zrobili tego wcześniej? Siedzą tu zapewne od kilku dni. Czyżby Dziamski przemykał im przed nosem niezauważony? Policjant uzyskał wnet odpowiedź w recepcji. Okazało się, że Dziamskiego nie było tu od wielu dni. Wściekły Dera nie mógł zrozumieć, dlaczego nie powiedziano mu tego wcześniej?! Odpowiedź była prosta: Ponieważ nie pytał... Głupiec. Pomyślał, że jest starym durniem. Cóż ma zatem robić? Czekać, aż się wreszcie zjawi, czy szukać go gdzie indziej? Wybrał tę pierwszą wersję. Starzec nie ma wyjścia. Musi pojawić się w stacji, by usunąć toksyny z organizmu. Inaczej czeka go najpewniej zapalenie otrzewnej. Tyle zrozumiał z wyводу ładnej recepcjonistki. Znowu zadzwonił do Werensa. Cisza...

* * *

– Rozładował się – powiedział Werens do Leny i zapytał, czy ma ładowarkę.

Owszem, miała. Tyle tylko, że przeznaczoną do zupełnie innego modelu telefonu. Jego ładowarka została w hotelu. Niestety, nie tym olsztyńskim, lecz jeszcze w Gdańsku. Po informacji o tragedii stryja i jego żony nie miał głowy do tak drobnych spraw jak spakowanie ładowarki. Któż by zresztą miał do niego dzwonić? Ci idioci z redakcji? Może weterynarz, u którego zostawił psa? Nie, to wykluczone. Był przekonany, że Kort ma znakomitą opiekę. Ci ludzie z hotelu dla psów byli fantastyczni, widać było, że kochają zwierzęta. Gdyby nawet coś się psu stało, to prędzej pomogą oni niż on. W końcu są specjalistami. Uznał zatem, że może się chwilowo obejść bez telefonu. A przy okazji kupi ładowarkę w którymś z salonów firmowych. Ale pocztę warto sprawdzić. Poprosił zatem Lenę o możliwość skorzystania z internetu.

Po chwili, zupełnie błądy, zakrył twarz dłońmi. W jednym z mejli były zdjęcia z hotelu. On w towarzystwie nieletniej w łóżku. Zdjęcie nie było podpisane. Autor pozostawał nieznany. Więc to szantaż, pomyślał.

Mejl od szefa gazety nie pozostawiał złudzeń. Wie o wszystkim. Zwalnia go w trybie natychmiastowym. Nie interesują go tłumaczenia. Werens nawet go rozumiał. Facet nie ma wyjścia. Te zdjęcia to kompromitacja. Na razie tylko jego. Gdyby jednak wyszły na zewnątrz, gazeta miałaby kłopoty, pojawiłyby się niewygodne pytania. Skandal murowany! Za plecami poczuł oddech Leny.

– Czy coś się stało? – zapytała zatroskana.

– Możesz popatrzeć. Takiego mnie nie znałaś. Ja sam siebie o coś takiego bym nie podejrzewał. Cóż, człowiek ma kilka twarzy. To najwyraźniej jedna z nich.

Lena przechyliła się w kierunku monitora. Czuł zapach jej słodkich perfum. Po powrocie do mieszkania młodej pani doktor jedno po drugim wzięli prysznic. Wyglądali przecież okropnie! Nocna wyprawa do domu stryja i wędrówka po pełnym kurzu i pajęczyn strychu sprawiła, że na ich widok sąsiadka Leny wypuściła z rąk torbę pełną ziemniaków, które rozsypały się po całym korytarzu. Zbierała je ukradkiem, patrząc na upiory. Teraz Lena wyglądała dużo korzystniej, chociaż jej oczy zdradzały niewyspanie.

– Robi wrażenie, nie ma co – powiedziała, ocierając się ciepłym policzkiem o jego ucho. Jej długie włosy przyjemnie łaskotały mu nos. – Rozumiem, że ktoś cię w ten sposób szantażuje? Czy tak?

– A jak myślisz?

– Domyślam się, że lubisz kobiety, ale nie aż tak, by bawić się w tak łajdacki sposób z nastolatkami. Ktoś cię wrabia. To oczywiste.

Werens był zaskoczony jej słowami. Spodziewał się fali krytyki, niechęci, być może wyrzucenia za drzwi. Ale Lena zachowała się zupełnie spokojnie, nie wierzyła w obraz na monitorze. Poruszyło go to. Był gotów opowiedzieć wszystko, cały przebieg

tamtego wieczoru ze szczegółami. Tak też uczynił. Po kwadransie zakończył. Czekał na jej opinię.

– A zatem nie pamiętasz, kiedy zasnąłeś?

– Nie, nie pamiętam.

– Czy nie dziwi cię to, że te dziewczyny podeszły do ciebie w tym klubie? Przysiadły się natychmiast, a potem pojechałeś z tą starszą do hotelu. Jak powiedziałeś, zgodziła się w ciągu minuty.

– No wiesz, jestem miłym facetem... Podobno przystojnym... Takie rzeczy się zdarzają.

– Nie przeceniasz siebie? Jakimś supermenem to ty znowu nie jesteś.

Werens poczuł się urażony, lecz starał się tego nie okazać.

– Podobam się kobietom. Lgną do mnie...

– A ty znowu swoje. Dobrze. Załóżmy, że tak było w istocie. Spójrzmy jednak na to z szerszej perspektywy. Twój stryj i Eliza giną. W tym samym czasie ty masz kłopoty z jakimś nieznanym szantażystą, który zapewne wkrótce się znowu odezwie.

– Czyli uważasz, że te sprawy się ze sobą łączą?

– Myślę, że jesteś kobieciarzem, ale z dziećmi do łóżka nie chodzisz. Nawet po dużej ilości wódki.

– To znaczy, że wierzysz mi, a nie temu, co widzisz na zdjęciu?

– Tak, znaczy to dokładnie tyle. Ktoś cię wrabia i robi to w bardzo sprytny sposób.

Werens był wzruszony. Lena mu ufała. Co za ulga! Nie wierzy w to zdjęcie! Zamyślił się. Musi

dopaść tego szantażystę i zrobi to! Choćby miał poświęcić temu cały rok! Chciał o tym opowiedzieć Lenie, ale gdzieś znikła. Wyszedł zatem przed blok. Zapalił papierosa. Po kwadransie wrócił. Leny ciągle nie było. Znalazł ją śpiącą w sypialni. Na krześle leżał złożony w kostkę wełniany koc. Przykrył nim dziewczynę, której jedynym okryciem był szlafrok. Wrócił do pokoju. Położył się na wąskiej kanapie. Po chwili również zasnął.

* * *

Camargue był zaniepokojony. Sprawy zmierzały w niewłaściwym kierunku. Tak przynajmniej mu się zdawało. Co prawda Werens w towarzystwie młodej historyczki odwiedził dom stryja i widział znaki, ale nie było pewności, czy je właściwie odczytali. Teraz siedzieli w jej mieszkaniu. Camargue zadzwonił do Mistrza, by odzyskać spokój i dowiedzieć się, co robić dalej. Ten wysłuchał jego słów i kazał czekać. W pogotowiu miał mieć sprawny samochód. Camargue nie rozumiał, dlaczego Mistrz tak komplikuje sprawę. Wystarczyło unieszkodliwić Werensa, wsadzić do auta... Po co te wszystkie zabiegi? Ta cała zemsta? Werens już był trupem. Zostały mu dwadzieścia cztery godziny życia. Tej laluni również. Wcześniej będzie jego. Tak dawno nie miał kobiety! Ta wynagrodzi mu z niewązką ten czas! Jest całkiem ładna, a gładką skó-

rę jej ciała obejrzał sobie dokładnie. Nawet nie przypuszczała, jak był blisko! Kiedy wczoraj pojawił się Werens, opuścił cień drzewa i zakradł się do jej mieszkania. Ukryty na balkonie widział, jak wychodzi naga z łazienki, wolno się ubiera... Carmague słyszał ich rozmowę. Dlatego był zaniepokojony. Nic nie rozumieli! Idioci!

* * *

Lena obudziła się pierwsza. Czuła się ciągle brudna, dlatego znów wzięła prysznic. Potem przygotowała kanapki, które były ich pierwszym posiłkiem od wczorajszego wieczora. Werensa postawił na nogi zapach świeżej kawy i apetycznych pomidorów, które zdobiły kanapki. Przetarł powieki i zasiadł do stołu. On również czuł się niekomfortowo. Po posiłku, który zjedli w milczeniu, ruszył do łazienki. Kiedy wrócił, Lena siedziała skupiona nad kartką papieru, z ołówkiem w śnieżnobiałych zębach. Podszedł do niej i zauważył, że kreśli cały czas ten sam kształt, który przybrał formę przestrzennego prostopadłościanu. Już wiedział, co to za przedmiot. Lena z uporem rysowała cegłę, którą znaleźli w szufladzie stolika w salonie stryja.

– Jedyńka, jedyńka... – mrucała pod nosem.
– Co znaczy ta jedyńka?

– A może nie jedyńka, tylko korona? – wtrącił się w jej rozmyślenia.

– Nie pomyślałam o tym! Może faktycznie chodzi o koronę?

– O koronę w sensie metaforycznym. Skąd morderca by wziął koronę?

– No i po co? Jeżeli to oczywiście właściwy trop.

– Koronę i cegłę – dodał Werens.

– Tak. Koronę i czerwoną cegłę...

– Jeżeli to oczywiście właściwy trop – złośliwie powtórzył jej słowa.

– Próbuję to rozgryźć. Zegar przesunięty na inną ścianę. Cegła z koroną. Wilgefortis. Ananiasz. Okrutne mordy.

– I obraz. Nie zapominaj o obrazie Rafaela.

– Który rzekomo ma jutro zostać... no właśnie, co z nim? Morderca nie wyjaśnia, co się stanie z obrazem. Mówi tylko: „zostało tyle to a tyle dni”. Wychodzi na to, że jutro będzie ten dzień.

– A my nie wiemy nic. Mamy też walizkę – Werens wskazał wzrokiem na skórzaną, brudną walizkę, która leżała przy drzwiach wejściowych.

– To może do niej łaskawie zajrzysz!

Werens ruszył po walizkę. Przytaszczył ją i czekał na przyzwolenie Leny, by móc ją położyć na lśniącym stole. Lena zabrała talerze, kubki i sztućce. Zrobiła miejsce dla walizki. Przyniosła też duży śrubokręt. Podała go Werensowi. Ten chwilę mocował się z zatraskami, wreszcie nacisnął mocno na metalowe zapięcie i rozerwał je na nitowanym połącze-

niu. Odłożył śrubokręt i delikatnie uniósł pokrywę. Oboje powoli zajrzeli do wnętrza walizki. Znajdowała się w niej zniszczona wojskowa kurtka, jakaś porcelanowa figurka. Po bliższym przyjrzeniu okazało się, że jest to amorek. Było też zdjęcie chłopca w wojskowej kurtce. Najwyraźniej tej samej, którą znaleźli w walizce. Chłopiec stał na tle pięknego pałacu. Zdjęcie było z prawej strony urwane. Jakby to, co znaleźli, było jedynie połową całości. Werens dalej przeglądał zawartość walizki. Pod kurtką leżały związane sznurkiem książki. Otworzył pierwszą z góry i odkrył, że to nie książki, lecz notatniki. Ręczne zapiski w języku niemieckim. Zaczął je wertować. Były to zapiski sprzed pół wieku. Zaczynały się od opisu jakiejś posiadłości, która znajdowała się w okolicach miejscowości o nazwie Radmeritz. Werens słabo znał niemiecki. Obok tekstu były szkice budynków gospodarczych, lasu, rzeki. Potem pojawił się otoczony fosą pałac. Domyślili się, że może to być pałac ze zdjęcia, ale Lena przerwała mu.

– Nie ma czasu. Musimy skupić się na tym, co już wiemy.

Werens zamknął notes. Postanowił wrócić do niego przy najbliższej nadarzającej się okazji. Nagle Lena radośnie krzyknęła:

– Już wiem! To wcale nie było takie trudne!

– Ale co?!

– Korona z cegłą. Jest tylko jedno miejsce, które pasuje do tej zagadki.

- Mów! Natychmiast!
- Opowiem ci po drodze. Zbieramy się!
- Ale dokąd?! Co ty kombinujesz? Wyjaśnij mi, o co chodzi?!
- Wszystko po drodze! Bierz walizkę i ruszamy!
- Dokąd?
- Do Gdańska.

* * *

Dziamski musi już być w ciężkim stanie, pomyślał podkomisarz Dera, siedząc od kilku godzin w stacji dializ. Już drugi tydzień nie oczyszcza organizmu. To może go zabić. Właśnie, dlaczego się uporczywie ukrywa? Boi się nas? Mordercy? Zaraz, zaraz, a może on wcale się nie ukrywa! Przecież takich stacji jest kilka. Skąd wiadomo, że nie poszedł do innej? I szybko odpowiedział sobie na to pytanie – bo by go nie przyjęli. Jest zarejestrowany w tej konkretnej stacji przy tej konkretnej ulicy. Amen. Podkomisarzowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Wyjął z kieszeni telefon i odnalazł poszukiwany numer, nacisnął zielony przycisk:

- Anna? Tu Adam. Jak na urlopie? Pytasz, to ci odpowiadam: Rozchorowałem się. Nie denerwuj się, żartuję! A co tam u was, w komendzie? Czy te ciołki z ABW dalej zanieczyszczają powietrze na korytarzach? Siedzą dalej. Tak myślałem. Aniu, dzwonię w takiej sprawie. Jest pewien facet, który

w przeciwieństwie do mnie rzeczywiście choruje. To ten Dziamski. Wiem, że go szukacie i go znajdziecie. Proszę cię, daj mi dziesięć minut. Rozumiesz? Chcę być dziesięć minut przed wami. Muszę go o coś zapytać. To bardzo ważne! Od tego może zależeć czyjeś życie! Pomożesz? Aniu, w którymś momencie, być może nawet w tym właśnie, kiedy rozmawiamy, facet zgłosi się na pogotowie. Nie ma siły. Wsiadły mu nerki. Musi. No, chyba że umrze... Monitorujecie szpitale, wiem o tym. Zawsze tak robimy. Proszę cię, kiedy staruszek pojawi się w szpitalu, zadzwoń. Zrobisz to? Dziesięć minut, potem jest wasz! Postarasz się? Dziękuję ci, Aniu. Odwdzięczę się. Tak, żony nie zabiorę ze sobą. A jaką kawę lubisz? Gorącą i mocną? No to tym bardziej żona odpada...

* * *

Lena z Pawłem pędzili jej zieloną toyotą yaris na zachód. Jechali drogą krajową numer 51. Werens przypomniał sobie, jak dwa lata temu pokonywał tę trasę, jadąc do Elbląga w sprawie śmierci pewnego prokuratora zamordowanego w ruinach pałacu rodu Dohna. Przypomniał sobie niewielką rzekę Baudę, nad którą znaleziono ciało tego prokuratora przywiązane linką do konaru drzewa. To tutaj mieszkał w pięknej posiadłości jego śmiertelny wróg – starzec Montalto. Jakże wtedy Werens

był naiwny! Wziął psychopatycznego sekciarza za niewinnego, sympatycznego staruszka dożywającego swych dni z dala od ludzi. A potem zwiedził jego dom. Osobliwa to była wizyta. W tym domu miał zginąć. Cudem się uratował. A teraz ponownie jedzie w tamtym kierunku. Co czuje? Strach? Podniecenie? Wzburzenie? Minęli Dobre Miasto, Ornetę, Pasłęk. Wjechali na krajową siódemkę. Minęli Elbląg, nie zatrzymując się. Pędzili na zachód. Po kolejnej godzinie mieli przed sobą tysięcletni Gdańsk.

Jeszcze na parkingu przed domem Leny Werens powtórzył pytanie o cel wizyty nad morzem.

– Musimy myśleć tak jak myśli zabójca – powiedziała Lena.

– Czyli jak?

– Nieszablonowo.

– Co zatem twoim zdaniem wymyślił szalony morderca?

– Korona i cegła. Trzeba na nie patrzeć jak na jeden znak. Tylko jedno miejsce spełnia taki warunek. Czy wiesz, co to jest „korona miasta Gdańska”?

– Nie mam pojęcia.

– To archikatedralna bazylika Mariacka.

– No dobrze, korona niby jest. A co ma do tego cegła?

– To największy ceglany kościół na świecie! Korona miasta Gdańska!

– Żartujesz?

– Ani myślę.

– A jeżeli ta moneta i cegła znalezione w domu stryja znaczą coś innego? Może nie znaczą nic?

– Być może. Tylko czy masz lepszy pomysł? Czy tydzień temu uwierzyłbyś, że Eliza zostanie ukrzyżowana?

– Powiedziałbym, że to makabryczny żart.

– A widzisz. Od soboty wszystko już jest możliwe. Nawet i to, że cegła w szufladzie stolika to trop prowadzący do gdańskiego kościoła. Powtarzam, to może być fałszywy trop, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. Cały czas myślę o Ananiaszu. Jeszcze więcej o Wilgefortis. Intuicja podpowiada mi, że obraz Rafaela jest tylko pretekstem do zupełnie innej sprawy. Czuję to. Nie wiem jeszcze co, ale coś tu nie pasuje.

– A co będzie, kiedy już trafimy do tej bazyliki?

– Nie wiem.

– No to nieźle. Stanowimy całkiem dobrany zespół. Zwolniony z pracy dziennikarz i młoda pani doktor, która pędzi na złamanie karku do największego kościoła świata.

– Dla ścisłości. Największego c e g l a n e g o średniowiecznego kościoła świata. Największy kościół znajduje się w Afryce, to bazylika Matki Boskiej w Jamusukro.

– A gdzie to jest?

– To Wybrzeże Kości Słoniowej.

– Coś sobie przypominam. Z tego, co wiem, niewielu tam jest katolików. Jakieś piętnaście procent?

– Zgadza się. To kraj islamski. Kolejne trzydzieści procent ludzi wyznaje animizm.

– Na czym opiera się ta wiara?

– W wielkim uproszczeniu: duszę mają wszystkie istoty, a także rośliny, minerały, żywioły i zwierzęta. Dusza po śmierci przechodzi do świata rozmaitych duchów i innych dusz. Te duchy wpływają na życie ludzi na ziemi.

– A zawodowi szamani dogadują się z tymi duchami? Załatwiają sprawy?

– To kolejne uproszczenie. Ale można i tak powiedzieć.

– Wracając do tego kościoła giganta. Po co taki kolos w kraju, w którym katolicyzm wyznaje niewielki procent populacji? Z tego, co pamiętam, to Wybrzeże jest byłą kolonią francuską. Raczej biedną niż zamożną...

Lena milczała. Skupiła się na kierowaniu autem. Wjechali na ulice Gdańska.

* * *

Telefon z komendy zadzwonił w chwili, gdy podkomisarz Dera czytał fragment książki Werenasa przybliżający wydarzenia z barczewskiego więzienia, w którym Montalto postanowił zabić pozna-

ne przez dziennikarza kobiety. Tym razem to Werens był obiektem ataku. Stało się to dla Dery jasne w chwili, kiedy znaleziono ciało zamordowanego kustosa z Krakowa. Nie bez powodu zabójca zostawił przy nim kartkę z nazwiskiem dziennikarza. To wyrok. On będzie następny. Tylko jak go ostrzec, skoro jego telefon milczy?

Nie milczała za to Anna Adler – aspirantka z jego komendy. Tak jak prosił – odezwała się do niego. A to znaczyło tylko jedno: Dziamski się odnalazł. Tak też było w istocie.

– Adam, mamy tego twojego starca. Karetka przywiozła go do szpitala wojewódzkiego. Podobno jest z nim bardzo źle. Masz pół godziny. Potem muszę powiadomić Kulisa i tych smutasów z ABW zza ściany.

– Bardzo ci dziękuję!

– Nie ma sprawy! Nie wykręcisz się od tej kawy!

Dera schował książkę Werensa do torby i pojechał na tyły budynku. Dopadł drzwi swojego samochodu. Z alei Wojska Polskiego wjechał na ulicę 1 Maja. Pognał w dół, by przy ratuszu skręcić w lewo, w aleję Piłsudskiego. Łamiąc wszelkie możliwe przepisy, dotarł do skrzyżowania z Kościuszki, odbił w prawo i po jakichś dwustu metrach skręcił w lewo. Pojechał pod górę. Po dwóch minutach znalazł się przed głównym wejściem do szpitala. Samochód porzucił na chodniku i pobiegł po szerokich schodach do szklanych drzwi. Po lewej miał

recepcję. Zapytał o pogotowie. Starszy mężczyzna w mundurze wskazał mu drzwi znajdujące się pod schodami. Podziękował i ruszył w tamtym kierunku. Tam wpadł do kolejnej recepcji. Zapytał o Działskiego. Młoda kobieta sprawdziła w komputerze podane nazwisko. Staruszek został właśnie przewieziony na Oddział Nefrologii. Dera dostrzegł na końcu korytarza szerokie drzwi do windy w stalowym kolorze. Pobiegł w ich kierunku. Pomimo, że winda była przeznaczona wyłącznie dla pacjentów i personelu, nie wahał się ani przez chwilę. Wszedł do obszernego pudła, które po chwili ruszyło w górę. Dera po kilkadziesiąt sekundach znalazł się na piętrze zajmowanym przez Oddział Nefrologii i Hipertensjologii. Korytarz był zupełnie pusty. Policjant otwierał zatem kolejne drzwi do sal. Sceny, które oglądał, nie nastrojały pogodnie. Chorzy ludzie leżeli na białych, metalowych łóżkach z dokręconymi kółkami umożliwiającymi przemieszczanie. Patrzyli na ściany wyłożone białą glazurą, bądź też za okno. Ci, którzy mieli siły, spoglądali na przybysza, który zupełnie nie przypominał znanych im już lekarzy i pielęgniarek. Zerkali zatem na niego z ciekawością, która zaraz ustępowała miejsca obojętności. Odwracali głowy i znowu patrzyli w sufit, w okno lub na skomplikowane urządzenia w kolorach niebieskim i zielonym. Dera z pewnym niepokojem spoglądał na plastikowe baniaki pełne jakiejś jasnej cieczy, me-

try kabli zwisające luźno wokół łóżek. Zastanawiał się, jak będzie wyglądał jego koniec? Czy w podobnym miejscu, w takiej ja ta bezdusznej samotności? Wzdrygnął się na myśl o pobycie w szpitalu. Już lepsza kulka w akcji, pomyślał. Przynajmniej szybko. Bez miesięcy agonii i powolnego konania. Patrząc na ciężko chorych ludzi, zdał sobie sprawę, jak dobrze wyboru dokonał kiedyś, wstępując w szeregi policji. Każdy jego dzień był inny. Tropił, ścigał, węszył. Nie popadał w rutynę. Siedzeniem za biurkiem i przewracaniem papierów zajmowali się inni. Tacy jak Kulis, któremu się zdaje, że jest panem świata. W istocie drży każdego dnia przed zwierzchnikami, płaszczy się i popada w marazm. Może i Derę czeka taki koniec, jak tych tutaj. Ważne, że leżąc zaplątany w te kable, będzie miał co wspominać. Jeżeli oczywiście tutaj trafi, czego bardzo by nie chciał. Wreszcie odnalazł pokój Dziamskiego. Starzec leżał na plecach z twarzą skierowaną w sufit. Ręce miał wyciągnięte wzdłuż ciała, oczy zamknięte. Przykryto go białym prześcieradłem, spod którego wystawały czarne kable połączone z błękitną maszyną przypominającą rozbebeszony bankomat. Inny kabel, również czarny, wystawał mu spomiędzy stóp i łączył się z plastikowym workiem, na dnie którego pływała ciemna ciecz. Dziamski umierał.

– Panie Edwardzie – Dera dotknął jego dłoni. Była zimna i sztywna. Zdawało mu się, że eme-

rytowany urzędnik tajnej kancelarii nie żyje. Ale Dziamski otworzył oczy. Odwrócił powoli głowę w kierunku podkomisarza. Próbował go sobie przypomnieć. Dera chyba to zrozumiał, bo przedstawił się: – Nazywam się Dera. Jestem z policji. To ja przesłuchiwałem pana w niedzielę w sprawie zabójstw przy Fałata.

Dziamski jakby nie rozumiał. Usiłował patrzeć na policjanta, jednak oczy zamykały mu się coraz bardziej, wreszcie powieki całkowicie mu opadły.

– Sprawa Mariusza Werensa... Obraz Rafaela... Przypomina pan sobie? – Dera postanowił, że jeżeli staruszek zaraz mu nie odpowie, zostawi go w spokoju.

To prawdopodobnie ostatnie chwile jego życia. Poczucie przyzwoitości nakazywało oddanie szacunku temu człowiekowi w obliczu śmierci. Ale tamten, słysząc nazwisko Werens otworzył ponownie oczy. Zaczął wolno mówić. Wypowiadanie słów sprawiało mu wyraźną trudność:

– Było nas trzech. W maju... Nie, na początku czerwca czterdziestego piątego znaleźliśmy się w Radomierzycach. Tam był wspaniały pałac... Szubert, ten łotr! To on nas tam zaciągnął. Weszliśmy do oficyny pełnej dokumentów. Tam były jakieś ważne papiery. Ale nie tylko. W drugim budynku Niemcy ukryli dzieła sztuki. Bader... On od razu wiedział, co to za obraz... Nie chciał niczego innego, tylko ten obraz... Ale Szubert, ten drań... Chciał wziąć

wszystko. Papiery, obraz. Bader się nie zgadzał. Pokłócili się o ten obraz. Musiałem im pogrozić karabinem... A na koniec jeszcze ten chłopiec...

– Jaki chłopiec? – Dera zacisnął dłoń na coraz chłodniejszej ręce Dziamskiego.

– Taki malec...

– Jak się nazywał ten chłopiec?

– Kastner. Thomas Kastner.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi, w których stanęła szczupła pielęgniarka. Tuż za nią pojawiły się kanciaste głowy ludzi z ABW. Ruszyli w kierunku Dery i chwycili go pod pachy. Nagle poluzowali uściski. Spojrzeli w stronę łóżka. Edward Dziamski wydał cichy jęk, po którym jego ręce bezwładnie spłynęły z białej pościeli. Starzec skonał.

* * *

Lena z Pawłem znaleźli się przed bazyliką Mariacką.

– Z góry wygląda to jak ogromna korona – powiedziała Lena i wskazała Werensowi dach potężnej budowli. – Siedem wież iglicznych, trzy ceramiczne.

– Korona miasta Gdańska – Werens z uwagą wpatrywał się w budowlę.

– A do tego monumentalna wieża dzwonna z najlepszym tarasem widokowym w tej części kraju. To cudo architektoniczne budowano prawie sto sześćdziesiąt lat.

– Rzeczywiście, duży ten kościół.

– Duży?! Ty chyba kpisz! Ogromny! Można w nim jednorazowo pomieścić dwadzieścia tysięcy ludzi! Kubaturą dorównuje katedrze Notre Dame i wiedeńskiemu kościołowi Świętego Stefana.

– I cały jest wykonany z czerwonej cegły. Tak jak mówiłaś. Czy nie lepiej było zbudować go z kamienia?

– Na wybrzeżu trudno było o kamień. Budowano głównie z cegły. Kamień zastosowano przy bramach. Portale zdobiły piękne reliefy.

– Powiedziałaś bramach? To znaczy, że jest ich kilka?

– Siedem. Każda prowadzi z innej uliczki.

Weszli do bazyliki bramą Pod Wieżą. Właśnie od tej wieży rozpoczęto sześćset lat wcześniej budowę bazyliki. We wnętrzu świątyni ogarnął ich chłód. To za sprawą blisko dwumetrowej grubości murów, które skutecznie zatrzymywały ciepło z zewnątrz. Werens spojrzał do góry. Informacja o tarasie widokowym, z którego rozpościerał się widok na całe miasto, zabrzmiała kusząco.

– Nic z tego – nie ma mowy, abym tam weszła! Raz, że mam lęk wysokości, a dwa, nie mamy czasu na zwiedzanie. Kilkaset lat temu może bym i weszła.

– Karkołomne stwierdzenie.

– Chodziło mi o to, że kiedyś wieża była prawie o połowę niższa.

– To budowano ją po kawałku?
– W mieście był zamek krzyżacki.
– A wieża nie mogła być od niego wyższa. Czy tak?

– Dokładnie.

– Lena, to tylko kilkadziesiąt schodków... Daj się namówić! – Werens nie ustępował.

– Blisko czterysta. Kiedyś było ich tyle, ile dni w roku.

– Żartujesz? A kiedy rok był przestępny?

– Dodawano jeden stopień – odparła błyskawicznie.

– Siedem wież, jak siedem dni tygodnia... Trzysta sześćdziesiąt pięć stopni... Czy ci ludzie nie byli zbyt przywiązani do pewnych rzeczy?

– Jakich rzeczy?

– No wiesz, kiedy dwa lata temu zajmowałem się sprawą Montalto, okazało się, że sekciarze zbierają się w pałacu, w którym wszystko jest nawiązaniem do kalendarza. Trzysta sześćdziesiąt pięć okien, pięćdziesiąt dwa pokoje, dwanaście kominów.

– Takich pałaców jest więcej. Zwiedziłam kiedyś barokowy pałac w środkowej Słowacji, we wsi Antol. Miał cztery wejścia jak cztery pory roku, siedem sklepień jak dni tygodnia, dwanaście kominów czyli miesięcy, pięćdziesiąt dwa pokoje nawiązujące do liczby tygodni w roku, trzysta sześćdziesiąt pięć okien. Pałac w Radomierzycach jest

zbudowany na podobnej zasadzie. To typowa symbolika kalendarza.

Werens jakby już gdzieś słyszał tę nazwę. Tylko gdzie? Nie było czasu na szukanie w pamięci.

Znaleźli się w trójnawowej hali, wysokiej na jakieś trzydzieści metrów. Werens ponownie zadarł głowę, nad nimi, na ośmiobocznych filarach, których musiało być kilkadziesiąt, było gwiaździste, białe sklepienie. Z kolei nawy boczne miały sklepienie kryształowe. Posuwali się w kierunku prezbiterium. Lena patrzyła z uwagą na mijane po bokach kapliczki. Było ich aż trzydzieści jeden. Jedna piękniejsza od drugiej. Tworzyły wieniec wokół wnętrza świątyni. Werensa zaczynał powoli boleć kark, rozcierał go dłonią, cały czas obserwując sklepienie. Ale w pewnej chwili dał za wygraną. Spojrzał pod nogi. Był wstrząśnięty. Szli po posadzce zbudowanej z płyt nagrobnych. Bazylika była bowiem miejscem wiecznego spoczynku gdańskiego patrycjatu. Moźni i zasłużeni leżeli tu od wieków ułożeni warstwami. Pół tysiąca płyt z gotlandzkiego kamienia, a cztery metry pod nimi jeszcze więcej trumien i kości.

* * *

Werens przypomniał sobie rozmowę telefoniczną, którą odbył we wtorkowy wieczór. Poprosił w informacji o numer kancelarii parafialnej stryja.

Po paru minutach zadzwonił do biura z pytaniem o zorganizowanie pogrzebu stryja i jego żony. Wiedział, że prędzej czy później ciała bliskich opuszczą prosekorium przy ulicy Żołnierskiej. Ktoś będzie musiał zorganizować uroczystości pożegnalne. Ojciec, ze względu na stan zdrowia, odpadał. Jasne było, że tylko Paweł może zająć się przygotowaniem uroczystości pogrzebowych. W tej chwili nie myślał o szczegółach. Chciał znać procedury. Miał szczęście, bo pomimo późnej pory telefon odebrał miły ksiądz. Paweł zaczął rozmowę od ogólnej informacji o śmierci krewnych. Duchowny, po słowach pocieszenia i deklaracji wszelkiej pomocy, przeszedł do konkretów.

– Proszę dostarczyć akty zgonu pańskich krewnych. To konieczne dokumenty – powiedział aksamitnym głosem młody wikary.

– To wszystko? – Werens był zaskoczony.

– Może pan również dostarczyć zaświadczenie o przyjętych przed śmiercią sakramentach.

– Nic mi o takowych nie wiadomo. Moi krewni zostali zamordowani.

– Wiele jest na świecie zła. Oby tych, którzy to uczynili, spotkała zasłużona kara! A o spokój twoich krewnych, mój bracie, będę się modlił.

– Dziękuję księdzu. A zatem potrzebne są akty zgonu...

– Tak. Zgodnie z przepisami prawa kanonicznego może pan wybrać inny kościół na pogrzeb, cho-

ciaż z reguły nabożeństwo pogrzebowe powinno być odprawione w parafii zmarłego.

– I ja tak pomyślałem. Stąd mój telefon.

– Dobrze. Pochowamy zmarłych u nas. O których parafian chodzi?

– Zmarli to Mariusz i Eliza Werensowie.

Zapadło długie milczenie.

– Halo?! – rzucił Werens do słuchawki. – Czy ksiądz mnie słyszy? Halo! – powtórzył znacznie głośniej. W tejże chwili połączenie zostało przerwane. Werens ponownie wyszukał numer parafii i zadzwonił. Długo czekał na odebranie połączenia. Wreszcie ksiądz się odezwał. Dziennikarz wy-czuł w jego głosie oschłość, wręcz wrogość.

– Pański krewny nie może mieć pogrzebu kościelnego – rzucił tamten.

– Niby dlaczego? – Werens czuł, jak krew napływa mu do twarzy.

– To byłoby sprzeczne z naszymi prawami.

– Mój stryj przez dziesiątki lat służył Bogu! Był tak jak i pan księdzem!

– Był. Słusznie to pan akcentuje. To apostata! Dopuścił się herezji. Tym samym postawił się poza Kościołem. Żył w grzesznym związku z kobietą.

– Kościelny urzędnik mówił coraz głośniej, z narastającą zapalczywością. – Tak, jawnie i publicznie żył w związku niesakramentalnym! – powtórzył. – Sprawa śmierci jego i tej kobiety też budzi wiele wątpliwości.

– Słucham?! – Werens wykrzyknął do słuchawki.
– Książdz podaje w wątpliwość okoliczności śmierci moich krewnych?! To podłość!

– Samobójcę, który przed zamachem na własne życie się zgorszenie, należy traktować jak jawno-grzesznika!

– Ty bydlaku! – Werens przestał panować nad sobą. – Jakiego samobójcę? To było potworne morderstwo!

Lecz tamten jakby go nie słuchał, bo z wyraźną ironią mówił dalej:

– Owszem, może pan pochować tych ludzi na cmentarzu. Niestety, nie możemy tego zabronić... Każdy ma prawo do pochówku. Ale ceremonii pogrzebowej i kapłana nie będzie. Czy to jasne? Może pan zorganizować pogrzeb świecki...

Werens dalej nie słuchał. Przerwał połączenie. Długo jeszcze stał przy oknie. Patrzył tępo w czerń nocy. Potem skierował wzrok w kierunku szpitala. W jednej z sal prosektorium leżeli najbliżsi mu ludzie. Dobrze, że ta podłość już ich nie dotyczy. Są od niej wolni. Spoczywają w pokoju, którego nikt nie ma prawa im zakłócać. Biada tym, którzy będą próbowali to zrobić!

* * *

– Czy możesz mi powiedzieć, czego szukamy? – zapytał Werens, który nagle zdał sobie sprawę, że

od kilku dobrych minut Lena coś do niego mówi, a on, niczym za szybą, nie słyszy jej słów. Dlatego teraz zadał pytanie tak głośno, że idąca tuż przed nimi starsza pani odwróciła głowę i poprosiła o zachowanie ciszy. Dopiero wówczas Paweł zwrócił uwagę na turystów i wiernych, którzy przemierzali się po wnętrzu świątyni. Ogrom budowli musiał sprawić, że ich dotychczas zbyt nie dostrzegał. Z zachwytem patrzył na ołtarz główny, przed którym na chwilę się zatrzymali.

– Mistrz z Augsburga, tworząc ten ołtarz, inspirował się grafikami Dürera – szepnęła Lena. – Zajęło mu to siedem lat. Wspaniały, prawda?!

– Jakoś nie mogę uwierzyć, że sam to wszystko zbudował.

– To prawda. Tworzył go w warsztacie wraz z czeładnikami, uczniami, pomagali mu też malarze, rzeźbiarze i wielu innych artystów. Ale o nich nie ma najmniejszej wzmianki.

– No to mamy największy znany mi przykład ludzkiej próżności – rzucił złośliwie Werens.

– A pewno parę ówczesnych dolarów za to wziął?

– Dokładnie było to trzynaście tysięcy pięćset pięćdziesiąt grzywien.

– Nic mi to nie mówi.

– Miesięczna pensja księdza sprawującego posługę w kaplicy wynosiła dwie grzywny. Taką kwotę musiałyby odkładać ponad pięćset lat. A grzywna to sto osiemdziesiąt pięć gramów srebra.

– Zaraz, zaraz... – Werens próbował szybko to policzyć. – Pięć przecinek cztery grzywny to kilogram srebra... Chcesz mi powiedzieć, że dostał za ten ołtarz... Dwie i pół tony czystego srebra?!

– Skoro tyle wychodzi... – Lena uśmiechnęła się i biorąc go pod ramię, pociągnęła dalej. – Kiedyś sztuka była w cenie.

Stali przed głównym ołtarzem, który wyglądał, jakby wyrzeźbiono go w złocie. Na tronie siedziała Maria, a po jej bokach Chrystus i Bóg Ojciec. Nad nimi unosiły się anioły trzymające w dłoniach koronę. Koronacji Marii towarzyszyło dwudziestu czterech starców połączonych winnym krzewem. Mistrz Michał stworzył tę scenę, wzorując się na drzeworycie do *Apokalipsy* Dürera. Lena wprowadzała Pawła w świat sprzed wieków. Z dużym talentem opowiadała historie kolejnych figur, obrazów, filarów i umieszczonych na nich epitafiów. Postanowiła, że po przejściu nawy głównej ruszą kolejno do naw bocznych. Obejrzeliby ambonę, równie piękną chrzcielnicę z gotlandzkiego piaskowca, dłużej zatrzymali się przy organach. Werens nigdy nie widział równie pięknego instrumentu. Szczególnie zainteresował się balustradą chóru muzycznego. Przedstawiała ona dzieje starotestamentowego Tobiasza i jego syna. Stary oślepił podczas grzebania zmarłych. Łata całe żył w ciemności. Odzyskał wzrok dopiero wtedy, gdy jego syn dał mu lekarstwo w postaci rybiej żółci.

– Jesteśmy jak ten Tobiasz – powiedział Werens do Leny. – Nic nie widzimy. Krążymy po tym pięknym kościele, pod nami leżą tysiące trupów. Nie my ich pogrzebaliśmy, ale reszta jest taka sama.

– Co masz na myśli?

– Pójdziemy teraz do naw bocznych, obejrzymy wszystkie kaplice i co dalej? Co z tego wynika? Nic nie wiemy. Jesteśmy jak ślepcy.

– A czy masz lepszy pomysł?

Werens milczał.

– Widzę, że nie bardzo. Więc ruszajmy. Idziemy pod wieżę. Zaczniemy od kaplicy świętego Rajnolda.

* * *

Podkomisarz Dera miał problem. Dziamski niewiele powiedział przed śmiercią. Jedyne, co udało mu się od niego wyciągnąć, to nazwisko dziecka – Thomas Kastner. Dera natychmiast zadzwonił do komendy. Kolejny raz połączył się z Anną. Tym razem poprosił o ustalenie, czy w ich ewidencji nie ma kogoś o tym nazwisku. Teraz to musiał być starszy człowiek. Mógł mieć sześćdziesiąt kilka lat. Anna obiecała pomoc. Ale podobnie jak i wcześniej, niebezinteresownie. Do kawy miało być ciastko. W dodatku mieli je skosztować u niej w mieszkaniu. Dera czuł, że to może oznaczać kłopoty. Wiedział, że podoba się tej ładnej, sa-

motnej kobiecie. Co zrobi, jeżeli sytuacja wymknie się spod kontroli? Jak spojrzy w oczy żonie? Nie ma co. Stąpa po kruchym lodzie. Jak nic wyleci z policji za nielegalnie prowadzone śledztwo, może też wylecieć z domu.

Tylko kawa i ciastko, obiecał sobie w duchu. Sprawa śmierci pary przy Fałata zaszła za daleko. Kim był ten mały Kastner? I co ci trzej robili w tym pałacu. Jak mu tam? Radomierzyce. Dera nie miał czasu na szukanie kogoś, kto pobawi się w przewodnika po historii i łaskawie przybliży mu dzieje pałacu, który nie wiadomo, czy do tej pory stoi, zważywszy na zniszczenia, jakich dopuszczono się przez ostatnich sześćdziesiąt lat. Podkomisarz pochodził z pruskiego miasteczka, w którym stał piękny zamek. Po wojnie rozebrano go, a materiał przeznaczono na odbudowę stolicy.

By to szlag! – zaklął po cichu. Potem wyjął z kieszeni telefon i odnalazł pewien numer.

* * *

Lena z Pawłem minęli *Sąd Ostateczny* Hansa Memlinga, którego dziewiętnastowieczną kopię umieszczono w kaplicy świętego Rajnolda. Werens był autentycznie poruszony. Z wyczuwalnym niepokojem patrzył na Chrystusa w czerwonej szacie, przybitego, by sądzić ludzkość. Otoczony dwunastoma apostołami, sprawuje wła-

dzę nad kosmosem. Na Polu Zmartwychwstania stoi święty Michał Archanioł w zbroi. W dłoniach trzyma krzyż i wagę. Zbawieni idą na prawo, po schodach z kryształów wchodzą do nieba. Adam z Ewą, Abel i Set, kolejne pary to dwaj mężczyźni i dwie kobiety. Za nimi szatan próbuje wyrwać z szeregu mężczyznę. Ratuje go anioł. W ostatniej parze idzie murzyn z człowiekiem o semickich rysach twarzy. Lena objaśniła scenę Werensowi. Zrozumiał, że każdy może dostąpić zbawienia. Czy on też? Nie liczył na to. Bliżej mu było do postaci przedstawionych po lewej stronie. Do potępionych wchodzących w płomienie, witanych przez księcia piekieł Belzebuba. Ma on adiutanta – małpę z lassem, którym łapie ludzi grzesznych. Spadają na dno nicości. A w górze, podobny do nietoperza, lata sam Lucyfer.

Paweł jak zahipnotyzowany patrzył na dzieło starego mistrza. Pomimo upływu setek lat i jakże zmienionej wizji świata, robiło ono wstrząsające wrażenie. W tejże chwili powróciły wspomnienia. Letni dzień, on z bratem w drewnianej łódce. W ostatniej chwili dołączyła do nich matka. Ubrana w strój kąpielowy, na głowie miała szeroki, słomkowy kapelusz. Cały czas głośno się śmiała, a oni wraz z nią. Wolno płynęli na środek spokojnego jeziora. Z brzegu machał do nich ojciec. Było tak pięknie! Jak na wakacyjnej pocztówce. I wtedy TO się stało. Który z nich pierwszy

wpadł na szatański pomysł, aby rozbując niestabilną Łódź? Pamiętał podniesiony głos matki, żądała, aby się uspokoili. Ale oni jej nie słuchali. Teraz, patrząc na obraz, myślał o karze, jaka na niego czeka. Żyje z piętnem mordercy. Cóż z tego, że policja stwierdziła nieszczęśliwy wypadek. On jeden znał prawdę. Skrywał ją w najgłębszym zakamarku duszy.

Lena pociągnęła go dalej, do nawy północnej. Minęli kolejne kaplice i ołtarze. Tutaj również były płyty nagrobne, pod którymi grzebano ludzi. Dotarli do niezwykłego zegara, kiedy Lena poczuła w kieszeni wibracje. Zerknęła na ekran telefonu. Dzwonił podkomisarz Dera. Wiedziała, że policjant nie dzwoni z byle powodu. Szybkim krokiem ruszyła więc w stronę wyjścia ze świątyni. Starła się wyjść możliwie szybko. Mimo to w tym czasie Dera zadzwonił do niej trzykrotnie. Bazylika miała powierzchnię blisko siedmiu tysięcy metrów kwadratowych.

* * *

– Pani Leno – zaczął Dera, w którego głosie czuło się podenerwowanie – przepraszam, że ponownie zakłócam spokój, ale pewne sprawy zaszyły tak daleko, że konieczne jest natychmiastowe działanie. Liczę na pani fachową pomoc. – Zaległa krótka cisza. Dera czekał na odpowiedź Leny. Czuł się

podle. Już i tak wykazał się brakiem taktu, nachodząc tę młodą kobietę w jej mieszkaniu.

– Proszę mówić – powiedziała spokojnie.

– Co prawda jesteśmy teraz daleko od domu i nie mam ze sobą fachowej literatury...

– Słyszę, że ma pani towarzystwo. Przepraszam po raz kolejny!

– Och, to naprawdę nie kłopot. A mojego towarzysza dobrze pan zna.

– A któż to taki?

– Paweł Werens.

Dera drugi raz w ostatnim czasie zaniemówił. Kiedy odzyskał głos, wykrzyknął do słuchawki:

– Paweł Werens jest z panią?! A ja od tylu godzin bezskutecznie próbuję się z nim skontaktować!

– Ma rozładowany telefon.

– Tak też myślałem. Pani Leno, proszę uważnie mnie wysłuchać. Werens jest w wielkim niebezpieczeństwie! W Krakowie znaleziono ciało emerytowanego kustosa Muzeum Czartoryskich. Ktoś go zamordował. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że mordercą jest ten sam człowiek, który zabił wcześniej stryja Werensa i jego żonę. Wszystko wskazuje też na to, że przyczynił się do śmierci adwokata wynajętego przez niejakiego Szuberta. Bardziej znanego jako Montalto.

– Paweł posłał Montalto za kraty.

– Montalto wyszedł z więzienia, zniknął. Być może wie już pani o tym.

Lena milczała. Czekwała na kolejne informacje.

– Przy zabitym kustoszu znaleziono zdjęcie obrazu Rafaela. Jest też podpis. Ktoś, jeszcze nie wiemy kto, napisał na odwrocie kartki dwa słowa: Paweł Werens.

– Co to oznacza?

– Są dwa wytłumaczenia. Pierwsze to takie, że Paweł Werens ma być kolejną ofiarą. Drugie zaś, równie niebezpieczne, oznacza, że Werens dokonał zabójstwa tego kustosza.

– To niedorzeczność!

– I ja tak myślę, ale zdarzało się, że szaleńcy zostawiali na swoich ofiarach takie osobliwe podpisy.

– Oczywiście. Paweł zwariował, zabił kustosza i podpisał się, żeby nie było wątpliwości. Większej bzdury nie słyszałam!

– A jeżeli to kustosz napisał jego imię przed śmiercią, by mordercy nie uszło to na sucho?

– To już bardziej wiarygodne. Chociaż ciągle głupie. A kiedy doszło do zbrodni?

– W poniedziałek.

– Tak się składa, że Werens w poniedziałek był w jednym z gdańskich hoteli. Proszę nie pytać, skąd to wiem. – Lena przypomniała sobie opowieść o przygodzie Werensa z nieletnią. Ciągle była wzburzona na myśl o tym, że ktoś chce zniszczyć tego i tak bardzo już doświadczonego przez los człowieka. – To nie psychopata, tylko nieszczęśliwy mężczyzna, który stracił bliskich.

– Wiemy o tym oboje, ale policja jest innego zdania. Mam informację, że go szukają.

– Po co?!

– Żeby to wszystko wyjaśnić.

– I zrobić go, dać żer dziennikarzom. Prawda?

– Nie wykluczam tego. Pani Leno, proszę posłuchać. Lepiej dla niego, żeby to była policja niż ludzie Montalto. Jestem przekonany, że chcą go zabić. Uważam, że to zemsta za wydarzenia sprzed dwóch lat. Stary generał to bardzo niebezpieczny człowiek. Właśnie, dzwonię do pani, by coś ustalić.

– Niech pan pyta.

– Radomierzyce. Tamtejszy pałac. Co pani wie na jego temat?

Lena dłuższą chwilę milczała. Zbierała myśli. Wreszcie powiedziała:

– Radomierzyce leżą przy granicy z Niemcami. Tamtejszy barokowy pałac jest jednym z najpiękniejszych na Dolnym Śląsku. Wybudowano go na wyspie. Nazywa się Joachimstein, od nazwiska fundatora – Joachima Zieglera. Autorami projektu byli najlepsi ówczesni drezdeńscy architekci, Karcher i Poppelmann, ten sam, który zaprojektował drezdeński Zwinger. A Zwinger był w owym czasie najwspanialszą rezydencją Europy. Niezwykłość tego miejsca polega na tym, że na wyspie utworzono dosyć osobliwą fundację, przypominającą nieco klasztor. Dlatego założenie jest oddzielone od otoczenia kanałem i murem. Do pałacu można wje-

chać tylko przez dwa kamienne mosty przerzucone przez rzekę i ów kanał. Do tego zbudowano wysoki mur... Po co to wszystko? Stary kawaler Ziegler postanowił, że w pałacu zamieszka dwanaście szlachetnie urodzonych panien wyznania ewangelickiego, przeorysza, no i oczywiście on. Liczba mieszkających kobiet miała być stała, przy czym nie mogły one mieć więcej niż trzydzieści pięć lat. Potem opuszczały pałac. W ich miejsce pojawiały się nowe. Kobiety mogły wyjechać z pałacu również w sytuacji, gdyby miały wyjść za mąż.

– Już mi się podoba. Dwanaście młodych kobiet i jeden samiec! – powiedział Dera i ugryzł się w język.

– Fundacja zatrudniała kilkadziesiąt osób do obsługi szlachcianek – kontynuowała Lena, udając, że nie słyszy ostatnich słów policjanta. – Do pałacu przybywało wielu możnych i sławnych ludzi. Królowie, cesarze, artyści. Obecność młodych kobiet działała niczym lep. Dochodziło do schadzek w pobliskim parku. Ponoć po tych schadzkach znajdowano w parku niewielkie amorki... Ale to już raczej część romantycznej legendy. Fundacja Zieglera działała do czterdziestego roku. Wtedy to wkroczyło do pałacu gestapo.

– Co się stało z kobietami?

– Przesiedlono je do innych budynków. Pałac stał się potężnym magazynem, w którym gromadzono tajne archiwa.

– Co to były za archiwa?

– Z całej Europy zwożono zagrabione skarby. Były tam również wielkiej wagi dokumenty.

– Jakie dokumenty?

– Takie, za które można było ponieść śmierć. Po wojnie w pałacu pojawiali się chętni do przejęcia pozostawionych tam przez Niemców archiwów. Wielu z nich zginęło.

– Co się stało z tymi archiwami?

– Stalin kazał je przewieźć do Związku Sowieckiego. Na wschód jechały całe kolumny ciężarówek. Wywieziono dzieła sztuki i tajne dokumenty. Pałac oddano wojsku, po nim przyszli chłopci z państwowego gospodarstwa. Tam, gdzie spacerowali królowie, pasły się krowy. Pałac popadł w ruinę.

– To straszne! – wykrzyknął do słuchawki.

Dera był poruszony. Chciał zadawać kolejne pytania, ale było ich tak wiele, że uznał, iż nadużyje cierpliwości Leny. Postanowił samodzielnie przyrzec się historii pałacu, ze szczególnym naciskiem na lato czterdziestego piątego roku. Dziamski powiedział, że był w pałacu razem z Szubertem i Baderem. Czego tam szukali? Co znaleźli? Obraz Rafaela? Tak, to by się zgadzało. Zaginął pod koniec wojny. Mógł trafić do pałacu. Dziamski zeznał również, że obraz wziął Bader. Co z nim zrobił? Pewnie sprzedał. Tylko komu? Skąd Szubert wiedział, że obraz za kilka dni zostanie zniszczony? Czyżby to on kupił go od Badera? Może odebrał mu go siłą?

Podkomisarz pomyślał teraz o archiwach. Co tak naprawdę zawierały? W czyich rękach jest teraz pałac? A może to już kompletna ruina, jak to czasem się zdarza? No i dziecko, które znaleźli w oficynie. Jak mu tam? Kastner. Thomas Kastner. Podziękował zatem pani doktor, kolejny raz przy tym prosząc, aby ostrzegła Werensa. A swoją drogą, co oni razem robią w Gdańsku? Nie sądził, aby Werensowi były teraz w głowie randki. Zbyt wiele złego spotkało go w ostatnim czasie.

Podkomisarz Dera ruszył do biblioteki. Czasu było coraz mniej, a pytań jakby jeszcze więcej.

* * *

Lena z Pawłem stali pod wspnianiałym zegarem astronomicznym, który znajdował się w nawie północnej, ściślej – na zachodniej ścianie zakrystii. Werens był zachwycony. Nigdy w życiu nie widział takiego zegara. Był gigantyczny. Miał czternaście metrów wysokości i składał się z trzech kondygnacji. Lena postanowiła, że poczeka z przekazaniem Werensowi wieści od Dery. Może dlatego, że i ona chciała przez chwilę sycić wzrok tym cudem myśli ludzkiej. Jeszcze zdąży przekazać złą nowinę. Podążyła wzrokiem za spojrzeniem Pawła.

– W tysiąc czterysta siedemdziesiątym roku zakończono budowę tego zegara – zaczęła opowieść.
– Toruński zegarmistrz Hans Düringer wraz z sy-

nem przez siedem lat tworzył ten wspaniały mechanizm.

– Co oznaczają te skomplikowane tarcze? Dlaczego są dwie?

– Zegar składa się z trzech części. Ta na samej górze, na którą teraz patrzysz, to *Teatr Figur*. Na szczycie Adam z Ewą stoją pod drzewem wiadomości dobrego i złego. Wąż z głową kobiety wiję się między nimi.

– Ale to jeszcze nie jest zegar?

– Oczywiście, że zegar. Adam z Ewą wydzwaniłi godziny i kwadranse, uderzając w dzwon.

– A ta tarcza pod nimi?

– To *Planetarium*. Tarcza zegara ma porządek dwunastogodzinny. Co ciekawe, południe jest u góry, a północ u dołu. Kolejny krąg, licząc do wewnątrz, stanowią znaki zodiaku. Jeszcze bliżej środka są tarcze do ukazywania faz Księżyca.

– A ta czarna kula? Co to takiego?

– Księżyc.

– Czarny Księżyc?

– Ciekawe, prawda? Przez setki lat astrologowie poszukiwali Lilith.

– A cóż to takiego?

– To tajemniczy obiekt, który bywa nazywany Czarnym Księżycem. Kojarzono go ze złymi mocami, niedobrą energią, a także diabelską siłą. Miała to być niewidzialna dla oka ludzkiego planeta o destrukcyjnym wpływie na ludzkie życie. Czarny

Księżyc to demoniczny aspekt naszej duszy, grzeszna natura człowieka. Odpowiada za nasze złe cechy, skłonność do podstępów i manipulacji.

– A co na to nauka?

– Uważa się, że Lilith to drugi pusty ogniskowy punkt orbity Księżyca.

– Słabo uważałem na lekcjach geografii, teraz żałuję. Co jest na samym dole, na tym najniższym poziomie?

– To jest *Kalendarium*. Każdy z kręgów oblicza co innego. Pierwszy to dni tygodnia. Drugi krąg to daty w systemie rzymskim. Trzeci jest skróconym kalendarzem z wykazem świętych, spisany łacińskim heksametrem. Kolejne kręgi opisują daty nowiu, dni znaków zodiaku, pełniejszy kalendarz świętych, wskazówki dotyczące pierwszeństwa dni liturgicznych. Krąg wewnętrzny jest najbardziej skomplikowany. Są to tak zwane litery znaków miesiąca synodycznego.

– Leno, przepraszam, ale chyba niewiele z tego rozumiem. Bardziej interesują mnie te cztery postacie.

– Które?

– Te figury po bokach skrzyni.

– One też symbolizują upływ czasu.

Teraz Werens uważniej przyjrzał się figurom. W przeciwieństwie do bardzo skomplikowanych tarcz, tu sprawa była prosta. Chłopiec w koronie z kijem w ręku wskazuje datę na tarczy, nad nim

widoczny jest młody trębacz. Werens spojrział na prawo. Drgnął. U dołu dostrzegł starca z klepsydrą, nad nim postać, którą skądś już znał. Próbował sobie przypomnieć, gdzie się z nią zetknął? Nic nie przychodziło mu do głowy. Jednakże widok szczerze go poruszył. Poczuł coś w rodzaju lęku. Spojrzał uważniej. Nad staruszkiem była postać trębacza z wieńcem z jesiennych kwiatów na głowie. Skąd ją zna? Werens odszedł od zegara na odległość kilku metrów. Chciał ogarnąć całość potężnego mechanizmu, który sięgał do połowy trzydziestometrowego sklepienia. Miał wysokość cztero-kondygnacyjnego bloku mieszkalnego! Co tu jest grane? Zegar... Czy to nie u stryja znaleźli przesunięty zegar? Czyżby intuicja Leny była niezawodna? Wyprawa do Gdańska, którą uznał za szaloną, miała sens? Jak zauważyła Lena, nic, co wydarzyło się po piątkowej nocy, nie jest normalne. Trzeba myśleć jak szaleni, który uśmiercił troje ludzi. Werens sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej monetę, którą znaleźli w domu stryja. Zabrał ją, sam nie wiedząc, po co. Teraz patrzył na błyszczący metal. Po raz któryś z rzędu rzucił okiem na figurę trębacza. W następnej chwili doznał olśnienia.

– Leno! Już wiem! – wrzasnął, czym zwrócił na siebie uwagę ludzi oglądających zegar Düringera. – Ta postać trębacza... Opisał ją Dera, dzwoniąc do mnie.

– O czym ty mówisz?

– O zabitym adwokacie! Znaleziono go z wieńcem na głowie, z trąbką okręconą wokół dłoni...

– To niemożliwe!

– A jednak. Trafiliśmy, Leno. Miałaś rację! Ten kościół. Wszystko pasuje! Cegła z monetą. Korona miasta Gdańska. Przesunięty zegar w domu stryja. Miał zwrócić naszą uwagę. I ten mężczyzna, adwokat Szuberta.

Lena zdawała się nie podzielać entuzjazmu Pawła. Patrzyła na niego z niepokojem. Poczekała, aż jego entuzjazm nieco opadnie. Wtedy powiedziała:

– Ale co z tego wynika?

– Jak to?

– Powtarzam: Co z tego wynika? Wiesz?

– No, nie bardzo...

– A ja wiem. I zaraz ci powiem.

Werens w napięciu czekał na jej słowa.

– Wynika z tego, że morderca nami manipuluje. Rozumiesz? Bawi się nami. Chce, żebyśmy szli tam, gdzie on zaplanował. I tylko tam. Nie wiemy, gdzie on teraz jest. Za to on wie to o nas doskonale. Prowadzi nas w sobie tylko wiadomym kierunku. I nie sądzę, żeby to oznaczało dla nas coś dobrego.

Patrzył na nią z niedowierzaniem. Prawdę mówiąc, liczył na coś zupełnie innego. Tylko na co? Że niczym czarodziejka, znawczyni cudów i tajemnic powie: Pawle, oto rozwiązanie. Morderca sie-

dzi za filarem numer dziesięć, pod pachą ma obraz Rafaela. Czekaj, aż go dopadniemy. Wtedy zdradzi nam wszystkie sekrety. Wskaże pomocników, bo zapewne ich ma. A oni wrócą do domu jako zwycięzcy, wielcy wygrani. Kłapa! Nastąpiła wielka kłapa! Wycofuję się. To sprawa dla policji. Wybacz, stryju, zawiodłem. Nie potrafię dopaść twoich morderców. Nie patrząc na dziewczynę, ruszył w kierunku nawy głównej. Zamierzał wyjść ze świątyni.

* * *

Podkomisarz Dera od kilku godzin siedział w klimatyzowanej czytelni prasy biblioteki wojewódzkiej. Przed oczyma miał monitor komputera. Szukał informacji o radomierzycy pałacu. Szczególnie interesował go okres powojenny. Po przebrnięciu przez dziesiątki fotografii, opisów topograficznych, architektonicznych, wspomnień ludzi zamieszkujących okolicę Radomierzyc trafił na nazwisko, którego się zupełnie nie spodziewał. Był to Rosjanin. Anatol Prokopienko zajmował się archiwami. Sprawował funkcję wiceprzewodniczącego Komitetu Archiwów Rosji. W latach dziewięćdziesiątych opublikowano jego wspomnienia. Fragmenty tych zapisków dotyczyły pałacu w Radomierzycach. Dera z coraz większym zaciekawieniem czytał kolejne dokumenty. W pałacowych oficynach w ściany wmurowano potężne sejfy, a pomieszczenia wzmoc-

niono stalowymi płytami. Za pancernymi drzwiami umieszczono tajne archiwum. Policjant znalazł kolejny dokument. Informował on o działalności grupy VI departamentu RSHA, czyli Głównego Departamentu Bezpieczeństwa Rzeszy, którym kierował Walter Schellenberg. To, co zebrali ludzie Schellenberga w pałacowych oficynach, mogło przyprawić o zawrót głowy. Od początku wojny Niemcy zbierali dokumenty o mieszkańcach podbitych krajów. W 1944 roku postanowili w tajemnicy zwieźć je do pałacu. Były tam archiwa wywiadów, listy konfidentów, tajnych współpracowników, plany działań operacyjnych, wreszcie dzieła sztuki. Gdzie to wszystko się podziało, zastanawiał się Dera? Odpowiedzi udzielił mu ten sam Prokopienko, a raczej jego wspomnienia. W lipcu 1945 roku akta z Radomierzyc wywieziono pociągami na Wschód. Liczby porażały. Trzysta tysięcy grubych teczek! Podniekcytowany Dera drążył dalej. Natrafił na opis tajnej akcji, którą w czerwcu 1945 roku przeprowadził pułkownik Wojska Polskiego. Dera poblądł. Przecież ten pułkownik potem został premierem! Czego on szukał w tajemnicy w pałacowych oficynach? Wkrótce zmienił pytanie. Co znalazł pułkownik w czerwcu? Dera zerknął w notatki. Rosjanie wyjechali z pałacu w lipcu... Czyżby pułkownik pojawił się tam przed nimi? A jeśli tak, znaczyłoby to, że mógł pierwszy dotrzeć do tych archiwów! Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by wiedzieć, jaką

władzę dają takie dokumenty. I co są w stanie zrobić ludzie skompromitowani, by je odzyskać. Szanowani po wojnie politycy, przedsiębiorcy, ludzie będący u władzy. Te papiery to prawdziwa puszką Pandory! Teraz Dera zestawiał posiadane informacje z tym, co zdążył mu powiedzieć przed śmiercią Dziamski. Starzec wyznał, że do pałacu przyszedł z Szubertem i Baderem. Nic nie wspominał o pułkowniku. Dera postanowił zatem poszukać ludzi, którzy uczestniczyli w wyprawie przyszłego premiera. Ze śledztwa przeprowadzonego przez jedną z gazet dowiedział się, że w ekspedycji uczestniczył major, który w chwili wybuchu wojny był szefem kontrwywiadu Armii Poznań. Drugi z nich – pułkownik – który donosił gestapo na żołnierzy Armii Krajowej, zajmował potem wysokie stanowisko w Zarządzie Informacji prosowieckiej armii. Dera znalazł też innych uczestników wyprawy. Trzeci prawdopodobnie doskonale orientował się w terenie i służył za przewodnika i tłumacza. Byli też dwaj cywile, którzy zajmowali się dziełami sztuki. Razem grupa liczyła sześć osób. Nie mogli to zatem być uczestnicy wyprawy Dziamskiego. Podkomisarz czytał dalej. Kolejne informacje przyprawiły go o żywsze bicie serca. Nie było już nikogo, kto pamiętałby tamten czas. Powód? Cywile, żołnierze, wszyscy uczestnicy wyprawy nie żyli. W 1992 roku zamordowano premiera. Ktoś wdarł się do jego willi i zabił go wraz z żoną. Oboje byli torturowani. Pięć

miesiący później zabito przewodnika. Ostatni został bestialsko zamordowany pułkownik z Zarządu Informacji, wówczas już będący emerytowanym generałem. Policja ustaliła, że poddano go wielogodzinnym torturom. Dera był wstrząśnięty. Co tu się, do cholery, dzieje?

Wyszedł na zewnątrz, by zapalić papierosa.

* * *

– Szaleństwo! Jedno wielkie szaleństwo! – powtarzał na okrągło Werens, zmierzając do głównego wyjścia ze świątyni.

Idąca za nim Lena próbowała go zatrzymać. Wreszcie się jej to udało. Patrzyli na siebie w milczeniu. On z miną wyrażającą złość i zniechęcenie. Ona mimo wszystko pogodna i z delikatnym uśmiechem na ustach. Chwyliła go za dłoń, która była zimna i szorstka.

– Pawle, tak nie można. Rozumiem, że jesteś wzburzony, ale ta sytuacja nie należy do normalnych. Musimy dalej szukać! Obejdziemy jeszcze raz tę świątynię. Może wtedy uda nam się natrafić na jakąś precyzyjną wskazówkę. Ona tu musi być!

– Tak. Pewnie jest – w słowach Werensa czuć było ironię – ukryta w jednym z tych trzydziestu siedmiu okien wielkości parkingu każde. Albo za którymś z dwudziestu siedmiu filarów. Może w po-

sadzce? To tylko pięćset dwanaście płyt, o ile dobrze zapamiętałem.

– Wiem, co chcesz powiedzieć.

– Chcę powiedzieć, że to nie ma najmniejszego – Werens ostatni raz spojrział do góry – sensu... Zaraz, zaraz... Czyżby to jednak miało sens?! – Wy-rwał dłoń z jej uścisku i ruszył na środek nawy. Prawie biegł. Cały czas miał zadartą głowę.

– Co się stało?

– Lena! – Ludzie przystawali, patrzyli na niego z dezaprobatą. – Spójrz do góry! To przecież jasne! Pięć lat byśmy tego szukali, a znak przecież musi być prosty! Rozumiesz? Prosty! Morderca chciał, żebyśmy go znaleźli. Gdyby zaplanował, że go ukryje, jak jacyś cholerni templariusze czy inni miłośnicy tajemnic, to nigdy byśmy go w tym kolosie nie znaleźli!

Lena patrzyła do góry. Początkowo nic nie rozumiała, ale w pewnej chwili i ona zorientowała się, o co Werensowi chodzi.

Cały potężny kościół był zbudowany w kształcie krzyża.

– Krzyż. Rozumiesz, krzyż! – darł się Werens. – Jak u stryja w ogrodzie. Jak...

– Wilgefortis?

– Tak. Jak Wilgefortis!

– Bez jednego buta?

– Chodź! – podbiegła do niego i pociągnęła do jednego z wyjść. – Poszukamy naszego bucika. Chyba wiem, gdzie on jest!

Ruszyli przez główną nawę i dotarli do bramy prowadzącej do bazyliki.

– W tym kościele takich bram jest siedem: Wysoka, Radnych, Pod Wieżą, Kaletnicza, Na Groble, Mariacka.

– A jak nazywa się ta, pod którą stoimy?

– Nie uwierzysz. Szewska!

– Oto i nasz bucik! – Werens pierwszy raz tego dnia się uśmiechnął.

Piękna brama Szewska, jak wszystko w tej świątyni, była ogromna. Otoczono ją ozdobnym portalem, a nad drzwiami umieszczono półkolisty tympanon. Rzeźba przedstawiała scenę zaślęnięcia Marii w towarzystwie apostołów.

– Tu gdzieś musi być napis... – Lena zbliżyła się do drewnianych drzwi i szukała sobie tylko wiadomego komunikatu. – Gdzie on się podział? Zniknął?!

– Czy możesz mi powiedzieć, czego szukasz? – zapytał Werens.

– Ta brama ma pięćset lat! Kiedyś znajdował się tu napis. Często tak robiono. Były to cytaty z Pisma Świętego, modlitwy.

– No to gdzie się podział nasz napis?

– Właśnie. Co się z nim stało?

– To nie jest oryginalny tympanon. Tamten przeniesiono do Muzeum Narodowego. Widoczny nad wejściem ma raptem osiemdziesiąt lat.

Od dłuższego czasu ich rozmowie przysłuchiwał się starszy mężczyzna. Najwyraźniej był mieszkań-

cem miasta i doskonale znał historię budowli. Jak się okazało, człowiek ten oprowadzał wycieczki po Głównym Mieście. Teraz czekał na kolejną, która miała wrócić za dwie godziny. Turyści pobiegli kupować bursztyn i starocie, a on odpoczywał przed dalszą pracą. Przedstawił się Lenie i Werensowi, których poszukiwania go zaintrygowały. Wykraczały poza typowe zainteresowania turystów.

– W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym bazylika została bardzo zniszczona. Spłonęły wszystkie dachy, okna i bramy.

– Wszystkie?

– Zachowały się dwie.

– Które?

– Od strony ulicy Mariackiej i Szewska.

– Czyli ta nasza?

– Niby tak. Ale ta, na którą patrzycie, to nie oryginalna brama.

– A gdzie jest oryginalna?

– Przeniesiono ją do kościoła Świętej Trójcy.

Teraz pytanie zadał Werens:

– A kościół Świętej Trójcy przy jakiej jest ulicy?

Przewodnik z Leną patrzyli na niego z rozbawieniem. Prawie równocześnie odpowiedzieli:

– Przy ulicy Świętej Trójcy!

Werens nie rozumiał, dlaczego zaczęli się śmiać. W następnej chwili Lena pociągnęła go między wąskie uliczki. Wbiegli na Kramarską, po prawej mi-

nęli ratusz, a po lewej mignęła im fontanna Neptuna. Przecięli Długi Targ i znaleźli się na Ławniczej. Potem była Słodowników, szerokie Podwale Przedmiejskie. Znaleźli się na Starym Przedmieściu. Przy kościele Świętych Piotra i Pawła skręcili w prawo. W oddali widać już było wieżę kościoła Świętej Trójcy. Jeszcze tylko ulica Kocurki, budynek Muzeum Narodowego...

Tak jak powiedział przewodnik, wiekowe drzwi znajdowały się w jednej ze ścian pięknego gotyckiego kościoła, który od roku 1945 należał do zakonu franciszkanów. Bezpośrednio na drewnianych drzwiach umieszczono napis w języku niemieckim, a raczej w późnośredniowiecznej niemczyźnie, jak go określiła Lena. Dłuższą chwilę wpatrywała się w gotyckie litery, by wreszcie złożyć je w zdanie:

„Boże, daj życie wieczne tym, którzy swą jałmużnę dają Kościołowi”.

A poniżej kolejne zdanie:

„W roku tysiąc pięćset i jedenastym wykonano tę bramę”.

– Co to może znaczyć? – zapytał Werens.

– Dokładnie to, co znaczy. Jest data i prośba do Boga o wstawiennictwo dla fundatorów tych drzwi.

– Nic więcej? – Był wyraźnie zawiedziony.

– Coś mi tu nie pasuje. Nasz szewski bucik musi zawierać jakiś kośl. Jakąś informację.

– A czy to nie jest tak, że bucikiem jest brama, a nie drzwi?

Lena zastanawiała się nad słowami Werensa. Myślała o bramie Szewskiej. Werens miał rację. Komunikat był adresowany do nich. To tylko przypadek, że spotkali tego przewodnika. Jednym słowem, informacja zawiera się w bramie, a nie w drzwiach, które przeniesiono nie wiadomo kiedy.

– Wracamy! – powiedziała krótko.

Tym razem biegli Rzeźniczką, Zbytki, Pocztową, skręcili w Długi Targ i Kaletniczą, dotarli do bazyliki. Przewodnik ciągle siedział przed świątynią na rozkładanym, przenośnym krzeselku. Na ich widok wstał.

– No i jak, znaleźli państwo drzwi?

Zasapana Lena potwierdziła skinieniem głowy.

– Wspaniale, prawda?!

– Ten portal... – Lena łapała powietrze – czy prócz rzeźby Marii i apostołów nie było tam czegoś jeszcze?

– Konkretnie czego?

– Jakiejś inskrypcji.

– Oczywiście, że była! Tuż pod rzeźbą. To znana sprawa. Napis pochodził z Księgi proroka Ozeasza. Po wojnie nie odtworzono go za sprawą tłumaczenia Wulgaty.

Werens drgnął. Wulgata pojawiła się już kiedyś na jego drodze. Wtedy oznaczała kłopoty. Nie inaczej było i teraz.

– Spór toczył się o znaczenie słów proroka – ciągnął przewodnik. – Według Biblii Tysiąclecia słowa brzmiały następująco:

„Gdzie twa zaraza, o Śmierci, gdzie twa zagłada, Szeolu?”.

– Kto to jest Szeol? – zapytał Werens.

– Szeol to prawdopodobnie grób wszystkich ludzi, otchłań. Nienasycona kraina, która ciągle domaga się nowych zmarłych.

– Ale już w Biblii Wujka...

– A co to za biblia? – Werens ciągle przerywał wywód przewodnika.

– Biblia Jakuba Wujka powstała na zamówienie zakonu jezuitów. Była polskim przekładem autorstwa właśnie Wujka – doktora teologii. To był przekład katolicki, opierał się na Wulgacie świętego Hieronima ze Strydonu. Wujek rozpoczął pracę w roku tysiąc pięćset osiemdziesiątym czwartym. Sześć lat później ukazała się Wulgata Sykstyńska – powiedziała Lena.

– O, a o tej to już sporo wiem – Werens był nieznośny. Ciągle wtrącał coś niestosownego. – To była robota Sykstusa V. To ten facet, który obwołał się natchnionym i po swoim u przerobił Pismo Święte. To mój ulubieniec. Miłośnik drzew morwowych!

Przewodnik był zszokowany. Patrzył z niedowierzaniem na Lenę, która wróciła do przerwane-go wątku:

– Wulgatę Sykstyńską opublikowano w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym roku. Ale latem tegoż

roku Sykstus V zmarł. Natychmiast nakazano jezuitom wykupienie wszystkich egzemplarzy dostępnych na ówczesnym rynku i rozpoczęto prace nad poprawkami. Nowy, zmieniony przekład, znany jako „klementyński”, ukazał się dwa lata później.

– A Jakub Wujek w tym czasie pracował nad swoim przekładem, który i tak trzeba było poprawić. Czy tak? – Werens czekał na wyjaśnienia.

– Wujek zmarł w roku tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym siódmym, dwa lata później ukazała się jego Biblia z licznymi poprawkami.

W tej chwili Werens przeszedł samego siebie i powiedział coś, co przeraziło jego uczonych rozmówców.

– No dobrze. Ja ciągle nie rozumiem, w czym jest problem. Napis był i go nie ma. Jak rozumiem, wykonano go po łacinie. Raz znaczył jedno, a raz drugie. Dlaczego nie przywrócić go w oryginale? To tylko zbitek łacińskich słów...

– Czy ty nas słuchałeś? – Lena prawie krzyczała. – Słowa proroka Ozeasza zostały spisane po hebrajsku. Według Wujka znaczyły zupełnie co innego, niż napisano w Biblii Tysiąclecia.

– A konkretnie to co tam było napisane?

– „Będę śmiercią twoją, o śmierci! Ukąszeniem twojem będę, o piekło!”

Camargue wyciągnął z kieszeni niewielki aparat telefoniczny. Z przejęciem uniósł go do ucha. Po chwili usłyszał głos Mistrza. A zatem postanowione. Gra wchodziła w decydującą fazę. Kątem oka patrzył na troje ludzi stojących od dłuższego czasu przed bramą Szewską. Werens spierał się z towarzyszącą mu kobietą i jakimś starszym mężczyzną, którego Camargue nie znał. Polecenie było jasne. Czas płynął nieubłaganie, jutro o tej porze świat jęknie i ogarnie go trwoga. Nastanie chaos. Wszyscy usłyszą o Bractwie. Morderca poczuł, jak w jego członki wstępują nowe siły. Był gotów wykonać zadanie. Jego ford transit stał na rogu Szewskiej i Świętego Ducha. Toyota kobiety była tuż obok. Teraz musi być czujny i silny. Czekał, aż tych dwoje opuści przykościelny teren. Tak też się stało. Werens z Leną, wyraźnie podekscytowani, szli w jego kierunku. Werens gestykulował, ona była bardziej opanowana. Kiwała głową i ciągle coś mu tłumaczyła. Kiedy byli kilka metrów przed jego samochodem, rozsunał boczne drzwi. Z kieszeni wydobył gaz łzawiący. Czekał. Dwa metry, metr... Zrównali się z nim. Zajęci sobą, nie zwracali uwagi na mężczyznę z zaciśniętymi ustami i szalonymi oczyma. W tej chwili zaatakował. Skierował pojemnik z gazem w twarz dziennikarza, nacisnął. Werens, zupełnie zaskoczony, zakrył dłońmi piekące oczy. Wtedy Camargue chwycił go pod ramię i wepchnął do wnętrza auta. Dziewczyna w pierwszej chwili nie zorientowała się, co się

stało. Zatrzymała się i z otwartymi ustami patrzyła na niezwykłą scenę. Camargue w następnym momencie ciężką pięścią uderzył ją w brzuch. Zgięła się wpół. Chwycił ją za kark i wepchnął obok leżącego na podłodze samochodu Werensa. Zasuwał drzwi i przekręcił klucz w zamku. Obiegł auto i usiadł za kierownicą. Ulica była pełna ludzi. Nikt w tym tłumie nie zwrócił na nich uwagi. Camargue zerknął za siebie. Mężczyzna i kobieta leżeli obezwładnieni na podłodze. Dzieliła ich od niego szyba z metalową kratą. Uchylił ją nieznacznie, z drugiej kieszeni wyciągnął inny pojemnik. Był to fentanyl. Wypuścił go w ich kierunku. Wiedział, że tamci wkrótce zasną. Szybko zasunął szybę. Wolno lawirował uliczkami, jechał cały czas na południe. Wreszcie dotarł na przedmieścia. Miał przed sobą pięćset pięćdziesiąt kilometrów drogi, to jakieś osiem godzin jazdy. Camargue się nie spieszył. Była osiemnasta, mieli zatem jeszcze szesnaście godzin. Po raz kolejny zerknął w kierunku uwięzionych ludzi. Oboje, po początkowym wybuchu agresji, który objawiali szarpaniem klamki i krzykiem, teraz zasypiali. Camargue ze szczególnym zainteresowaniem przyglądał się Lenie. Tam, skąd wrócił, kobiet nie było.

* * *

Podkomisarz Dera krążył wokół budynku biblioteki. Informacje, które znalazł, nie dawały mu spo-

koju. Próbował to sobie uporządkować. Wyprawa do pałacu po archiwa gestapo poruszyła go do żywego. Nikt z ludzi, którzy tam byli, nie przeżył. Nie było świadków. Dziamski i jego wspólnicy mieli wtedy nie więcej jak osiemnaście lat. Dzieci wojny, które przeszły okrutny kurs dojrzewania. Często byli to zdemoralizowani wyróstkowie, którzy włóczyli się po zrujnowanych przez wojsko, wydawało się niczych wsiach i miastach. Grabili i niszczyli, co się tylko dało. Albo jak tamci – kradli. Dera wiedział, że Szubert musiał w pałacu znaleźć materiały, którymi zapewne szantażował ludzi. Karierę zrobił imponującą. Na emeryturę przechodził w stopniu generalskim. Tu przyszła policjantowi do głowy ciekawa myśl. Były premier, pułkownik i inni zginęli torturowani już po tym, jak odeszli z pełnionych stanowisk. Było jasne, że ci, którzy ich zamordowali, czuli się bezkarni. Tak też funkcjonował Szubert. Dopóki był otoczony opieką wojska, miał się dobrze. Właśnie, z czego on się teraz utrzymuje? Z wojskowej emerytury? Mało prawdopodobne. Dera widział jego posiadłość. Bez ogrodnika i gosposi takiego domu z ogrodem nie da się utrzymać. Z oszczędności? Za co wybudował tę willę? Dera wrócił myślami do wizyty Szuberta, Dziamskiego i Badera w pałacu. Przypomniał sobie też o chłopcu. Właśnie, czyżby klucz do wyjaśnienia tej zagadki znajdował się w dłoniach tego dziecka? Dera zerknął na wyświetlacz telefonu, dzwoniła Anna.

- Adam, sprawdziłam tego Kastnera.
- Dawaj! - Dera był podekscytowany.
- Thomas Kastner został w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym oddany do sierocińca we Wrocławiu. Ktoś znalazł samotnego chłopca na ulicach zrujnowanej Nysy.
- Ten ktoś kłamał.
- Co?
- Nieważne. Czy ten dom dziecka istnieje nadal? Czy zachowały się jakieś archiwa?
- A jak myślisz?
- Myślę, że tak.
- I słusznie. Ośrodkiem do roku osiemdziesiątego kierowała ta sama osoba.
- Żyje?
- Żyje. Jest na emeryturze. Nazywa się Beata Harper.
- Czy masz może jej adres?
- Mam numer telefonu...
- Kocham cię!
- A co na to żona?

* * *

Lena leżała na twardej podłodze, która jakoś dziwnie drgała, jakby się przemieszczała. Ból podbrzusza za sprawą fentanylu, który Camargue wpuścił do części bagażowej furgonetki, teraz nagle ustąpił. Lena czuła, jak powoli popada w odrę-

twienie, zasypiała. Obok niej leżał Werens. Ciągłe zakrywał dłońmi oczy, nie wiedziała zatem, w jakim jest stanie. Nie mogło być z nim jednak dobrze. Gaz zapewne poranił mu śluzówki. Podczołgała się do niego, szarpnęła za koszulę. Paweł spał. Lena uważniej rozejrzała się po przyciemnionym pomieszczeniu. Jego ściany wykonane były z wyprofilowanego metalu. Na samym końcu dostrzegła jakiś okrągły przedmiot. W następnej chwili go rozpoznała. To było zapasowe koło. A zatem byli uwięzieni w ciężarówce. No tak, przecież kiedy szli do jej auta, jakiś mężczyzna zaatakował Pawła i wepchnął go do furgonetki. Podobnie postąpił z nią. Czyżby zostali porwani? Dera ich ostrzegał. Dobrze pamiętała jego słowa. Teraz poczuła, jak jej mięśnie się rozluźniają. To dziwne, lecz nie bała się mężczyzny, który ich uprowadził. Lena zrozumiała, że podano im jakąś truciznę. Dlatego odczuwała coraz silniejsze mdłości. Odwróciła głowę od Werensa i zaczęła wymiotować. To było okropne uczucie. Nie panowała nad własnym ciałem. Zwyczajnie było jej wstyd. Co sobie pomyśli Paweł? Auto podskoczyło na jakiejś nierówności i z jej kieszeni wysunął się telefon. Resztkami sił wydobyła go i odszukała numer Dery. Nacisnęła przycisk... Ale zamiast głosu policjanta usłyszała tylko przerywany sygnał. Numer był zajęty... Lena w następnej chwili zasnęła.

* * *

W chwili, kiedy Lena dzwoniła do Dery, ten rozmawiał z emerytowaną dyrektorką domu dziecka.

– Czy mam przyjemność z panią Beatą Harper? – zaczął Dera najuprzejmiej, jak tylko potrafił.

– Tak. A kto mówi? – Głos, który usłyszał, był stary i zmęczony.

– Nazywam się Adam Dera i jestem z policji.

– Boże! A czego może chcieć ode mnie policja? Ja już wszystko powiedziałam, ten Janiaczek już tu nie mieszka! Kasieńka ma spokój.

Dera szybko zorientował się, że kobieta opowiada o jakiejś nieznanym mu sprawie, być może związanej z kłopotliwym sąsiadem. Jakimś damskim bokserem, który maltretował żonę, a starsza pani była w tej sprawie świadkiem.

– Pani Beato, nie dzwonię w tamtej sprawie. Szukam informacji o wydarzeniach sprzed pół wieku.

– Naprawdę? To i dobrze. Kasieńka tyle przeszła. Takie dobre dziecko. I ten bydlak! Niech go ziemia pochłonie!

– Była pani dyrektorką domu dziecka we Wrocławiu zaraz po wojnie. – Dera starał się naprowadzić kobietę na właściwy temat rozmowy. – Czy tak?

– Byłam. To prawda. Przez całe życie zajmowałam się dziećmi. Niektóre to i czasem mnie odwiedzają, kartkę przyślą pocztą, list napiszą.

– To wspaniale. Zapewne była pani znakomitym pedagogiem i wychowawcą. A czy pamięta pani

chłopca przywiezionego latem czterdziestego piątego? Nazywał się Thomas Kastner.

Zaległa długa cisza.

– Proszę sobie przypomnieć! – nalegał Dera.

– Skąd pan zna to nazwisko? – Nagle w głosie kobiety wyczuł podejrzliwość.

– Już pani mówiłem, jestem z policji.

– A jaką ja mam pewność, że mówi pan prawdę?

– Rzeczywiście, może być pani nieufna. Ale ja nie mam czasu na to, by panią teraz odwiedzić i się wylegitymować. Proszę mi wierzyć, jestem policjantem! Pani wychowankowi grozi niebezpieczeństwo!

Ponownie zapanowała denerwująca cisza. Najwyraźniej staruszka podejmowała decyzję. Wreszcie usłyszał jej głos:

– Pamiętam Mariuszka. To był jeden z tych dzieciaków, których po wojnie zwożono ze wszystkich stron. Same sieroty... Pięcio-, sześciolatki z bagażem doświadczeń, którym można by oddzielić niejednego dorosłego. Głodne, bite, torturowane, wykorzystywane... Same musiały nauczyć się, jak przetrwać. Musiały robić niewyobrażalne rzeczy. Mariuszek, wtedy jeszcze Thomas, został przywieziony przez młodego żołnierza. Mam gdzieś zapisane jego nazwisko... Proszę zaczekać...

– Dera zrozumiał, że kobieta poszła czegoś szukać.

– ...Mam. Prowadziłam swoje prywatne zapiski.

Lubię wiedzieć, co się stało z moim wychowankami. Utrzymujemy kontakt listowny...

– Tak, już pani o tym wspomniała – Dera stawał się niecierpliwy.

– O, jest! Thomas Kastner...

– Kto go zostawił?

– Nazywał się Dziamski. Edward Dziamski. Teraz go sobie przypominam całkiem dobrze. Wysoki był, chudy. Z błyszczącymi oczami. Tak na mnie patrzył! Co tu gadać, podobałam się mężczyznom.

– Zapewne dalej tak jest – Dera chciał wiedzieć jeszcze tylko jedną rzecz. Zapytał zatem wprost:

– Kto go adoptował?

– Na pewno jest pan z policji?

– Proszę o nazwisko! Błagam! To sprawa życia lub śmierci!

W następnej chwili wiedział już, że była to sprawa śmierci, w dodatku podwójnej.

– Adoptowała go rodzina o nazwisku Werens.

* * *

Znajdujący się między górami budynek sanktuarium Matki Bożej Królowej Rodzin był widoczny z daleka. Wielka budowla pomalowana została na żółtobiały kolor. A teraz, o zmroku, oświetlono ją setkami lamp. Kordan przeczekał do zmroku w pobliskim lesie. Ciągle jeszcze dochodził do siebie po zakatowaniu dziewczyny. Fizyczny ból dłoni zastą-

pił rozkosz znęcania się nad ofiarą. Dłonie owinięte bandażem co jakiś czas wkładał do kubła z zimną wodą. Nikt go nie zauważył. Przezornie rozłożył na masce samochodu mapę okolicy. W razie kontaktu z miejscową ludnością odegrałby rolę zagubionego turysty. Kapitan nie marnował czasu. Studiował z uwagą plan miejscowości, a szczególnie interesowały go kamienice posadowione vis à vis sanktuarium. Wreszcie około godziny dwudziestej przekręcił kluczyk w stacyjce i wolno ruszył w kierunku kościoła. Ulice były pełne pielgrzymów, co tylko działało na jego korzyść. Był anonimowy. Zajechał za kamienicę usytuowaną przy placu sąsiadującym ze świątynią. Zabrał narzędzia i skierował kroki w kierunku drzwi od strony podwórza. Tak jak przypuszczał były otwarte. Przez nikogo nieniepokojony wszedł na drugie piętro. Odstawił bagaż i nacisnął dzwonek przy drzwiach. Kiedy usłyszał burkliwe: „A kto tam?“, ponowił pukanie. Mężczyzna znowu zapytał o tożsamość niezapowiedzianego gościa. Wówczas Kordan skrył się przy ścianie. Światło na korytarzu zgasło. W następnej chwili stało się to, na co liczył. Ciekawość właściciela mieszkania wzięła górę nad ostrożnością. Uchylił drzwi i wysunął głowę za próg. Ukryty tuż obok Kordan wprawnym chwytem unieruchomił mężczyznę i wepchnął go do środka. Błyskawicznie obrzucił wzrokiem pomieszczenie. W kącie pokoju migał telewizor ustawiony na jakiś in-

formacyjny kanał, na środku stał stół i dwa krzesła. W prawym rogu była dwuosobowa kanapa. Meblościanka zakrywała przeciwległą ścianę. Kordan, ciągle trzymając przed sobą przerażonego człowieka, zapytał go o współlokatorów. Tamten z lękiem pokręcił przecząco głową, co znaczyło, że mieszka sam. Był tak przerażony, że nawet nie próbował się wyswobodzić. Zabójca nie chciał robić hałasu. Jednym szybkim ruchem skręcił mu kark i delikatnie położył na dywanie. Człowiek nie żył. Kordan wrócił do drzwi i po chwili nasłuchiwania zabrał z korytarza swój sprzęt. Zgasił światło i podszedł do uchylonego okna. Doskonale, pomyślał. Miejsce było idealne. Okna wychodziły wprost na potężne schody prowadzące do sanktuarium. Nocna iluminacja tylko podkreślała ich ogrom. Zabójca zasunął zasłony i zapalił światło. Okna nie zamykał. Drażnił go zaduch panujący w pokoju. Był to zapach naftaliny, kawy, a teraz doszedł do tego zapach śmierci. Kordan rozłożył na stole ekwipunek. Skupił uwagę na dowodzie tożsamości. Nazywał się teraz Emil Zaremba. Sięgnął po portfel, który leżał tuż obok futerału na okulary zamordowanego. Wśród przegródek odnalazł dowód osobisty gospodarza na nazwisko Emil Zaremba. Porównał dokumenty. Różniły się wyłącznie zdjęciami. Bracia byli niezrównani. Plan, który przygotowali, sprawdzał się w każdym szczególe. Kordan ruszył do niewielkiej kuchni. To z niej dochodził zapach

kawy. Odkrył, że leżący na dywanie człowiek nie zdążył jej wypić. Wypił zatem łyk, pokręcił z niezadowolaniem głową. Odnalazł cukier, wsypał jedną łyżeczkę. Zamieszał. Uśmiechnął się do siebie. Teraz była całkiem dobra. Zajrzał do lodówki. Z zamrażalnika wydobyl pojemnik z kostkami lodu. Wrzucił je do garnka, dolał wody z kranu i zanurzył w naczyniu dłoń, potem drugą. Poczul wielką ulgę. Po dziesięciu minutach ruszył do niewielkiej sypialni. Znalazł w niej pracujący laptop. Najwyraźniej Zaremba prowadził z kimś korespondencję. Outlook był otwarty. Zabójca przejrzał korespondencję ofiary. Były to głównie krótkie listy do brata, w których umawiali się na spotkanie w Monachium. Najwyraźniej Zaremba szykował się do przeprowadzki. Ustalał z bratem szczegóły wynajmu mieszkania, pracy w firmie, którą kierował jakiś Szwajcar. Kordan wykrzywił twarz, która teraz wyrażała udawane współczucie. Przez cały czas pił kawę. Wreszcie zakończył przegląd korespondencji zamordowanego. Pora była zająć się trupem, który ciągle leżał na dywanie. W sypialni była rozsuwana szafa z lustrzanymi drzwiami. Zbrodniarz zaciągnął do niej ofiarę i umieścił pomiędzy luźno zwisającymi z wieszaków workami ochronnymi na odzież. Zasunął drzwi. Kordan nie czuł zmęczenia ani senności. Perspektywa finału zadania dodawała wigoru. Zerknął na zegarek, dochodziła północ. Rozsiadł się przed telewizorem i pilotem wyszu-

kał kanał sportowy. Nadawano mecz tenisowy. Ponieważ odbywał się na drugiej półkuli, transmisja nadawana była na żywo. Około czwartej nad ranem zrobił sobie trzecią kawę. Odnalazł piżamę zabitego. Ku jego niezadowoleniu nie była najczystsza. Kolejny kwadrans zajęło mu poszukiwanie w szafie świeżej. Trup leżał skręcony na bok. Nie zwracał na niego większej uwagi, kiedy przeczesywał półkę po półce. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Zdjął swoje ubranie i przebrał się w pasiasty strój. Czekał. Na zewnątrz zrobiło się całkiem widno. Słychać było pierwsze samochody, na podwórzu pracowała śmieciarka. Zabójca wypił kolejną kawę. Nie był głodny. Około szóstej rozsunał zasłony. Słońce wdarło się do mieszkania, oślepiło mężczyznę. Kordan dopiero teraz dostrzegł, że ma podrapaną twarz. Kiedy to się stało? W lesie? Mało prawdopodobne. W tym mieszkaniu? Ale kiedy? W kuchennej szufladzie odnalazł plaster i zakleił policzek. O wpół do ósmej usłyszał energiczne pukanie do drzwi. Udając zaspanego, ruszył w tamtym kierunku. Otworzył, ziewając. W progu stało dwóch postawnych mężczyzn w identycznych garniturach. Przedstawili się jako pracownicy Biura Ochrony Rządu. Zażądali dokumentu tożsamości. Z czarnej teczki wyciągnęli listę mieszkańców. Kordan udał zaskoczonego i obrażonego. Z udawaną niechęcią ruszył do pokoju po portfel. Przyniósł go i wygrzebał dowód osobisty. Ochroniarz obejrzał dokument

uważnie, porównał zdjęcie ze stojącym przed nim człowiekiem. Nie było wątpliwości, to Emil Zaremba mieszkający w tym budynku. Dryblas postawił przy jego nazwisku haczyk. Drugi z ochroniarzy wszedł do mieszkania, obszedł je, zaglądając do każdego z pomieszczeń. Nic go nie zaniepokoiło. Ot, niezbyt zadbana kawalerka. Widać było, że brakuje tu kobiecej ręki. Wrócił do kolegi. Kordan vel Zaremba został pouczony, aby w ciągu najbliższych godzin nikogo nie wpuszczał do mieszkania i informował o podejrzanych osobach kręcących się po okolicy. Zapytano go też, czy nie wie, czyj samochód stoi z tyłu kamienicy. Udał kompletnie zaskoczonego. Zapytał o przyczynę ich wizyty. Nie uzyskał odpowiedzi. Tym razem odegrał obywatela rozeźlonego na łamanie jego swobód obywatelskich. Ochroniarze przeprosili i poszli dalej. Kordan zerknął na korytarz. W czasie ich rozmowy nikt z sąsiadów nie wyszedł z mieszkania. To go uratowało. Musiałby wtedy użyć ukrytego na plecach pistoletu glock 17. Potem przebrał się w swoje ubranie. Z szafy wydobyl futerał z bronią. Zabrał się do przygotowań. Czasu, jak wynikało z planu braci, miał sporo. Nie spieszył się.

26 maja 2006, piątek

Furgonetka zatrzymała się gwałtownie i Lena z Pawłem obudzili się. W następnej chwili ktoś rozsunął drzwi i do ich metalowej celi wpadło sztuczne światło ulicznych lamp. Zorientowali się, że stoją obok stacji benzynowej, na parkingu pod lasem. Wzrok powoli przyzwyczajał się do jasności. W oddali mknęły samochody, niektóre z nich zwalniały, by skręcić na stację benzynową. Olbrzym, który ich porwał, stał w oddali i palił papierosa. Werensowi przyszła do głowy myśl, żeby poderwać się z blaszanej podłogi i uciec. Próbował się podnieść, ale natychmiast poczuł ból. Fentanyl przestał działać, a zatem nie było już znieczulenia. O dziwo, oczy go nie piekły. Być może dlatego, że minęło już kilka godzin od ataku porywacza. Werens zerknął na blat zegarka. Była druga. Musieli zatem jechać jakieś osiem godzin. Ile kilometrów można w takim czasie przebyć, biorąc pod uwagę postoje? Cztery-

sta? Pięćset? Gdzie teraz byli? Próbował ustalić to na podstawie tablic rejestracyjnych przejeżdżających samochodów, ale było to niewykonalne. Ciemność uniemożliwiła odczytanie liter.

W pewnej chwili w prześwicie pojawiła się niewysoka postać. Z niewidoczną twarzą, łysą czaszką i zarysowanym przez uliczną lampę konturem ciała, wyglądał jak diabeł. Człowiek stał tak dłuższą chwilę i patrzył na nich. Jego twarz ciągle była niewidoczna. Na wysokości oczu błyskały złowrogie ogniki. Wydierał jakiś paskudny zapach. Werens zorientował się, że nie jest to zapach siarki, a smród kwaśnych soków trawiennych, najpewniej z niedrożnych jelit. Był to oddech starca. Demon milczał. Z kieszeni wydobył jedwabną chustkę i wycierał nią kark i łysą głowę. W tym czasie powrócił olbrzym. Stał za swoim panem i czekał na polecenia. Cisza stawała się nieznośna. Co z nimi będzie? Czy teraz nadeszła ich kolej? Olbrzym na rozkaz wydany z cuchnących ust zaciśnie na ich szyjach dłonie przypominające wielkością łopaty? Tak umrą? W środku nocy, pod lasem. Ich krzyku nie usłyszą kierowcy pędzących samochodów. Werens tylko domyślał się, kim jest ich prześladowca. W następnej chwili nie miał już wątpliwości. Starzec przemówił. Głos miał niski, zachrypnięty:

– Znowu się spotykamy, panie Werens – powiedział Montalto vel generał Szubert. – Gratuluję panu dobrego gustu – patrzył teraz na leżącą Lenę.

– Piękna ta pani Lena. Szkoda tylko, że jej uroda przedwcześnie zgaśnie... Niech się pan nie obawia, nie zabiję jej, w przeciwieństwie do pana... Mam co do niej inne plany... Czasy są trudne, idzie kryzys... Za kilka miesięcy, kiedy już sprawa nieco przycichnie, śliczna Lena pojedzie do moich przyjaciół nad Bosfor. Musi przecież odpracować straty, jakie poniosłem! Po kilku latach będzie mogła wrócić do kraju. A że do tego czasu stanie się zniszczoną, przeżartą narkotykami i wstydliwymi chorobami kurwą... Cóż, życie... – Werens pomimo bólu poderwał się z podłogi. Olbrzym wychylił się zza Montalto i jednym ciosem w czoło wepchnął go głęboko do wnętrza. Stamtąd Werens wysłuchiwał dalszych słów potwora. – Narozrabiałeś, Werens. Ty i twój stryjek – klecha. Dwa lata więzienia dla starego człowieka to wyrok śmierci. Pan Camargue może coś o tym powiedzieć. Prawda, przyjacielu? Camargue dzielił ze mną celę. Towarzyszył mi w trudnych chwilach. A kiedy opuścił więzienie, zaczął dla mnie pracować.

– Wiem, co to za praca – wycodził przez zęby Werens. – Zabił stryja i Elizę.

– Nie tylko. Camargue jest pracowitym człowiekiem.

– Dlaczego?

– Ty mnie pytasz, dlaczego?! Odpowiem ci, zdradzę kilka informacji. Tam, gdzie trafisz, niewiele będziesz mógł z nimi zrobić. Twój stryj, Mariusz We-

rens, a może Thomas Kastner, okazał się człowiekiem niewdzięcznym. W roku czterdziestym piątym znaleźliśmy go z Dziamskim i Baderem w oficynie pałacowej. Byłby tam zdechł z głodu. Odstawiliśmy go do Wrocławia, gdzie zajęli się nim ludzie z domu dziecka. Dwa lata później, będąc w okolicy, postanowiłem naszą znajdę odwiedzić. Wtedy jeszcze byłem człowiekiem wielkiego serca... Cóż, młodość... Ale chłopaka nie było! Wzięła go rodzina niejakich Werensów.

– Co?! – Paweł ponownie poderwał się z podłogi i jak wcześniej został osadzony ciosem w głowę.

– Wyjechali na północ, na tak zwane Ziemie Odzyskane. I znowu, jak to często w życiu bywa, los zetknął mnie z Mariuszem Werensem. Tym razem natrafiłem na niego w chwili, kiedy rozpoczął studia w seminarium duchownym. Znam kilku księży... Do dzisiaj łączą nas pewne interesy. Mariusz mnie nie poznał, ale przypomniałem mu się. Był autentycznie wzruszony. Ja już wtedy organizowałem kameralne spotkania w pałacu rodu Dönhoffów.

– Sekciarskie zjazdy z orgiami! Tam planowałeś zamach z roku siedemdziesiątego ósmego!

– Gratuluję pamięci. Otóż Mariusz Werens, jak wielu przyszłych księży, na pierwszym roku studiów przeżywał trudne chwile. Miał momenty zwątpienia, chciał rezygnować. Nie ukrywam, że to wykorzystałem. Zaprosiłem go na kilka naszych spotkań...

– Łżesz!

– Tak, Werens. Twój stryj Mariusz przez pewien czas należał do sekty kainitów. Czy ci się to podoba, czy nie. W pewnej chwili odszedł. Uszanowałem jego wolę. Kto by mu zresztą uwierzył, że nasza grupa istnieje? I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie... Ty! Posłałeś mnie za kraty. Opuszczenie murów więzienia sporo kosztowało.

– Dlatego zabiłeś adwokata. Żeby mu nie płacić.

– Straciłem wszystko, ciągle jestem biednym człowiekiem. Moje ciało gnije od środka, muszę się ratować. To kosztuje.

– Dlaczego zabiłeś mojego stryja i Elizę?

– Twój stryj, kiedy go miesiąc temu poprosiłem o pomoc, odmówił mi jej.

– Przecież on nic nie miał!

– Zapominasz o pięknej willi. Sprzedał ją.

– Jak to?! Przecież dom zapisał mnie!

– Czyżby? Nie chciałeś mieszkać w tym domu. Planowałeś go sprzedać po jego śmierci. On ciebie uprzedził. Planowali zamieszkać w domu spokojnej starości. Stryj zdradził nas obu. Nie był taki święty, jak ci się wydawało.

– Nic nie był nam winien. To moja wina, że przez ostatni rok go nie odwiedzałem. Mógł poczuć się zapomniany.

– U mnie miał dług. Uratowałem mu życie. Powinien mi pomóc. Okazał się kłamcą. Ananiaszem.

– Jak to? Ananiaszem?

– Twoja przyjaciółka... No, jak jej tam? Lena. Otóż Lena dobrze orientuje się w Piśmie Świętym. Potwierdza to pan Camargue, który was obserwował, a w pewnej chwili był bardzo blisko... Ale zapomniała o pewnym fragmencie z Dziejów Apostolskich.

Lena podniosła się i z uwagą słuchała słów Montalto. Ten niczym natchniony recytował:

– „Ale pewien człowiek, imieniem Ananiasz, z żoną swoją Safirą, sprzedał posiadłość i za wiedzą żony odłożył sobie część zapłaty, a pewną część przyniósł i złożył u stóp Apostołów. Ananiaszu – powiedział Piotr – dlaczego szatan zawładnął twym sercem, że skłamałeś Duchowi Świętemu i odłożyłeś sobie część zapłaty za ziemię? Czy przed sprzedażą nie była twoją własnością, a po sprzedaniu czyż nie mogłeś rozporządzić tym, coś za nią otrzymał? Jakże mogłeś dopuścić myśl o takim uczynku? Nie ludziom skłamałeś, lecz Bogu. Słyszając te słowa, Ananiasz padł martwy. A wszystkich, którzy tego słuchali, ogarnął wielki strach”.

Lena patrzyła gdzieś, hen, przed siebie. Gdy Montalto skończył, powiedziała:

– „Okolo trzech godzin później weszła także jego żona, nie wiedząc, co się stało. Powiedz mi – zapytał ją Piotr – czy za tyle sprzedaliście ziemię? Tak, za tyle – odpowiedziała. A Piotr do niej: Dlaczego umówiliście się, aby wystawiać na próbę Ducha

Pańskiego? Oto stoją w progu ci, którzy pochowali twego męża. Wyniosą też ciebie. A ona upadła natchmiast u jego stóp i skonała".

– Brawo! Jest pani niezła! Było nie było doktor!

– A Bader? Dlaczego Bader został tak napiętnowany?

– On też był kłamcą. Zdradził mnie. Nie pomógł. Miał obraz Rafaela. Ukradł go z pałacu w Radomierzycach. Mógł go sprzedać. Kiedy przyszedłem po pomoc, wykręcał się jak piskorz. Nie mam! Nie mam! – Montalto przedrzeźniał Badera. – Stary złodziej! Ukrył ten obraz, drań. Nawet w chwili śmierci nie przyznał się, gdzie go trzyma.

– A jaka jest nasza rola w tym wszystkim? – teraz pytanie zadała Lena.

– No tak, do rzeczy. Jak już zapewne wiecie, nasz kraj w ostatnich dniach gości niezwykłą osobę... Odwiedził już Warszawę, Kraków...

– Papież – wyrwało się Lenie.

– Brawo! Sam Ojciec Święty. Co tu dużo mówić... Nie przepadam za nim... Kiedy w roku siedemdziesiątym ósmym dokonywaliśmy zamachu na pierwszego sekretarza, pewne sprawy nie poszły jak trzeba. Mój nieślubny syn, ten idiota... Potem, w osiemdziesiątym pierwszym, poszło znacznie lepiej. Udało się wprowadzić terror, godzinę milicyjną, pozamykaliśmy większość naszych wrogów. W tym tego nieszczęsnego Gierka, któremu się upiekło trzy lata wcześniej. Świat od tej pory się zmienił.

Stał się mdły i nudny. Ludziom brakuje wyobraźni. „Będę śmiercią twoją, o śmierci! Ukąszeniem twojem będę, o piekło!”. Ten, kto to napisał pięćset lat temu na drzwiach największego gdańskiego kościoła, miał poczucie humoru. Groził piekłu. Tak jakby zło można było pokonać. Zło jest wieczne! I pora, aby ludzie się o tym przekonali. I to ty, Werens, będziesz moim żołnierzem! Nawet nie pojmujesz, co dla ciebie przygotowałem. Przejdiesz do wieczności! Co prawda, nie zobaczysz tego... Ale twoje nazwisko będzie wymieniane obok największych tego świata. Kaina i Judasza! Niektórzy głoszą tezę, że Kain, biorąc kamień do ręki i zabijając Abła, nie wiedział, co robi, bo wcześniej śmierć nie była znana. Ja wiem, że było inaczej. Kain był świadomy swego czynu. Tak jak i Judasz. Bez nich nie doszłoby do zbawienia. Najtragiczniejsze postacie naszego świata. Dzisiaj ty do nich dołączysz.

Lena, słuchając Montalto, cały czas rozcierała nadgarstki, masowała delikatnie uda. Czekwała na chwilę, kiedy poczuje pełnię władzy nad nimi. Stary szaleniec zajęty był patetyczną i groteskową przemową, przez co nie zwracał na nią uwagi. Olbrzym Camargue oddalił się na kilkanaście metrów. Szalony generał kazał mu palić papierosy w znacznym oddaleniu. Dym mu przeszkadzał. Lena potrzebowała wiele siły. To, co zamierzała teraz zrobić, wymagało sprytu i absolutnej precyzji. Wiedziała, że szansę ma tylko jedną. Teraz albo ni-

gdy! W chwili, kiedy Montalto zaczynał wygłaszać kolejną brednię, poderwała się z podłogi, podniosła koło leżące dotychczas w kącie i skierowała je w kierunku szaleńca. Ten zrozumiał, co zamierza dziewczyna, ale było już za późno. Ciężkie koło furgonetki potoczyło się w kierunku przerażonego starucha, uderzyło w niego z dużą siłą, przewracając go, poleciało na parking i podskakując, potoczyło się w krzaki. Camargue patrzył na swojego mistrza z niedowierzaniem. Nim zdążył cokolwiek zrobić, Lena była już na zewnątrz. Niestety, Werens nie mógł pójść w jej ślady. Ciągłe był odrętwiałe, poruszanie się sprawiało mu ból. Lena postawiła pierwsze, niepewne kroki, z każdym kolejnym była sprawniejsza. Skręciła w las i kilkoma susami dopadła pierwszych sosen. Gęste zarośla stanowiły znakomitą kryjówkę. Słyszała za sobą przekleństwa i pokrzykiwania Camargue'a, jęki Montalto. Była coraz dalej. Biegła ile sił przed siebie. Gałęzie raniły jej twarz, ciemności sprawiały, że poruszała się prawie po omacku. Gdzieś w dali dostrzegła światła. To były jakieś zabudowania. Nie zwalniała, pędziła na złamanie karku. Zdawało jej się, że olbrzym jest tuż, tuż. Tak jednak nie było. Montalto wiedział, że szukanie w ciemnym lesie młodej, zwinnej kobiety nie ma sensu. Nakazał olbrzymowi, by związał Werensa i jechał na umówione miejsce. Tam czekali już ich ludzie. Plan wchodził w decydującą fazę. Związany sznurem Werens miał

świadomość, że nadchodzący dzień nie będzie ja-
koś szczególnie udany.

* * *

Dziamski szedł do domu Mariusza Werensa nie dla obrazu, pomyślał podkomisarz Dera. Po prostu dowiedział się, że człowiek, któremu ocalił życie ponad pół wieku temu, mieszka w jego mieście i teraz zapewne mu coś zagraża. To niesamowite! A ja cały czas myślałem, że to był tylko mały, chciwy człowieczek. Jaki z tego wniosek? Nie należy osądzać ludzi zbyt pochopnie. Tylko co teraz? Nie musiał się zbyt długo zastanawiać, bo zadzwoniła roztrzęsiona Lena. Płacząc i jękając się, wyrzucała pojedyncze słowa, z których Dera rozumiał tylko tyle, że Szubert porwał ją i Werensa. Ściślej, zrobił to olbrzym – Camargue. To, co mówiła potem było tak niedorzeczne, że policjant aż przysiadł na krawężniku. Mijający go ludzie spoglądali ze zrozumieniem na dużego, silnego mężczyznę z telefonem przy uchu i gazetą w dłoni, który zapewne wraca po nocnej zabawie nie całkiem trzeźwy.

– Montalto chce zabić papieża!

– Co ty mówisz, dziewczyno?!

– Jestem pewna. Domyślam się nawet, gdzie chce to zrobić. Całą noc nas więzli. Uciekłam. Ukryłam się w stodole. Ta miejscowość nazywa się Ratno Górne. Leży przy granicy z Czechami.

– Z tego, co wiem, papież faktycznie jest w Polsce. Ale nie przypominam sobie, aby wybierał się na granicę. Mam dzisiejszą gazetę. Wynika z niej, że trasa pielgrzymki obejmuje miejsce narodzin poprzedniego papieża, sanktuarium w Łagiewnikach, Kalwarię Zebrzydowską i Wawel. Nie ma w nim Ratna Górnego ani Dolnego!

– Tu nie chodzi o te miejscowości.

– No to gdzie to ma się stać?

– Czy słyszał pan o świętej Wilgefortis? Tej, którą ukrzyżowano?

– A gdyby nawet, to co z tego wynika?

– Największa i najbardziej znana figura Wilgefortis znajduje się w Wambierzycach. Czy pan już rozumie?

– Nie bardzo...

– Wszystko, co robi Montalto, zawiera jakieś informacje. Wiem, że morderstwo Elizy jest odtworzeniem figury Wilgefortis. Stryj Pawła został zamordowany i przeniesiony na drabinę. Twierdzę, że to kolejna wskazówka. Mogę nawet powiedzieć, co oznacza.

– Proszę mówić!

– Ale wpierw musi pan dostać się do domu przy Fałata.

– Mam się włamać?!

– To już pan wie lepiej...

* * *

– Czy wiesz, Werens, kim był Walter Schellenberg? – Montalto mówił przez rozsunięte okienko do leżącego w kącie Pawła. – Pewnie nie bardzo. Otóż Schellenberg był szefem szóstego departamentu Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Listy, pisma, mapy, mikrofilmy, donosy. Wszystko to na jego polecenie znalazło się w czterdziestym piątym w pałacu. A do tego archiwa wywiadów Holandii, Belgii i Francji. To była potężna broń! Jeżeli ktoś wszedłby w jej posiadanie, miałby wielką władzę. Ja uszczknąłem ledwie kropelkę tego nektaru. Gdybym ci teraz powiedział, kto w czasie wojny wystugiwał się gestapowcom, kto donosił na swoich sąsiadów i bliskich, zapewne doznałbyś szoku. Wtedy byłem dzieciakiem, nie miałem dwudziestu lat. Nie wiedziałem do końca, z czym mam do czynienia. Włóczyliśmy się od wsi do wsi. Byliśmy grupą zwiadowczą. Za nami szło wojsko, służby informacyjne, a po nich NKWD. To był czysty przypadek, że trafiliśmy do tamtych oficyn. Płynęliśmy barką ze Zgorzelca do Ostritz. W pewnej chwili Bader namówił nas, żeby się zatrzymać. Myślę, że on coś musiał wiedzieć. Do Radomierzyc było raptem kilka kilometrów. Ruszyliśmy pieszo... Czy możesz sobie wyobrazić morze papieru? Tam były cuda. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że ukryto tam archiwum Rothschildów, zbierane latami materiały o premierze Blumie i skarby. Takie prawdziwe. Antyki, dzieła sztuki. Wszystko to

zajęli Rosjanie i pociągami wywieźli do Moskwy. Ślad się urwał.

Samochód podskoczył na jakiejś nierówności, a w następnej chwili się zatrzymał. Montalto zniknął w kabinie, by pojawić się w drzwiach. Do furgonetki wpadło świeże, poranne powietrze. Stali na leśnej polanie. Werens zobaczył, że w odległości kilku kroków zaparkował land rover. Wysiadł z niego blisko pięćdziesięcioletni mężczyzna, który zasalutował Montalto. Podali sobie dłonie. Potem podeszli do skrzypianego dziennikarza.

– Tu nasze drogi się rozchodzą – powiedział stary generał. – Ponieważ sporo się natrudziłeś przez ostatnie dni, czeka cię nagroda. Będzie nią informacja o twoich ostatnich godzinach życia. Ten żołnierz stojący obok mnie – wskazał mężczyznę z land rovera – to mój oddany towarzysz. Znakomity strzelec, więc nie próbuj ucieczki. Nasz cel pojawi się dokładnie za pięć godzin w pobliskiej miejscowości, by udać się z niezapowiedzianą wizytą do tamtejszego sanktuarium. Tak się składa, że wiemy o tej niezapowiedzianej wizycie od kilku tygodni. Przygotowujemy się na nią ze wszystkich sił.

– Wśród tych papierów były informacje o którymś z hierarchów Kościoła – powiedział Werens.

– Brawo! Tak było w istocie. Pewni bardzo ważni ludzie, w tym przypadku biskup, w czasie wojny zachowywali się, hmmm... niehonorowo. Nasz znajomy biskup kolaborował z gestapo. Potem, oczy-

wiecie, poprawił się. Zrobił karierę. Ale ja znalazłem w aktach Schellenberga niewielką teczuszkę na jego temat. I jakiś czas temu pokazałem ją księżułkowi. Gdybyś widział jego minę! Bardzo się tym przejął. Ja nawet nie przypuszczałem, że to ciągle słaby człowiek. Poprosiłem go o niewielkie wsparcie finansowe. Co miał, to dał. Ale niewiele tego było. Biskup nie okazał się jednak Ananiaszem. Nie okłamał mnie. Dał mi coś, czego się nie spodziewałem.

– Informacje o prywatnej wizycie papieża poza oficjalną trasą.

– Zgadza się. Bardzo mnie to ucieszyło. Dużo mniej fakt, że biskup ciągle ma słaby charakter i skłonność do zdradzania bliźnich. Fe, nawet takiego przełożonego! Według mnie to on jest odpowiedzialny za to, co się stanie. Prawda? Cóż, widocznie taki już się urodził... Ale do rzeczy. Jeden z moich żołnierzy już wcześniej wyruszył w okolice sanktuarium, by zająć ustaloną pozycję. Camargue ruszy za nim. Nie spodziewamy się jakiejś wielkiej ochrony. Ta wizyta ma potrwać dwadzieścia minut. Śmigłowiec przyłeci i odleci... W chwili, kiedy nasz strzelec wyborowy, który właśnie czeka z bronią w jednej z kamienic, odda strzał do Jego Świątobliwości, Camargue odda identyczny w twoją łepetynę, Werens. I tu przechodzimy do najciekawszego fragmentu naszego scenariusza. Pewien turysta właśnie przebywa w okolicy świątyni, za-

uważy podejrzanego osobnika celującego do Najwyższego Dostojnika Kościoła. Jako były żołnierz wnet domyśli się, co szykujesz, bo to ty będziesz zamachowcem!

Werens pobladł. Najwyraźniej ich szatański plan był dobrze pomyślany. Ktoś z kamienicy strzela do papieża. W tym czasie Camargue strzela do niego i znika. Kto zatem strzelał do papieża? Werens. Dlaczego zginął? Bo dostrzegł go przechodzień, który ma pozwolenie na broń i jest zawodowym żołnierzem. Umie błyskawicznie ocenić sytuację i działa jak automat.

– Nikt w to nie uwierzy!

– Czyżby? A kto stracił najbliższych i jak opętany węszy po kościołach? Kto w przeszłości uczestniczył w wypadku, w którym stracił matkę i brata? Takie wydarzenia wpływają na psychikę. Kto napisał książkę, w której twierdzi, że otaczają nas jacyś szaleni sekciarze? Może ten ktoś ma obsesje? Nienawidzi Kościoła. Dlaczego nikomu normalnemu bliscy nie umierają na krzyżu? Śledztwo trwa. A jeśli się okaże, że to ty maczałeś palce w śmierci krewnego? Camargue nie próżnował. Za kilka dni na biurku komendanta policji wylądują zdjęcia z włamania do pewnej willi. Kto zakrada się nocą do domu przy Fałata? Ja? Mój kolega? Nie, to Werens z niejaką Leną Lipską, która ma w życiorysie pewien wstydlivy epizod... Co, zapewne nie powiedziała? Szkoda. Ale nie mamy już na to czasu.

Żegnaj, mój współniku! Krótkie to nasze życie, dlaczego nie korzystamy z każdej chwili?! – Poklepał po ramieniu wściekłego Werensa i ruszył do czarnego, terenowego nissana, którego dziennikarz dotychczas nie widział.

Stary generał uciekał. Posyłał swoich niezbyt rozgarniętych żołnierzy na pewną śmierć. Sam zamierzał tchórzliwie obserwować przebieg wydarzeń z ukrycia.

* * *

Dera wykonywał najdziwniejsze zadanie w swojej dotychczasowej karierze. Lena kazała mu włamać się do domu przy Fałata i zejść do piwnicy. Policjant miał za zadanie policzyć wszystkie schody znajdujące się w willi aż po sam strych. Czyste szaleństwo! Ale ona była innego zdania. Kiedy liczył schody, zadzwoniła do niego po raz kolejny:

– Panie Adamie, wiem, gdzie dojdzie do zamachu. Wambierzyce to taka śląska Jerozolima. Miejsce licznych pielgrzymek. Miejscowość słynąca z kultu maryjnego. Wszystko tam ma znaczenie symboliczne. Nawiązuje do czasów, gdy żył Chrystus. Rzeka płynąca przez wioskę nazywa się Cedron. Okoliczne wzgórza to Syjon, Horeb, Tabor. Tam jest blisko sto kaplic ustawionych wzdłuż kalwarii. Nad każdą ulicą prowadzącą do rynku znajduje się kamienna brama – jest ich dwanaście.

– I myśli pani, że to przy którejś z tych bram dojdzie do zamachu?

– Niech pan liczy schody. Muszę coś sprawdzić.

– Ale co?!

– Proszę szybko liczyć!

Dera szedł do góry, licząc stopnie. Budynek był piętrowy. Wraz ze strychem naliczył pięćdziesiąt cztery stopnie. Taką też liczbę podał Lenie.

– Teraz już nie jestem pewna.

– Czy może mi pani wreszcie powie, o co tutaj chodzi?!

– W miasteczku jest wspaniała bazylika, do której prowadzą szerokie schody. To miejsce idealne...

– Na co?

– Przecież pan wie, na co... Wracając do tych schodów. Bardzo ważna jest ich liczba. Piętnaście dodaje się do trzydziestu trzech, a do nich jeszcze dziewięć. Piętnaście to wiek Marii w chwili poczęcia Chrystusa. Trzydzieści trzy oznacza wiek Chrystusa w chwili śmierci, a dziewięć to liczba chorów anielskich. Razem pięćdziesiąt siedem. Pomyślałam tak: ciało Mariusza Werensa znalezione na strychu. Wiemy, że to, co się wtedy wydarzyło, stanowi jakiś ukryty kod.

– Myśli pani, że Eliza upozowana na Wilgefortis oznacza miejsce, a ciało księdza punkt, w którym to nastąpi?

– Tak właśnie sobie pomyślałam.

– I miała pani rację! – wrzasnął Dera. – Stary Werens został przywiązany do trzeciego szczebla. Nie pierwszego, nie drugiego. To też są stopnie. Pięćdziesiąt cztery schody plus trzy szczeble. Razem pięćdziesiąt siedem! Montalto to diabeł!

– Zamach został zaplanowany w wejściu do bazyliki. Na ostatnim stopniu.

– Jest pani genialna, Leno!

– Ale co dalej?

– Dalej to już moja głowa!

Podkomisarz Dera wybiegł przed dom. Nie miał wiele czasu. Wsiadł do samochodu i z piskiem opon ruszył na ulicę Partyzantów. Nie był zbyt szczęśliwy, gdyż ludzie, do których się kierował, nie należeli do jego ulubieńców. Ale nie miał wyjścia.

* * *

Od wschodu nadleciał niewielki śmigłowiec i zakołował na jednym ze wzgórz. Dwa samochody papieskiej ochrony czekały już na dole. Huk wirnika sprawił, że tłum pielgrzymów oderwał się od zwyczajowych czynności polegających na pokonywaniu kolejnych stacji i setki oczu skierowały się na niewielką postać w bieli. Ojciec Święty uśmiechem pozdrowił zaskoczonych wiernych i zniknął w pancernej limuzynie. Konwój złożony z czterech samochodów o przyciemnionych szybach ruszył w kie-

runku bazyliki. Wiadomość o niezapowiedzianej wizycie papieża błyskawicznie obiegła miasteczko. Ludzie przystawali, wiwatowali, rzucali na maskę pośpiesznie rwane z trawników kwiaty. Samochody zatrzymały się przed ogromnymi, szerokimi schodami. Ochroniarze w nienagannie skrojonych garniturach wysiedli z limuzyn, a na końcu ukazał się Ojciec Święty. Pomachał zgromadzonym naprędce ludziom i wolno, stopień po stopniu, ruszył w górę. Po bokach i od tyłu otaczali go ochroniarze. Kiedy był już na samej górze, rozległy się, jeden po drugim, dwa strzały. Mężczyźni w garniturach rzucili się na papieża i zakryli go swoimi ciałami. W następnej chwili okolice bazyliki zamieniły się w jedną wielką ruchliwą masę ludzką, która, jęcząc i lamentując, parła na schody...

* * *

Kordan mierzył z okna kamienicy swoim snajperskim „Dragunowem” w najwyższy stopień, a raczej metr wyżej. Miał jakieś pół sekundy, kiedy głowa papieża pojawił się w drzwiach świątyni. Kolejna okazja mogła pojawić się za kwadrans, w drodze powrotnej. Ale on nie zamierzał ryzykować. Chciał załatwić sprawę za pierwszym podejściem. Zerknął w dół. W furgonetce zamajaczyła wielka głowa Camargue'a. Na co on czeka?, pomyślał. Może zastrzyk z fentanylu jeszcze nie działa? Ale może nie-

potrzebnie się denerwuje? Zaraz będzie po wszystkim. Odda strzał, w zamieszaniu ruszy na dół. W tym czasie Camargue wywlecze Werensa z samochodu, zaciągnie za załom muru i z kilku metrów palnie mu w łeb. Potem on, Kordan, zejdzie na dół i wciśnie karabin w dłonie martwego Werensa. Odbierze broń od Camargue'a i będzie czekał na policję. Oto dopadł uciekającego zamachowca i powalił go jednym strzałem.

W dole stała kolumna samochodów. Goryle papiescy ruszyli po schodach. Gdzieś między nimi migiała biała postać... Kordan ustawił mechanizm spustowy na pojedynczy strzał, dosunął policzek do drewnianej kolby, przymierzył... Jego palec wolno naciskał spust... W tej samej sekundzie usłyszał trzask wyłamywanych drzwi. Grupa antyterrorystów wpadła do pokoju. Prawie równocześnie rozległy się dwa strzały. Potem bezwładne ciało pułkownika wypadło przez okno i potoczyło się po czerwonej dachówce, chwilę spadało na ziemię, by rozbić się o bruk. Krwawa plama rozlała się wokół ciała martwego zamachowca.

W tym samym czasie Camargue ciągnął nieprzytomnego Werensa za ramiona w kierunku załomu w murze. Dziennikarz jęczał i przewracał oczami. Camargue przystanął, by zaczerpnąć powietrza. Werens był ciężki. Wreszcie zaciągnął go w upatrzone miejsce. Oparł plecami o ścianę. Z kieszeni krótkiej skórzanej kurtki wyciągnął broń, odbez-

pieczył i skierował lufę w kierunku leżącego mężczyzny.

– A gdzie te wszystkie komendy do poddania się – zdążył powiedzieć do nadbiegających mężczyzn w czarnych hełmach, kiedy seria pocisków weszła w jego pierś, prawie przecięła go w pół. Skonał natychmiast.

29 maja 2006, poniedziałek

Podkomisarz Adam Dera odnalazł Lenę w pięknie odrestaurowanym radomierzyckim pałacu. Po piątkowych wydarzeniach była zupełnie wyczerpana i rozbita. Ukryła się w pobliskiej wsi, a do pałacu robiła piesze wycieczki. Spacerowała po parku, w którym kiedyś, wieki temu, spotykały się piękne księżniczki ze swoimi kochankami. Na pamiątkę tych spotkań zostawiały tam niewielkie figurki porcelanowych amorków. To takiego Amora znalazł Werens w walizce swego stryja – Mariusza Werensa. A może Thomasa Kastnera, syna hrabiny i jakiegoś nieznanego mężczyzny, którego wojna w roku czterdziestym zagnała w to tajemnicze miejsce przy granicy? Warto będzie zajrzeć do tej walizki. Notesy, które tam były, mogły zawierać niejedną tajemnicę spisana przez Thomasa.

– Co się stało w chwili, kiedy wyszedł pan z domu Werensa? – zapytała Lena.

– Pojechałem do komendy, niestety.

– Dlaczego niestety?

– Wiedziałem, że tam są ci mądrale z ABW. Tylko oni byli w stanie w tak krótkim czasie udaremnić zamach. W nagraniach monitoringu gdańskiej starówki odnaleźli twój samochód, a obok niego furgonetkę. Potem odszukali ją wśród samochodów kierujących się do sanktuarium. Reszta była dziecinnie prosta. Dostali zamachowców na tacy. Jak zwykle najgorszą robotę wykonał kto inny.

– Nie przepada pan za nimi.

– Tak jak i oni za mną. Mamy swoje niewyrównane rachunki...

– A skąd oni się wzięli w pana komendzie?

– Po tym, jak biskup zdradził Montalto miejsce wizyty papieża, liczyli się z zamachem. A kiedy zabito starego Werensa, zrobiło się gorąco.

– Podśluchiwali biskupa?

– Nie tylko Montalto trafił na te tajne archiwa. Służby bezpieczeństwa korzystały z nich przez dziesiątki lat. Wielu duchownych współpracowało z SB. Ten biskup też. Nie chciałbym być na jego miejscu...

– Co teraz?

– To znaczy?

– Wraca pan do policji?

– Cały czas w niej służę. Byłem tylko...

– Na nieokreślonym czasowo urlopie.

– Znakomicie to pani ujęła!

Oboje zaczęli się śmiać.

Epilog

30 maja 2006, wtorek

Werens wszedł do redakcji gazety. Przywitała go grobowa cisza. Spodziewał się tego. Dziwnym trafem dokumentacja jego kontaktów seksualnych zaczęła krążyć po redakcji. Wiedział, kto to zrobił. Ten cholerny Durski! Nigdy go nie lubił. Intuicja podpowiadała mu, że jest w stanie zrobić wszystko dla kariery. Nieważne, pora pakować rzeczy i szukać sobie innej pracy. Werens ruszył do swojego biurka. Co było do przewidzenia, siedział przy nim nowy pracownik. Właściwie to prawie nowy. Ku zaskoczeniu Werensa jego etat otrzymał... Ten mały, śmieszny stażysta! Prawdę powiedziawszy, nie spodziewał się tego. Facet był zwyczajnie kiepski. Nie nadawał się do tej pracy. Ciągłe czegoś zapominał, pisał bardzo źle. Cóż, ich problem. Werens ostatni raz zasiadł za swoim biurkiem. W kartonie, pod blatem, leżały jego rzeczy. Zerknął na monitor komputera. Niby nic, ale coś było nie tak. Strona star-

towa... Z ekranu monitora uśmiechała się śliczna dziewczyna. Skądś ją znał! Tylko skąd? Nagle Werens poderwał się z fotela. Już wiedział! W tej samej chwili w drzwiach stanął jego następcą. W dłoni trzymał kubek kawy. Paweł ruszył w jego kierunku. Chłopak nagle wypuścił gorący kubek z ręki. Ciemna ciecz rozlała się na biurko szefowej reklamy. Podniósł się krzyk. Werens pędził za stażystą, który niezdarnie próbował uciec. Dopadł go przy drzwiach. Werens był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Bez kłopotu docisnął tamtego do szklanych drzwi, które jeszcze trochę i rozsypałyby się na kawałki.

– Ty skurwysynu! – darł się Werens.

– Przepraszam! Ja przepraszam! – piszcząc chudzi chłopak wgniatany w szybę.

– Co tu się dzieje?! – Durski wybiegł ze swojego gabinetu.

– Zapytaj tego małego szczura! – Werens zaciskał palce na szyi chudzielca.

– Ja tylko chciałem, żebyś przeczytał moje teksty. Są lepsze od twoich. A ty je wyśmiałeś!

– I wtedy wpadłeś na pomysł, żeby mnie skompromitować, tak?

– Właśnie.

– Kim jest ta dziewczyna na monitorze?

– To moja siostra Ewa. Mieszka w Gdańsku. Okazja nadarzyła się sama. Dużo jej o tobie opowiadałem. A kiedy rozpoznała ciebie w tym klu-

bie, zadzwoniła, żeby się pochwalić. Wtedy to wymyśliłem...

– Ale co? – dopytywał się Durski.

Cały zespół z uwagą czekał na rozwój wypadków. Ludzie przerwali pracę, patrzyli w ciszy na tamtych.

– Powiedziałem jej, żeby poszła z tobą do hotelu. W komórcie miała aparat... Nad ranem, kiedy spałeś, zadzwoniła po koleżankę. Liza zawsze wyglądała jak dziecko... chociaż to koleżanka z roku mojej siostry. Wtedy się zamieniły. Tamta położyła się obok ciebie, moja siostra zrobiła kilka zdjęć...

Zapadła cisza. Ludzie z niesmakiem patrzyli na chudzielca pod drzwiami. Przerwał ją szantażysta:

– To ja rozwaliłem ci samochód. Pociąłem fotele, wybiłem szybę. Tak, zrobiłem to! Mieszałem w twoich papierach. Ukryłem płytę z materiałami. A wiesz, dlaczego? Bo nienawidzę takich jak ty! Ty myślisz, że ci wszystko wolno! Masz laski, sławę, pieniądze! Chciałem ci to zabrać.

– Ale ci się nie udało, żałosna kreaturo. – Werens z obrzydzeniem odsunął się od chłopaka. Wrócił do biurka, wziął swoje pudło, przeszedł obok Durskiego, ostentacyjnie odwracając od niego wzrok. Kiedy stał już w drzwiach, szantażysta rzucił przez całą salę z wściekłością:

– Chyba jednak mi się udało.

– Co znowu, parchu?

– Twój ukochany piesek. Taki był ładny, ufny...
I nie ma pieska!

Werens zostawił pudło i rzucił się do drzwi. Wybiegł przed biurowiec i złapał taksówkę, kazał się jak najszybciej zawieźć do schroniska.

* * *

Prowadzący hotel dla zwierząt w podwarszawskim Legionowie lekarz weterynarii czuł się podle. Nie dalej jak w czwartek zgłosił się do niego młody człowiek, który przyjechał, by odebrać psa o imieniu Kort. Następnego dnia tego samego psa przyprowadził znajomy wędkarz. Pies miał wiele szczęścia. Wędkarz rzadko zapuszczał się w rejon, gdzie natrafił na osobliwe znalezisko. Pies był przywiązany do gałęzi, stał po szyję w wodzie. W kagańcu nie miał szans na uwolnienie się. Dobry Boże, skąd w ludziach tyle nienawiści do zwierząt! Kiedy wędkarz odszedł, zajął się psem. Dał mu odpowiednie zastrzyki, nakarmił biedaka. Co dwie godziny osobiście zaglądał do jego boksu. W niedzielę pies odbył pierwszy samodzielny spacer po wybiegu. Najgorsze było już za nim.

We wtorkowe południe lekarz zajrzał drugi raz tego dnia do psa. Pobladł. Zwierzęcia nie było! Prerażony weterynarz rozejrzał się uważniej po wybiegu. Włosy zjeżyły mu się na głowie. Kort po śniadaniu zrobił podkop pod ogrodzeniem, którym

uciekł! Weterynarz był załamany. Co teraz powie właścicielowi? Wpierw oddał psa w niewłaściwe ręce, a teraz go całkiem stracił! Właściciel psiego hotelu rad nierad wziął do ręki telefon i odnalazł numer Werensa. Opowiedział mu, co się stało. Ciszka, która zapanowała po jego słowach, była najdłuższą w jego życiu.

* * *

Werens siedział samotnie przy kuchennym stole. Patrzył tępo w drewniane słoje na blacie. Kreślił wskazującym palcem koło. Znowu był sam. W pewnej chwili usłyszał ciche skrobanie do drzwi. Zaniepokojony wstał. Do ręki wziął tłuczek do mięsa. Montałto? Znowu? Zerknął przez wizjer. Korytarz był pusty.

Werens wolno uchylił drzwi. Spojrzał w dół. Na wycieraczkę siedział zdyszany Kort. Twarz jego pana zamieniła się w jeden wielki uśmiech.

Od Autora

W chwili, kiedy pisałem tę książkę, wieś Radomierzycy odwiedziła straszliwa powódź. Ludzie tam mieszkający stracili dorobek całego życia. Zachęcam wszystkich, których zainteresowała historia radomierzyckiego pałacu, do odwiedzenia tej pięknej miejscowości leżącej przy granicy z Niemcami.

Niechaj będzie mi wolno podziękować mojej żonie, która zawsze wspiera moje działania, jest pierwszym, często krytycznym czytelnikiem.

Tworząc kolejną część przygód Pawła Werenasa, korzystałem z Biblii Tysiąclecia (Wydawnictwo Pallotinum, Poznań–Warszawa 1990). Wiele cennych informacji dotyczących wydarzeń z roku 1945, które rozegrały się w Radomierzycach, znalazłem w artykułach i książkach pani Joanny Lamparskiej, od lat opisującej Dolny Śląsk i tamtejsze zabytki. Z kolei książki zmarłego przedwcześnie Stanisława Piechockiego stanowiły znakomity przewodnik

po przedwojennym Allenstein. Wielkie podziękowania składam Markom – Jędrasikowi i Parulskiemu, którzy przybliżyli mi świat gnostyków, udostępnili cenne materiały. Wszelkie podobieństwo bohaterów książki do osób żywych lub zmarłych jest przypadkowe.

Tomasz Białkowski

Znany, ale i kontrowersyjny warszawski dziennikarz Paweł Werens znów musi stawić czoła zbrodniom. Tym razem dotyczą go bezpośrednio, ofiarami są bowiem jego najbliżsi. W spektakularny sposób zostaje zamordowany jego stryj Mariusz Werens wraz z żoną. Na plecach starszego mężczyzny oprawca zostawia tajemnicze słowo: *Szadrak*.

Niebawem giną kolejne osoby. Rozpoczyna się śledztwo, które ujawnia zaskakujące fakty z przeszłości. Dotyczą one tajemniczych wydarzeń z ostatnich dni drugiej wojny światowej na Dolnym Śląsku. Mnożą się pytania, a czasu jest coraz mniej...

Czy za wszystkim stoi dawny, śmiertelny wróg? Czy uda się rozwikłać misterną i skomplikowaną intrygę, zanim morderca ponownie zaatakuje?

Tomasz Białkowski – polski prozaik z ciekawym dorobkiem literackim. Debiutował w 2002 roku zbiorem opowiadań *Leze*. Później wydał powieści: *Dłużyny*, *Pogrzeby*, *Mistrzostwo świata*, *Zmarzlina* i *Teoria ruchów Vorbla*. Napisał również sztukę *Drzewo*. Jego książki były wielokrotnie nagradzane.

Wiosną 2012 roku ukazała się powieść kryminalna pod tytułem *Drzewo morwowe*, bardzo dobrze przyjęta przez czytelników i recenzentów. Jej kontynuacją jest *Klamca*. Pisarz pracuje nad ostatnią częścią trylogii, zatytułowaną *Król Tyru*.

Blog autora: www.tomaszbialkowski.blogspot.com

Z recenzji „Drzewa morwowego”:

„Przeraża, intryguje i skłania do próby samodzielnego poszukania prawdy o przedstawionych w powieści wydarzeniach”.

„Granice.pl”

„Nie przejdziecie obojętnie obok tej powieści”.

„Sztukater”

Patronet:



cena: 29,90 zł
(w tym 5% VAT)

ISBN 978-83-935772-3-1



lesiojot